



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1672

bazojier
popiel



1672

log. 1601

JULJAN LUCJAN BAZGIER
(POPIEL)

CZ W Ó R K A SZTANDAROWA

WSPOMNIENIA PIŁSUDCZYKA



W A R S Z A W A 1 9 3 6
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OŚWIATOWY

WYDAWCA
WARSZAWA

AKWA SZTANDAROWA

Prawa przedruku zastrzeżone.

WSPOMNIENIA



TYM, KTÓRZY ODESZLI.....

A U T O R

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Dzieje jednego plutonu	1
II. Chrzest	75
III. W Kętach i nad Nidą	132

I.

DZIEJE JEDNEGO PLUTONU

— Wstawaj, śpiochu! Mobilizacja ogłoszona! Wojna! Mamy wojnę!

Szarpięty silnie za ramię, jeszcze nie zdołałem rozwinąć powiek, sklejoných mocnym snem młodości, gdy te słowa, wykrzyknięte w same ucho czyimś mocno wzburzonym głosem, już mnie zelektryzowały, odrywając w jednej chwili od twardego siennika, na którym spoczywałem. Wnet też znalazłem się w objęciach Janka K., mego przyjaciela, który, okręciwszy się ze mną kilkakrotnie po pokoju, nie przestawał wykrzykiwać podnieconym radośnie głosem:

— Wojna! Czy ty to rozumiesz, chłopie? Wojna!

Janek, nie zwracając uwagi na mój bierny opór, jął maltretować moją nocną koszulę, a wraz z nią zatrzeszczały i moje żebra, bo chłop był krzepki i śmigły, jak młody dębczak. Zrozumiałem wreszcie i, wraz z resztkami ulatującego snu, spłynęło ku otwartemu oknu moje z kolei radosne westchnienie.

— No, nareszcie! Ale skąd wiesz o tem tak wcześnie? — Mój młody przyjaciel zamigotał mi przed oczyma rozwiniętą płachtą czerwonego papieru, których całe stosy, od dawna przygotowane, spoczywały pod dobrem zamknięciem w ogniotrwałych szafach rozmaitych biur i urzędów wielkiego państwa carów. Spojrzałem na wypełnioną świeżą datę i podkreślone grubą linią „pierwszy dzień mobilizacji powszechnej” i uczułem, jak nowa fala radości przepływa mi przez mocno bijące serce. Pocałem się szybko ubierać, rzucając od czasu do czasu w stronę krę-

cącego się po pokoju Janka krótkie, urywane pytanie, odparowywane natychmiast z całą swobodą dobrego humoru przez żywego i entuzjazmującego się nadzwyczajnie chłopca. Za pięć minut byłem gotów i obaj z Jankiem opuściliśmy szybko mieszkanie, nie zdając sobie narazie sprawy z tego, dokąd biegniemy. Aż wreszcie ustaliliśmy nasz najbliższy cel podróży prawie równocześnie: do gminy!

Miejscowość Złoty Potok, położona w powiecie Częstochowskim, była letniskiem, gdzie obaj z Jankiem spędzaliśmy wywczasy letnie. Urząd gminny znajdował się w mieście, oddalonem o półtora kilometra od wsi, to też przestrzeń tę przebyliśmy w ciągu kilkunastu minut, nie spotkawszy prawie nikogo na szosie, bo godzina była bardzo wczesna. Dopiero w samym miasteczku dał się zauważyć niezwykle ruch i krzątanie. Gromadki żydów i mieszczan w półnegliżu tkwiły przed swymi domostwami, komentując żywo fakt wybuchu wojny. Od dwóch tygodni wisiała ona na włosku, ale nie każdy chciał w nią wierzyć, nie każdy też jej pragnął, to też dla wielu była ona prawdziwą niespodzianką. Przed budynkiem gminnym roilo się od konnych posłańców, pakujących w specjalne torby rozkazy i ogłoszenia mobilizacyjne, aby je roznieść po najdalszych zakątkach głuchej prowincji.

Miejscowa władza wykonawcza w osobach sześciu strażników i jednego starszego, skupiona razem niby stado owiec, pozbawionych nagle pasterza, spoglądała po sobie bezradnie, z rękoma opuszczonemi „po szwam” i nosami na kwintę. Ani śladu zwykłej bezczelności w twarzach, animusz i pewność siebie opuściły nagle tych ludzi, starszy zaś za naszym zbliżeniem się zasalutował grzecznie. On, tak zwykle wyniosły i urzędowy przy najrozmaitszych badaniach paszportowo-meldunkowych! Byłem w wyśmienitym humorze, postanowiłem przeto zabawić się trochę kosztem wystraszonych Moskali.

— Jak się macie, wachmistrzu? — zacząłem protekcyjnie, witając się ze starszym.

— Cóż to, opuszczacie nas, widzę, a któż nas będzie przed Germańcem bronił?

— To nie nasze dzieło. My dostali przykaz natychmiast jawić się do powiatu. Ot, bieda! Z żoną i dziećmi nie wiadomo co robić! — stropił się Moskal.

— No, już tam o nich władze nie zapomną, a i Germaniec też, jak przyjdzie.

— Gospodi, pomiłuj, co pan wygaduje? Skądżeby on tak prędko? Nasi nie puszczą!

— Puszczą, bo muszą. Wy, wachmistrzu, jako „niżni czyn“ tego zrozumieć nie możecie, że ze względów strategicznych nasz kąt musi być odrazu wydany na pastwę nieprzyjaciela, wątpię nawet, czy mobilizację przeprowadzić zdążycie. — Ot co!

— Może to i prawda. Wy ludzie uczeni, więcej od nas wiecie. Ale w takim razie może i u niego, u Germanca, albo i Awstryjca, znajdzie się takie miejsce, gdzie nasze kozaki zaraz w pierwszych dniach wojny pohulać sobie będą mogli — a? — odciął się chytrze Moskal.

— Być może — przytaknałem. — Losy wojny są zmienne. A nie chcielibyście też, wachmistrzu, dostać lepszego „uczastku“ na zdobytej ziemi? Tak koło Krakowa, albo Poznania, co?

Starszy błysnął białemi zębami w szerokim uśmiechu, ale nagle spochmurniał.

— Eh, gdzie mnie tam! Zżył się ja już z tutejszym narodem, na Polce się nawet ożenił, za późno mi wędrować! A jak myślicie, panie, Kraków będzie nasz? Znat', silnaja kriepeść!

Uśmiechnąłem się drwiąco.

— Z małą Japonją wy sobie rady dać nie mogli, a tu za Austriją potęga germańska idzie. Zanim car się doczeka

Krakowa, może z Pitra wylecieć, bo rewolucjoniści w Rosji spać nie będą.

Starszy zamachał rękami z oburzeniem.

— Eh, wy zawsze socjalist! Wojna nie może trwać długo, bo choć Germaniec jest silny, ale Francja go przytrzyma, nie da nam rady!

— Co będzie, to zobaczymy. Narazie musicie nas opuścić, zatem szczęśliwej drogi!

— Zdrawja żelajem!

Weszliśmy z Jankiem do obszernej kancelarji gminnej, gdzie na stołach i ławkach odbywało się pośpieszne wypełnianie druków mobilizacyjnych. Pisarz gminny, bardzo gorliwy urzędnik, zatrzymał wszystkich ciekawych letników, którzy się zjawili w gminie, zaprzęgając ich do łatwiejszej roboty. Jako dobry nasz znajomy, ucieszył się niewymownie, widząc nas.

— Ach, z nieba mi spadliście! Pomóście mi, moi drodzy, pisać ogłoszenia. Tyle roboty! — Wykręciłem się na pięcie.

— Co, ja mam przyłożyć swą rękę do tego, by naszych pocziwych kmiotków zaszyto w nienawistne mundury, aby walczyli za obcą sprawę? Ani mi się śni. A i wy także, panie Zygmuncie, jeżeli uważacie się za Polaka, rzućcie do diabła te papierzyska, bo Moskal tu już nie wrócił!

Wypowiedziałem te słowa jakby w natchnieniu, jednak pisarz przeraził się ogromnie i wytrzeszczył na mnie oczy w zdumieniu.

— Bójcie się Boga, co wy wygadujecie? Dobrze, że tu sami swoi, nikt nie doniesie. Toż to Sybir, katorga! Oni nie wrócą, to będzie ktoś inny, a ja nie mogę tak odrazu przekreślać swej egzystencji i stracić stanowiska. Jakże to? Wyście młodzi...

Nie słuchałem dalszych wywodów lojalnego urzędnika, opuszczając co prędzej progi urzędu. Tuż za mną postę-

pował w milczeniu Janek. Na środku zaśmieconego placu, imitującego rynek, zatrzymaliśmy się.

— Co teraz będziemy robili?

Na to moje pytanie Janek zamyślił się nieco, potem nagle podniósł swą beztroską twarz i wyrzekł z pośpiechem:

— Ja muszę jeszcze dzisiaj do Krakowa, póki pociągi idą ku granicy. Jutro może już być za późno i trudniej się będzie przedostać, jeśli nie wykorzystam teraz tego rozgardjaszu. W Krakowie pewnie tworzyć się będzie wojsko polskie, nie chciałbym być ostatnim. A możebyśmy tak razem, co?

Wiedziałem, że Janek utrzymuje stosunki ze strzelcami w Krakowie, ja sam, choć oficjalnie nie miałem sposobności do Strzelca należeć, sympatyzowałem z tym ruchem, jako konspiracyjny członek organizacji niepodległościowej. Dalem więc Jankowi odpowiedź wyraźną:

— Wiesz, teraz nie mogę. Zresztą, jeśli wojsko polskie powstanie w Krakowie, to tutaj przyjść musi. Aby się zaciągnąć w jego szeregi, na to nie będzie nigdy za późno. Sam zaś widzisz, co się tu dzieje. Myślę, że lepiej się przysłużyć sprawie, jeśli tu bróździć będę moskalofilom, przeszkadzać mobilizacji, zniechęcać ludność do zaborcy i t. d.

— Może masz i słuszość. Ale mnie już ziemia pod stopami pali, nie wysiedziałybym tu dłużej, gdy tam już „ułani werbują — strzelcy maszerują“, jak to jest w naszej strzeleckiej piosence. Zatem, daj gęby i do zobaczyska w wojsku polskim!

— Janku, warjacie, poczekaj, odprowadzę cię!

Szliśmy razem jeszcze jakiś czas, usiłując w żywej rozmowie odgadnąć niezbadane drogi wojny, do której Jankowi świeciły się oczy. I mnie pociągał obowiązek służenia sprawie niepewnej, ale szczytnej, wykarmionej marzeniami wielkich wieszczów narodowych, bliskiej, że mowy być nie mogło o zmianie powziętej przeze mnie decyzji wstąpienia

pod znaki tego wojska, które przyjdzie skądś od skalistych Tatr budzić śpiących i w niewoli zgnuśnialych współbraci. Jankowi pilno było pakować najpotrzebniejsze manatki, do najbliższego pociągu zostawało już bardzo mało czasu, a ja pragnąłem pozostać przez chwilę sam ze swemi myślami. Pożegnałem tedy serdecznie towarzysza swego. Wstąpiłem do domu po rower i popędziłem na nim jak strzała, po gładko ubitej szosie ku pobliskim lasom, przebłyskującym wśród nich skałom i precudnym stawom, aby pożegnać już może na zawsze te ciche zakątki, w których spędziłem dzieciństwo sielskie, anielskie i skąd zdążyłem do młodości „chmurnej i górnej“. Wracalem tu zawsze wśród skwarne go lata, deptałem też niekiedy miękką podściółkę leśną wczesną porą wiosenną, lub oddychałem wonią więdnących liści bukowych w czas późnej, a cudnej w tych stronach jesieni. Teraz goniły za mną niespokojne rozgwyry letników, ładujących na wozy swoje bagaże, szloch i zawrodoenie bab wiejskich, żon rezerwistów, zabierających się do odjazdu, może na zawsze, ku nieznanemu, niewiadomemu i niepewnemu jutru.

Wojna! Mamą wojnę! Czuć ją było już wszędzie, choć dopiero pierwszy jej powiew wionął przez polskie pola i rozłogi, przynosząc z sobą odrazu ból i cierpienie. A co będzie dalej? Staralem się o tem nie myśleć, usiłując wywołać w sobie ten radosny nastrój, w jakim przyjąłem pierwszą o wojnie wiadomość. A jednak nawet las stary, przez który przejeżdżałem, zdał się szumieć złowrogo, jakieś rzeczy straszliwe, niepojęte i, co gorsza, nieuchwytnie, tak nieuchwytnie, jak sama myśl, która błyskawicą nagłą, rozpaloną, przenika czaszkę i ucieka, zanim przemęczony mózg zdoła ją odtworzyć na swej kliszy ciągłego myślenia. Lecą tedy, lecają bezużyteczne iskry, zapalają się i gasną, tylko ciężki jakiś młot wali z ogłuszającym, tępy m uporem, wydzwaniając wciąż w huczącej głowie swój straszliwy rytm: wojna! wojna!

* * *

Nazajutrz jechałem z rezerwistami ze Mstowa do miasta powiatowego. Na wózku obok mnie siedział kolega mój, nauczyciel Bronek P., wielce zmartwiony, bo w miasteczku pozostawił narzeczoną, z którą za trzy dni miał się odbyć jego ślub. Rodzice jego już zjechali na tę uroczystość z dalekiej Chełmszczyzny, a tu wojna zepsuła wesele i humor oblubieńca do tego stopnia, że nawet moje wesołe żarty nie zdołały spędzić chmury z jego zasępionego czoła. Naprzeciw nas siedział młody młynarz, któremu przez całą drogę wbijałem w głowę potrzebę natychmiastowego poddania się na froncie, jeśli się tam znajdzie w szeregach rosyjskich, jednak tępa ta głowa byłego „służaki“ nijak nie mogła pójść w trop moich myśli, choć ponury wyraz twarzy młynarczyka zdawał się zwiastować pewne odchylenie od dotychczasowej linji wytycznej pojęć jej właściciela. Wogóle rezygnacja była wypisana na wszystkich niemal twarzach mijających nas ludzi, zdążających podwodami na punkt zborny do „woińskiego naczelnika“. Wszyscy uważali pójście do wojska za mus konieczny i nikomu do głowy nie przychodziło stawianie biernego choćby oporu przeciw zarządzeniom „prawowitych“ władz. Nienawiść do Niemców podtrzymywała jeszcze to poczucie lojalności względem rosyjskiego zaborcy.

— Nasz się będzie bił z Germańcem, trzeba mu pomagać.

Oto była ostateczna konkluzja każdego prawie chłopca, wiozącego na trzęsącym się wózku daninę krwi i żer dla armat, które niezadługo rozpoczną swój koncert piekielny tu właśnie, na tej ziemi, którą tak niebacznie opuszcza jej odwieczny pan i gospodarz. Uczucie przykrości owładnęło mną tak dalece, że zamilkłem na dłuższą chwilę, pókiśmy nie dojechali do mostu kolejowego, strzeżonego przez silne patrole 7-go pułku „strzelców“, już

w polowych mundurach. Do rogatek miejskich stąd już było niedaleko, to też ruch na szosie zwiększał się coraz bardziej, aż wreszcie cała droga zajęta została przez napływające z różnych stron furmanki, wiozące „mięso armatnie“. Twarze rezerwistów ożywiły się, gdy ujrzeli na furmankach, jadących od strony Anielina, butelki z wódką, zabraną przez rezerwistów z rozbitej tam dystylarni. Zazdrosnem okiem spoglądali na towarzyszy, używających tuż na wozach i przepijających zdaleka do tych, którzy wódki nie mieli. Tak wjechaliśmy do miasta, gdzie przedewszystkiem rzucił się w oczy zupełny brak policji. Jezdnię i chodniki na ulicach wypełniały tłumy rezerwistów i ludności miejscowej, zwłaszcza żydów, odbywających jakieś pokątne targi. Potok ludzki płynął jednak pomału w stronę Alei, gdzie mieściło się biuro „wojńskiego naczelnika“. Dowiedzieliśmy się po drodze, że już dwa pociągi z rezerwistami odeszły od rana do Skierniewic i że każdy zgłaszający się otrzymuje odrazu mundur i już punktu zbornego opuścić nie może. Z tego też pewnie powodu wielu nie kwapiło się z meldowaniem. Pragnąc użyć jeszcze kilka godzin swobody, czynili tłok na mieście, gdzie rejdach panował niemały.auta ciężarowe z żołnierzami, samochody osobowe z oficerami waliły na dworzec, dorożki uwijały się między tłumem, a w nich tłoczyły się rodziny uciekających urzędników z tobołami i nieodstępniemi samowarami. Pierwszą czynnością moją było pochwycenie dziennika z rąk rozkrzyczanego chłopca, ale nie znalazłem w nim nic oprócz manifestu cesarza Franciszka Józefa. O wypowiedzeniu wojny Rosji jeszcze nie było ani słowa.

Czytanie przerwał mi kolega Bronek, który zdenerwowanym głosem począł mówić pośpiesznie o jakiejś kartce, wywieszanej na drzwiach urzędu „wojńskiego naczelnika“. Ogłoszenie istotnie było i groziło sądem polowym każdemu, kto przed godziną szóstą po południu nie zamelduje

się ze swą książeczką wojskową. Sprawdziwszy to, uspokoiłem denerwującego się kolegę.

— Strachy na lachy! Teraz dochodzi druga, do szóstej masz jeszcze czas. Nie pchaj się, a ja tymczasem zajdę od tyłu do biura dowiedzieć się o sytuacji. Mam tam znajomego urzędnika. — Dostawszy się nie bez trudności tylnem wejściem do kancelarii, zastałem znajomego mego, pakującego gorączkowo do wielkiej skrzyni stosy książeczek, odebranych rezerwistom. Na moje dyskretne pytanie nachylił mi się do ucha i szepnął tajemniczo:

— Za chwilę już nas tu nie będzie. Dopiero co był u „starego“ naczelnik powiatu z Będzina, baron Mirbach. Niemcy podobno już są w Sosnowcu!

— Jakto, bez wypowiedzenia wojny?

Urzędnik strzepnął rękami niecierpliwie.

— A czy ja wiem? Wiejemy do Skierniewic!

I pobiegł po gwoździe, a ja do Bronka z dobrą nowiną.

— Siadaj, chłopie, na wóz i wracaj do domu otrzeć łzy narzeczonej, bo z mobilizacji nic. Biuro już się pakuje, a Niemcy w Sosnowcu.

Mówiłem te słowa umyślnie dość głośno, to też wieść ta rozeszła się piorunem wśród rezerwistów, zdziwionych nagle zatrzymaniem kolejki zgłaszających się. Zaraz też niewiadomo kto puścił wersję, że z wieży jasnogórskiej widać 600-tysięczną armję niemiecką, stojącą pod Herzbami, że pociągi w tę stronę nie idą, że wojsko opuściło całkiem miasto i t. d. Wszczął się popłoch, kto żyw zaczął się wycofywać od drzwi biura, wielu podążyło na dworzec kolejowy. Tam też i ja się udałem, pożegnawszy Bronka, zaniepokojony zasłyszananymi wieściami. Na dworcu kompletny chaos, na torach kilka pociągów pod parą, najbliższy odchodzi do Skierniewic za dwadzieścia minut, reszta niewiadomo dokąd. Peron przepelniony bagażami i dziećmi, moc policji i żandarmów, szykujących się do odjazdu, ścisk, gwałt i rwetes. Usiłuję dostać się do kasy

biletowej — oblężona! Nagle ruch w holu dworcowym wzmógł się i z pośród tłumu wypadł czerwony jak burak „sam“ wojenny naczelnik, zdążający szybko na peron. Za nim tłum rezerwistów z tobołkami na plecach, czepiający się za poły płaszcza zirytowanego dygnitarza, chwytający go za buty, koniec pałasza... Naczelnik wpadł na peron, jak bomba i wnet zaczął się gramolić do wagonu drugiej klasy. Na stopniach odwrócił się jeszcze, opędzając się napastującym go rezerwistom.

— A idźcież wy do czorta! U mnie gołowa krugom! W Skierniewicy na punkt zborny jawlajcieś, w Skiernewicy!

Lecz tłum nie ustępował, jęcząc płaczliwie.

— Panie nacelniku! Ojce nas! My choć na bufory! Panie nacelniku!

Czułem, jak rumieniec wstydu zalewa mi policzki. Pociąg ruszał powoli, jeszcze gdzie niedzie żandarm spóźniony wskakiwał doń w biegu, a na peronie przez długą chwilę stało kilkunastu ludzi z tobołkami na plecach, z wyciągniętymi w próżnię błagającymi rękami.

— Panie naczelniku!

* * *

Z Częstochowy wyjechałem ostatnim pociągiem w stronę Sosnowca, ale w drodze dowiedziałem się, że w Łazach tor jest zawałony taborem kolejowym, dalej zaś za stacją mają już być mosty zrywane. Zatrzymałem się w Zawierciu u krewnych, gdzie postanowiłem czekać na dalszy rozwój wypadków. Liczyłem też na to, że w tym ośrodku fabrycznym uda mi się skutecznie przeciwdziałać moskafilskiemu nastrojowi, jeśli nie mas, to jednostek. Niestety, przekonałem się wkrótce, że i masy robotnicze, jeśli nie opowiadają się wyraźnie za caratem, to zachowują się

biernie w stosunku do mających się wkrótce rozstrzygnąć wielkich wydarzeń dziejowych. Czekano na coś, co przyjdzie samo i samo się zrobi, a ludność robotnicza myślała ze strachem o tem, co będzie, gdy fabryki staną, a widmo głodu zajrzy do pustych komór. Kto miał gotówkę, ten czynił zakupy środków spożywczych na zapas, kto zaś jej nie posiadał, węszył koło wagonów, pozostawionych przez Moskali na dworcu towarowym, rozbijał je, kradnąc co się dało i wykorzystując ten czas bezpański, kiedy to milicja obywatelska jeszcze się nie zorganizowała, a nowego pana jakoś nie było widać. Pogłoski o wkroczeniu Niemców w granice Królestwa okazały się zmyśłone, albo też umyślnie przez owego barona Mirbacha inspirowane, bo dopiero nazajutrz, po wypowiedzeniu wojny przez Niemcy, pojawiły się pierwsze pikielhauby na ulicach Sosnowca, zabierając przedewszystkiem zakładników, mających życiem swem gwarantować bezpieczeństwo wkraczających nazajutrz oddziałów, zapuszczających się w głąb kraju bardzo ostrożnie. Jedynie koleje i ważne drogi komunikacyjne zajmowali Niemcy z błyskawiczną szybkością, uwożąc przedewszystkiem na swoje terytorjum poważny tabor kolejowy, porzucony przez Moskali właśnie w Łazach, Zawierciu i Częstochowie. I tu dopiero podziwiano sprawność techniczno-rabunkową starych landsturmaków pruskich, noszących z dumą na szpakowatych głowach czarne szkopki, ozdobione białym krzyżem na przodzie. Prawie cały dzień pykali oni swe nieodstępne fajki o długich cybuchach, nieraz z wytartym wizerunkiem starego Bismarka, na ordynarnej porcelanie malowanym. Naiwność Moskali, utrzymujących w całym swym państwie szerszy rozstęp szyn na liniach kolejowych niby to ze względów strategicznych, bynajmniej nie przeszkodziła transportowi wojsk i ciężkiej artylerji. Po tejże samej linji już następnego dnia po objęciu jej przez land-

szturm kursowały pociągi, mimo zepsutych torów i powy-
sadzanych mostów. To też cała ludność Zawiercia, w chwila-
ch wolnych od czynienia zapasów, wystawała na ulicy
lub defilowała wzdłuż toru kolejowego, aby podziwiać
potężną armję niemiecką. Wrócili już rezerwiści, którzy
dwa dni obozowali pod Częstochową, czekając tam na
„powrót taty“, a gdy ten się nie pokazywał, zdecydowali
się wreszcie wracać do rodzinnych pieleszy, choć wielu
powędrowało piechotą do Skierniewic. Zostało też sporo
szpiegów, przeważnie urzędników rosyjskich, myszkują-
cych wśród tłumu i pilnie nadstawiających ucha wszędzie
tam, gdzie mówiono o wojsku polskiem. A mówiono
o niem coraz głośniej, coraz odważniej, pomimo tego że
nic nie zwiastowało jeszcze jego przybycia. Wiedzano
jednak, że przyjdzie, że przyjść musi, nie wiedzano tylko,
z której strony i w jakich mundurach. Dezorientacja była
zupełna, lecz z chaosu tego zaczął się pomału wyłaniać
pewien prąd, pewien kierunek postępowania, a była nim
zalecana usilnie przez wpływowych działaczy narodowych
rozważa i... oczekiwanie. Rozważano tedy, czekano i tym-
czasem wstępowano do straży obywatelskiej tak licznie,
że po czterech dniach „samowładzy“, co drugi obywatel
miasta paradował po ulicy z białą opaską na lewem ramie-
niu, zaś co czwarty prawie — piastował jakąś szarżę w tej
bojowej instytucji, broniącej życia i mienia mieszkańców
przed zakusami szumowin. Były i jeszcze bardziej „bojo-
we“ organizacje, odbywające codzienne ćwiczenia, zbiórki
w resursie obywatelskiej i marsze po ulicach Zawiercia.
Lecz i oni czekali i rozważali głęboko sprawę obecnej swej
„przynależności państwowej“, odważywszy się narazie do
wydobycia z ukrycia małych srebrnych orzelków (pamię-
tek z obchodu grunwaldzkiego) i kolportowania pocztów-
ek z orłem polskim i napisem „Boże zbaw Polskę“.
To wszystko była elita społeczeństwa, zaś szary tłum
robotniczy, próżnujący z racji zamknięcia fabryk, myślał

z obawą o dniu jutrzejszym i dziwił się, gdzie to nagle zniknęły zewsząd drobne pieniądze i złoto, którego było przecie pod dostatkiem jeszcze tydzień temu. Aby zaradzić brakowi drobnej monety, wypuszczono papierowe bony na rachunek fabryk i przedsiębiorstw, wskutek czego ceny podskoczyły w czwórnasób w ciągu tych paru dni. Dzienników innych, prócz lokalnych, nie było, zato poczta pantoflowa funkcjonowała doskonale, przynosząc nieprawdopodobne wieści o zwycięstwach, odniesionych przez „naszych“ w pierwszych potyczkach z Niemcami. Wieści te, rozpowszechniane głównie przez szpiegów i zakonspirowanych urzędników, przyjmowane były naogół w dość dobrej wierze, bowiem przez Zawiercie przemaszewowała kawalerja niemiecka, której niezdarne ruchy, ciężkie konie i opasłe postacie jeźdźców pobudzały do śmiechu i żartów gapiące się tłumy. Przewidywano, że przy pierwszym starciu z kozakami nieosobliwa ta jazda zniesioną będzie doszczętnie. Zapomniano o potężnych haubicach i wybornej piechocie, którą podziwiano dzień przedtem i zachowywano rezerwę w dalszym ciągu w obawie przed szpiegami i powrotem „naszych“. Widziałem, że nic tu nie będę miał do roboty, bo nie znając żadnej organizacji wojskowej, o której istnieniu w Zawierciu jakoś nie było słyhać, w pojedynkę lub nawet w grupie ideowych przyjaciół działać było niesposób. Czwartego tedy dnia wybrałem się z niewielkim tłumoczkiem na plecach na piechotę w stronę Dąbrowy Górniczej. Niedaleko tego miasta żył mój ojciec, dosługujący się właśnie podwójnej (ministerjalnej i petersburskiej) emerytury nauczycielskiej. Ścieżki wzdłuż toru kolejowego były wówczas jedyną komunikacją z resztą Zagłębia, to też na ścieżkach tych spotykałem, niemal co krok, pojedynczych ludzi lub całe wędrujące grupy, dźwigające na plecach nieraz cały swój dobytek. Gęsto rozstawione wzdłuż toru posterunki niemieckie nie zaczepiały, ani nie legitymowały we dnie nikogo, o ile nie

zbliżał się zbyttnio do strzeżonych obiektów. Na tej drodze, gdzieś pod Ząbkowicami, wpadł mi w ręce świeży numer „Kurjera Zagłębia“, z którego dowiedziałem się o mobilizacji strzelców w Krakowie, o N. K. N. i tworzeniu Legionów.

W Dąbrowie panował ten sam nastrój, co i w Zawierciu. Mając tu jednak szerszy krąg znajomych wśród konspiracyjnej młodzieży, wpadłem odrazu w wir toczących się dyskusyj i narad, rezultatem których była wciąż ta sama zalecana przez starszych rozwaga i... oczekiwanie. Wciążgnięty do straży obywatelskiej, rad byłem, że posiadam jakoweś zajęcie, które odrywało mnie od ciężkich, trapiących myśli, dając iluzję jakiegoś czynu. Lecz, widząc później, jak obronione przez nas wagony z żywnością, na które co noc, a i w dzień biały, głodne lub przewidujące głód tłumy robotnicze urządzały prawdziwe ataki — powędrowały zagranicę, zrabowane przez Niemców, jak rozważni i poważni ojcowie miasta ustosunkowują się do tworzących się władz okupacyjnych, jak walczą o wpływy i osobiste znaczenie, denuncjując się nawzajem i szukając oparcia nie w samych sobie, lecz w jakiejś sile odśrodkowej, zewnętrznej — wpadłem w apatię i poczęłem miarkować swą zbytnią gorliwość w chronieniu życia i mienia tych, którzy o własne brzuchy dbając, wydzielali sobie ochłapy i pielęgnowali starannie dawne tradycje „taty“. Tymczasem pierwsza kadrowa obaliła słupy graniczne: strzelcy zajęli Kielce. Poruszyło to młodych, którzy podawali sobie z ust do ust nazwisko Komendanta Głównego. Poczęły krążyć Jego płomienne odezwy, wzywające na bój o Polskę. Równocześnie pojawiły się odezwy sprzymierzonej armji austro-niemieckiej, wzywające pod swoje sztandary dla pomszczenia „jęków Sybiru i katowania unitów“. Wraz z przemycanymi za srebrne ruble przez front dziennikami warszawskimi, honorowana przez umiarko-

wanych, przyszła odezwa wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, wspominająca Grunwald i obiecująca spełnienie marzeń ojców, ale... pod berłem rosyjskiem!

Debatom nie było końca, aż wreszcie zbombardowanie przez Niemców Kalisza, klęska Austriaków pod Kraśnikiem i zajęcie Lwowa przyniosły triumf działaczy „narodowych“, odkładających rozstrzygnięcie sprawy polskiej przez samych Polaków do... wyjaśnienia sytuacji.

Ale szabla polska rzucona już została na szalę wypadków. Wśród dziejowej zawieruchy powstał czyn zbrojny Człowieka, którego Imię powtarzane odąd będzie z głęboką czcią przez jednych, z tępą nienawiścią przez drugich.

Józef Piłsudski!

Aureola, otaczająca te dwa wyrazy, już nie zagaśnie. Staną się one symbolem, oparciem i drogowskazem w życiu tych, którzy o Polsce stanowić mieli dziś i w niedalekiej przyszłości. Ani rozbite Legjonu Wschodniego, ani machinacje polityków galicyjskich już zniweczyć nie mogły skutków czynu 6-go sierpnia i dalszych tego czynu konsekwencji. Wojsko polskie bowiem istniało. Był to fakt niezaprzeczony, z którym liczyli się i Niemcy, i Austriacy, choć własne społeczeństwo tego widzieć nie chciało i odżegnywało się od wszelkiej styczności z „szaleńcami“.

Młodzież jednak myślała inaczej, nadstawiając pilnie ucha w stronę Kielc, gdzie organizowały się już całe bataljony strzeleckie z ochotników Królewaków. Ci, którzy nie obawiali się wydziedziczenia, ani wyklęcia, którzy znieść potrafili szyderstwo i objawy niechęci swoich najbliższych, wymykali się cichaczem z domu, przez nikogo nie żegnani, dążąc na piechotę tam, dokąd ich wzywał ojczysty znak, ów ptak srebrnopióry, połyskujący już nad czołami tych nielicznych, których imiona były, jeśli nie uwielbiane, to dobrze znane szlachetniejszej części społeczeństwa w kraju i zagranicą. Sieroszewski, Żuławski,

Daniłowski, wielki Zeromski wiązali sobą cały bukiet polskiego Parnasu tak, że w kilka lat później mówiono z przekąsem, że wśród piłsudczyków więcej było poetów niż żołnierzy. I słusznie. Bo myśmy na wojnę patrzyli tylko ze strony idealnej, bez wyrachowania i żołdackiego zdziczenia, osobiste ambicje zaś, jeśli były, szukały sobie ujścia i zadowolenia po za naszym kręgiem ludzi z 1914-go roku, gotowych jeno na szubienicę, dla których huk armat był najwspanialszą muzyką, a terkotanie karabinów maszynowych rytmem, pobudzającym do komponowania beztroskiej pieśni leguńskiej. Myśmy w ataku więcej dbali o to, żeby nachwytać jak najwięcej gorących jeszcze „ze garów“ od pękających nad naszymi głowami szrapneli nieprzyjacielskich, aniżeli o same głowy. Byliśmy artystami, „romantykami“ w każdym calu i wiernie dbaliśmy o to, aby wszędzie tworzyć piękno zewnętrzne i wewnętrzne, nawet z tych okrucichów wdzięcznego metalu, z którego nasz mistrz Konieczny rzeźbił bez wymyślnych narzędzi swoje cudowne minjatury. I, zaprawdę, łatwiej nam było wówczas na pierścionku aluminiowym wyskrobać paznokciem godło zapomniane, niżli z serc zaskorupiałych wykrzesać choćby iskrę zapалу dla sprawy, której poświęciliśmy naszą młodość i życie.

Królestwo spało. Jeno w Kieleckiem, objętem kręgiem działania komisarjatów wojskowych, panowało pewne ożywienie, choć do całkowitego przebudzenia się było jeszcze daleko.

Zaślepiony potęgą Rosji naród tłumił w sobie każde żywsze bicie serca, które się wyrывało z piersi na widok powstańczego sztandaru, swego munduru, na dźwięk mowy ojczystej i polskich słów komendy. Powodem ożywienia były, oczywiście, niewiasty, jako bardziej reagujące na bezpośredniość otrzymywanych wrażeń, to też niejednen z kielczan wstąpił do wojska dlatego, że widział, jak roz-

iskrzony wzrok umiłowanej darzy gorącym uwielbieniem ćwiczących się na placu żołnierzy, ślizgając się obojętnie po jego świeżo odprasowanych „cywil-bagazach“. To też panny z kwiatami, które przeszły do piosenki żołnierskiej z tych czasów, były może jedynym dowodem uznania tego bohaterstwa, które sławą światową opromienić miało wkrótce imię Legjonów.

Zmuszony pozostawać nadal w Dąbrowie, wybierałem się jednak w drogę do Kielc, nie chciałem wszakże czynić tego potajemnie. Trzeba było rozmówić się z rodzicem. Ojciec, choć wstecznikiem nie był, zbyt długo pozostawał na służbie państwowej rosyjskiej, aby się w głębi jego psyche nie wytworzył pewien rodzaj kultu dla istniejącego dotychczas porządku rzeczy. Despota z natury, Niemców nienawidził, Austriaków lekcewał, w żywotność narodu polskiego nie wierzył. Musiał już przedtem podejrzewać mnie o jakieś ukryte zamiary, bo na wyraźne oświadczenie się moje z chęcią wstąpienia w szeregi strzeleckie ruszył jeno wąsami i mruknął:

— Ano cóż? Odezwała się w tobie szlachecka krew twojej matki! Jesteś człowiekiem samodzielnym od dwóch lat, rób, jak uważasz. Tylko pamiętaj, jak cię Moskale złapią, nie powołuj się na mnie, bo ja pragnę jeszcze w spokoju z emerytury korzystać.

Pocałowałem ojca pokornie w rękę, on zaś musnął mnie twardemi wąsami w czoło i zapytał już łagodniejszym tonem:

— Gdzie się wybierasz?

— Do Kielc.

— Hm, toć się nie pali, a twoi strzelcy jeno patrzeć, jak i tu przyjdą. Szkoda twej fatygi. Gdy ich zobaczysz tu na miejscu, pewnie cię chętką do tego wojska odbiegnie, bo powiadają, że tylko łobuzy i gołębiarze z Kielc do nich przystali. A ten cały wódz, Piłsudski!....

— Ależ ojczel!

— Ty wiesz swoje, a ja swoje. Co się odwlecze, to nie uciecze. Lepiej poczekać!

Ojcu memu trudno było oponować, poczekać zaś musiałem, choćby z tego względu, że trzeba było wprawdzie zlikwidować sprawy, związane z moją funkcją zastępcy komendanta milicji obywatelskiej. To też ze strzelcami zetknąłem się w tydzień później w Gołonogu, kiedy nocną porą wyszedłem na kontrolę warty nocnej.

— Kto idzie?

— Strzelcy.

Błysk latarki elektrycznej, w którym zamigotały przede mną trzy smukłe sylwetki. Byli to, jak się później okazało, ob. ob. Filip (Szajewski), Bartek (Jaksz Bykowski) i Ryszard (Piwowar), ostatni osobiście mi znany z Ząbkowic. Wyszli na patrol, zadaniem którego było wyłapywanie ukrywających się szpiegów rosyjskich i przekazywanie ich posterunkom niemieckim. Doszliśmy prędko do porozumienia i przy pomocy moich milicjantów udało się strzelcom aresztować dwóch Rosjan, podejrzanych o szpiegostwo: kolejarza i gajowego rządowego z Gołonoga. Miałem nareszcie sposobność przyjrzenia się zbliska tym, do których wyrывała się dusza i usłyszenia owego przedziwnie wzruszającego zwrotu „obywatelu“, przypominającego czasy kościuszkowskiej jeszcze konspiracji. I te same nocy postanowiłem nie zwlekać już dłużej z przywdzianiem strzeleckiego munduru. Dowiedziawszy się, że w szkole sztygarów już od kilku dni otwarte jest biuro werbunkowe, oświadczyłem strzelcom przy pożegnaniu, że jutro tam się zgłoszę. Oświadczenie moje przyjęte zostało życzliwymi uściskami rąk mych trzech przyszłych towarzyszy broni, którzy też udzielili mi informacji, w jaki sposób mam załatwić formalności.

Nazajutrz, dnia 4-go września, wyszedłem z domu, jak zwykle, i nie wstępując do komendy straży, oddałem spotkanemu milicjantowi swą opaskę, legitymację i rewolwer, aby je wręczył komendantowi obwodu, poczem zboczyłem na kopalnię „Flora“ po kolegę D., z którym umówiliśmy się już dawniej, że razem do strzelców wstąpimy. Wspomniany, zaskoczony mem nagłym przyjściem, zebrał się jednak i ruszyliśmy w drogę, lecz im bardziej zbliżaliśmy się do biura, tem mój kolega tracił coraz więcej na rezonie. Wreszcie stanęliśmy przed bramą, w której stał wartownik. Młody ten chłopiec, widocznie rekrut, nie chciał nas wpuścić na dziedziniec, żądając przepustek. Tłumaczyliśmy mu, że żadnych przepustek mieć nie możemy, bo chcemy się tu dopiero zaciągnąć do wojska, ale wartownik twierdził uparcie, że wchodzić nikomu do koszar nie wolno, aż wreszcie zdecydował się przez krążących po dziedzińcu nieumundurowanych jeszcze cywilów zawezwać komendanta warty. Po małej chwili nadszedł komendant warty wraz z ob. Bartkiem. Ostatni poznał mnie natychmiast i uprzejmie powitał.

— To doskonale, że dotrzymujecie słowa, obywatelu. Pozwólcie ze mną zaraz na żołnierski obiadek, a formalności załatwimy później.

Odwróciłem się, chcąc przedstawić swego towarzysza, i zdumiałem się niepomrotnie, widząc, że mego kolegi ani śladu. Dostrzegłem go jednak, jak zawijał fraka na drugim końcu placu.

— Co, kolega stchórzył? — zapytał z uśmiechem Bartek, idąc za mym wzrokiem oczyma. — To nic, to jest na porządku dziennym, wczoraj pięciu od bramy odeszło, a wielu musi się kilka dni z rzędu przez parkan przypastrywać naszym ćwiczeniom, zanim zdecyduje się przekroczyć Rubikon. Jednak ochotnicy napływają. Pomału, ale napływają!

Z temi słowy powiódł mnie ob. Bartek przez dziedziniec do gmachu szkoły, obecnie koszar strzeleckich. Po drodze wyjaśnił mi jeszcze, że biuro werbunkowe zostało zainstalowane od wczoraj na mieście, stąd żądanie przepustki przez wartownika.

— Właściwie powinienem was tam odesłać, ale po starej znajomości można was będzie zapisać i tutaj, tylko pod warunkiem, że wstąpicie do mojej sekcji.

— Z przyjemnością.

Wchodziliśmy właśnie z korytarza gmachu do obszernej sali, gdzie mieściła się kuchnia i zarazem jadalnia. Kuchnia składała się z dwóch wielkich kotłów, wmurowanych w palenisko. Jadalnię reprezentowało kilkanaście stołów i ławek z nieheblowanych tarcic. W tej chwili miejsca przy stołach były przeważnie zajęte. Ob. Bartek zajął się mną troskliwie, wyszukał mi wolne miejsce za stołem, przynosząc za chwilę menażkę pełną zupy, którą rozdzielały przy kotłach dwie starsze obywatelki. Kęs chleba i pieczone na drugie danie dopełniły ten żołnierski obiad, który smakował mi wybornie.

W czasie obiadu rozglądałem się ciekawie wśród ochotników, siedzących wokoło, i stwierdziłem, że przeważna część nieumundurowanych jeszcze cywilów pochodzi ze sfery inteligentnej, co zbijało twierdzenie niechętnych strzelcom, jakoby na zew do broni odpowiedziała jedynie ulica. Wesół gwar młodych głosów i serdeczność w obęściu z cywilami szarż umundurowanych kazały przypuszczać, że w tem dziwnem wojsku duch demokratyczny przenika wszystko i wszystkich naokół.

Po skończonym obiedzie dyżurni zajęli się sprzątaniami stołów, przekomarzając się przytem z urzędującymi przy kuchni obywatelkami. Niektórzy dojadali „repetę“, do której zapraszały miłe gosposie, inni łączyli się w grupy, z których buchnęła nagle aż pod strop sali wesoła strze-

lecka pieśń. Tu prym trzymał ob. Filip, zachęcając głosem, gestem i własnym przykładem. Przy tym śpiewie minął szybko czas, przeznaczony na odpoczynek południowy. Jakaś szarża z gwizdkiem na zielonym sznurku przerwała pieśni wezwaniem na zbiórkę. Ob. Bartek znowu się znalazł przy mnie i poprowadził do kancelarji, gdzie zanotowano starannie w księdze moje personalja, każąc obrać sobie pseudonim.

— Popiel — bąknąłem.

— Doskonale. Tylko uważajcie, żeby was myszy nie zjadły. Z tą kartką pójdziecie do lekarza, który zaopiniuje ostatecznie o waszem przyjęciu.

Udałem się już sam do ambulatorjum, w którem urzędował Jerzy Żuławski, rozprawiający właśnie na jakieś filozoficzne tematy z młodziutką obywatelką, mającą na ramieniu białą opaskę z czerwonym krzyżem. Sanitarjuszka stała zasluchana ze szczotką w ręku na środku pokoju, gdy przez uchylone drzwi wszedłem dość ostro do pokoju, zatrzymawszy się następnie niepewnie z kartką w ręku. Żuławski zwrócił ku mnie swą szczupłą twarz i z poza ciemnych binokli przyjrzał mi się uważnie, kończąc równocześnie rozpoczęte zdanie.

— Co, nowy obywatel? Zdrów jesteście? Widzicie dobrze? Słyszycie? Chcecie służyć w wojsku polskiem? Nie rozmyślicie się?

Odpowiedziałem na te wszystkie pytania odrazu, że postanowienie moje służenia Ojczyźnie w szeregach strzeleckich jest nieodwołalne, co wywołało błysk na twarzy mego interlokutora. Wziął z mych rąk kartkę i napisał na niej „zdrów“, poczem położył swój podpis i zwrócił się znowu do sanitariuszki, krzątającej się teraz po pokoju. Zrobiłem, jak umiałem, wtył zwrot i wyniosłem się z ambulatorjum, udając się, według instrukcji, otrzymanej w kancelarji, na górę do sali Nr 7, gdzie zastałem właśnie ćwiczenia chwytów broni czy szermierki. Jakiś przysadzi-

sty i ospowaty strzelec wykonywał śmieszne skoki, obracając się nagle ruchem wirowym i przebijając próżnię drewnianą imitacją karabina.

— Wpieriod koli! Wzad koli! W wierch koli! — wykrzykiwał przytem zdyszany głosem, robiąc prysiudy, a otaczająca go grupka rekrutów bądź kiwała głowami z uznaniem, bądź też wybałuszała szeroko zdziwione oczy.

Był to obywatel Kozłowski Stefan, były żołnierz rosyjski, rodem z Mierzwina pod Jędrzejowem, który pokazywał właśnie rosyjską szermierkę bagnetem w myśl starej suworowskiej zasady, że „pula dura, sztyk maładiec“. Gdy Kozłowski się zmęczył, odebrano mu kij i starano się pokolei naśladować jego ruchy na komendę: „Wpieriod koli! Prikładom biejl!“ i t. p. Po chwili wpadł na salę dyżurny podoficer, ogłaszając zbiórkę na podwórzu. Z sąsiednich sal wysypywali się strzelcy i cywile z wernikami na sznurkach, zamiast pasów i poczęli ustawiać się w ordynku. Nowych, w tej liczbie i mnie, wydzielono w osobną grupę. Komendę objął ob. Bartek, rozpoczynając z nami ćwiczenia podstawowe postawy i zwrotów. Śmiesznie musieliśmy przy tem wyglądać, bo zebrana za parkanem gawiedź wytykała nas palcami i czyniła głośnie uwagi. Nadrabialiśmy jednak miną, baczni na każde słowo i skinienie instruktora, który nas zbytnio nie męczył, starając się w bardzo łagodny sposób i zapomocą własnego przykładu nadać naszym nieruchomym członkom żołnierską giętkość i sprężystość, zaś nasza dobra wola okazała się w tym wypadku bodaj że najskuteczniejsza. Po dwóch godzinach tych ćwiczeń odmaszerowaliśmy na górę do osobnej sali, która miała nam służyć za kwaterę. Było tam parę wiązek słomy, którą rozesłaliśmy pod ścianami na podłodze. Ktoś przyniósł koce, wybraliśmy sobie miejsca i teraz dopiero, złożywszy, kto miał, u wezglowia swe matki, mogliśmy się bliżej ze sobą zapoznać i sobie wzajem przyrzec.

Byli tam wówczas: Piotr Kowalczyk (Brok), urzędnik kopalniany, Prochaska, nauczyciel, Stanisław Dziuk (Szerbiński), buchalter, przybyły z Rygi, Zygmunt Kamiński (Roch), urzędnik, młodzi urzędnicy kopalniani Czapla i Brzeski, maturzyści i uczniowie gimnazjalni jak: Czesław Przybyszewski (Lizdejko), Leon Klaczyński (Anielka), Lucjan Szulc, Jan i Henryk Ottowie, Heniek Szymański, Janusz Suchorzewski oraz przedstawiciele sfery włościańskiej i robotniczej, wspomniany Kozłowski Stefan, Paweł kiewicz, Paluch, Jan Zadroga, Teofil Dąbrowski, Wincenty Bentkowski (Sokół), Kłębek i inni, razem 24 osób. Komendantem sali był instruktor Roch z Sosnowca. Charakterystyczną postacią był Kowalczyk. Chudy i długi, jak tyczka, przerastał o głowę najwyższego z nas, twarz zaś miał typowego Jankesa: ogolony, z binoklami, wiszącymi na końcu długiego nosa, przy komiczności swej zachowywał powagę, tak że go odrazu „ojcem Brokiem“ zaczęto tytułować. Przy bliższym poznaniu „ojciec Brok“ zasługiwał na najwyższy szacunek, ponieważ był człowiekiem wykształconym, czytającym, o wysokim poczuciu prawdziwego honoru. To też wkrótce po wygłoszeniu dłuższego przemówienia na temat naszej obecnej sytuacji, którego humorystyczny koloryt nie pozbawiony był pewnej mądrości życiowej, Brok stał się autorytetem nawet dla szarż, od których potrafił wyciągnąć drogą perswazji to, czego nie osiągnął zwyczajny śmiertelnik, jak: przepustkę na miasto, darowanie drobnego przewinienia lub pudełko papierosów, z którymi wówczas było krucho. Był w tych wszystkich wypadkach zawsze orędownikiem innych, rzadko kiedy prosił o coś wyłącznie dla siebie. Wypadło mi być jego sąsiadem na posłaniu, mając z drugiej strony obywatela Dziuka, który wzrostem wprawdzie nie dorównywał Brokowi, ale co do powagi i swady mógł być godnym jego zastępcą. Oprócz niego, Broka, Prochaski, Kozłowskiego i mnie, reszta byli to wszystko chłopcy, nie

dochodzący dwudziestki, zaś najmłodszy Heniek liczył zaledwie lat 15. Młodzi zasymilowali się z nami szybko, zachowując jednakże pewną dozę respektu prawie przez cały czas naszego wspólnego bytowania, ojciec Brok zaś stał się wkrótce niemal wyrocznią w sprawach, wymagających koleżeńskiego załatwienia.

Gdy już posłania były gotowe i pierwsze lody wzajemnego zbliżenia się przełamane, zmrok dawno zapadł i odezwał się na dole dzwonek, wzywający na wieczerzę. Zeszliśmy gremjalnie do kuchni, gdzie każdy otrzymał pół menażki gorącej herbaty i ćwierć bochenka chleba z dodatkiem kawałka kielbasy. Kolację spożywano przy stołach, przyczem szarże z czerwonymi czy zielonymi sznurkami siadały pospołu z szeregową bracią, opowiadając sobie ważniejsze wydarzenia polityczne dnia — ogólne i lokalne. Zorganizowana już przy naszym oddziale przez Kostka Biernackiego żandarmerja polowa aresztowała właśnie dwóch asów „narodowych“ z Dąbrowy, usiłujących przeciwdziałać akcji werbunkowej. Na temat tchórzostwa tych panów, którzy po dwóch dniach odbytej kozy wypuszczeni zostali na wolność, dając solenne przyrzeczenie niemieszania się więcej do spraw strzeleckich, krążyły wesołe anegdotki.

Ob. Filip zainicjował znów chóralne śpiewy żołnierskie. Po odbytych apelach wieczornych zaczęliśmy się układać powoli do snu, przy kopnącej lampie, którą wnet zgaszono. Przewracałem się z boku na bok na niewygodnem posłaniu, obok mnie, z prawej strony, to samo czynił ob. Dziuk, zaś Brok z lewej dudnił gołemi piętami po podłodze, napróżno usiłując okryć swoje długie nogi przykrótkim kocem. Wreszcie nie wytrzymał i uraczył nas długą przemową po ciemku, zaczynając się od nieodłącznego wstępu:

— Czy wiecie, obywatele szlachetni i zacni, że...

Tu następowało wyliczanie tych wszystkich wygod, jakich zażywa przeciętny filister, którego głowa o żadną

Polskę nie boli i skonstatowanie obecnej naszej „niedoli”. Konkluzja tego arcykomicznego przemówienia była taka, że kiedyś za te wszystkie trudy i znoje otrzymamy uznanie od kulawego psa, gdy wygramy dudka na kościele, bo z Polski skorzystają tylko ci, co jej dziś nie chcą i nie pragną. Po skończeniu swojej długiej tyrady Brok zdawał się zasypiać. Myślałem, że już usnął, gdy nagle poruszył się niespokojnie na posłaniu:

— O jej, coś mnie pod łopatką gryzie! Jeżeli nie pchła, to już wiem co... Jeżeli ta słoma nie została przyniesiona zdołu od szlachetnych i zacnych obywaterek, to jestem kiep. Całkiem babskie fanaberje ma ta pchła, tu ukąsi, a tam rozmigdali. Nie macie przypadkiem papierosa? Jednego, uważacie, bo ta pchła...

Senny już sięgnąłem pod swe wezglowie i namacawszy tam papierosy, wetknąłem je Brokowi, poczem, zmęczony wreszcie wrażeniami dnia, momentalnie usnąłem.

Dzień następny miał nam przynieść nowe wrażenia i silniejsze emocje. Oto po rannych ćwiczeniach, odbytych pod solidnym kierunkiem ob. Bartka, gdy nasza „cywilbanda” jęła obsiadać stoły w jadalni, piastując oburącz okrągłe menażki blaszane, pełne smakowitej zupy, dostrzegłem w jednym z kątów sali ułańskie czako, nieco z fantazją przekręcone na lewe ucho, poniżej zaś czaka „platynowe” loczki, wymykające się niesfornie z pod siwej maciejówki, okalającej różową i niebrzydką buzię jakiejś nowej obywatelki. Jakież było moje zdumienie, gdy ułan odwrócił nagle głowę profilem i ukazał najpierw świeżo zapuszczone baczki, a la książę Pepi, a później charakterystyczny nos i śmiejące się oczy, które choć w obecnej chwili lśniły przymilająco do swej partnerki, nie straciły jednak nic ze swego dawnego wyrazu.

— Janek! Co tu robisz?

Spojrzał bystro w moją stronę i uśmiech powitalny zastąpił wnet pół-drwiący uśmieszek typowego don-

zuana, jakim był mój przyjaciel ze Złotego Potoka. Przeprosił towarzyszkę i podsunął się do mego stołu.

— To ja raczej powinienem cię zapytać, czemu to jeszcze widzę cię wprawdzie nie w meloniku, ale w tych samych cywilnych szmatach, w których żegnałeś mnie przed miesiącem. No, ale lepiej późno, niż wcale! — dodał wyrozumiale, całując się ze mną serdecznie.

— Skądżeś się tu wziął?

— Przyjechałem służbowo z ważnymi wiadomościami z Krakowa i jeszcze dzisiaj jadę dalej, do Kielc.

— Wstąpiłeś do kawalerji?

— Jak widzisz, choć bez konia i siodła narazie. Ale zato zarekwirowałem auto i to wiesz komu? Naszemu hrabiemu ze Złotego Potoka. Już się biedaczysko wybierał na niem zagranicę, gdy koleje stanęły, aż tu w Michałowicach nasi chłopcy cap za maszynę. Tyle wyprosił, żem go po starej znajomości odwiózł do majątku, jako że w swoim czasie przeszedłem kurs szoferski w Warszawie. No i zapowiedziałem przy sposobności, żeby się nie ważył przypadkiem odbierać emerytury memu staremu, który ją sobie u niego wysłużył.

Ułan śmiał się tym niefrasobliwym uśmiechem młodości, któremu trudno nie zawtórować. Śmieliśmy się tedy razem, gdy mi Janek jął opowiadać szczegóły owej rek wizycji i wzburzenie hrabiego, znanego zresztą ze swego niedołęstwa.

— Cóż to za ważne nowiny przywiozłeś z Krakowa?

— Przedewszystkiem mundury dla was, obszarpańców, sto Manlicherów i kompletny ekwipunek do nich. Cała intendentura w drodze razem ze sztabem oficerów. Wyjeździecie na organizację w głąb Królestwa!

Ucieszyłem się niezmiernie.

— To rzeczywiście nowiny wielce pocieszające. Może się zrobi wreszcie jakiś ruch. — A kto z oficerów przyjeżdża?

Ale Janek nie zdążył mi już odpowiedzieć, odciągnął go bowiem inspekcyjny oficer do kancelarji. Z urywków rozmów obiadowych szarż dowiedziałem się jednak, że Kielce się likwidują, bo Komendant Główny wyszedł z dwoma bataljonami gdzieś w stronę Wisły, a do nas ma przyjść kilkudziesięciu podoficerów wraz z orkiestrą strzelecką z Kielc. Pójdziemy na organizację, to znaczy musimy ściągnąć ochotnika z dalszych terenów Królestwa, oczyszczonych z wojsk rosyjskich, i posuwać się za armją niemiecką w stronę Warszawy. Poweselały wszystkie oblicza, zaś po skończonym obiedzie buchnęła pod stropy sali wyzywająco strzelecka pieśń: „Czy umrzeć nam przyjdzie na polu“. Rej wodził jak zwykle ob. Filip. Po południu ćwiczenia karabinami bez pasów, po kolacji zaś wszystkie górne sale wypełniły się gwarem. Wiara politykowała, czyniąc zgiełk nieopisany. Czapla i Brzeski wystrasnęli skądś mundury i wybierali się na kopalnię „Saturn“ zwoływać wiec robotniczy. Prochaska otrzymał przepustkę na zebranie nauczycielskie. Wyrywali się i inni, każdy chciał przysłużyć się sprawie i zaagitować na rzecz wojska wśród przyjaciół i znajomych. Ale cywilne szaty olbrzymiej większości ochotników stanęły na przeszkodzie ich dobremu chęciom. Zresztą nieumundurowanych nie wypuszczano wogóle z koszar. Poprzestano tedy na bardziej intymnych rozmowach, dopóki podoficer służbowy światła nie zgasił. Potem już oczy same się do snu skleiły, bo ruch na wolnem powietrzu robił swoje. Nawet ojciec Brok, ułożywszy się jako tako na swem posłaniu, o papierosach i o pchłach zapomniał, nagadawszy się przedtem ze wszystkimi dowoli. Rano zbudziły nas jakieś dziwne porykiwania i postękiwania zdołu. To przybyła w nocy z Wadowic orkiestra—próbowała przed pobudką jeszcze swych rozklekotanych w drodze instrumentów. Ucieszona wiara, ledwie się umywszy, zbiegła na dół po-

dziwiąc lśniące trąby, pękate bębny i brzuchate bassetle, których strzegło kilkunastu kielczan muzykantów, przybranych w siwe mundury i legjonowe rogatywki. Instrumentów wszelkiego rodzaju było 26, a więc muzyka, co się zowie, ponoć dawna strażacka z Kielc. Miała ona teraz zmienić swe obertasy i mazury na poważne hymny i marsze siarczyste, to też nie dziwota, że młodzi muzykanci próbowali wciąż świeżo wyuczonych tonów muzyki wojaskowej.

Czekała nas tego dnia jeszcze inna atrakcja, bo w czasie śniadania jęły na dziedziniec koszar zajeżdżać ładowne wozy, wypełnione wszelkim ekwipunkiem wojskowym. Na wierzchu tobołów i stosach płaszczy, rzuconych luzem, siedziały obywatelki młode i stare, „intendentki“ ze zlikwidowanych Kielc, w szarych maciejówkach, tkwiących na czubkach poplątanych koków lub na rozwichrzonych krótko obciętych czuprynach tak głęboko, że wpadały na oczy roześmianych i rozgadanych niewiast. W okamgnieniu rzucono się do wozów i, zdjawszy z nich nie bez piśków i przekomarzań się najpierw żywe bagaże, jęto znosić pod kontrolą obywaterek całe naręcza przeróżnych osobliwości do jednej z sal na dole, gdzie je segregowano, składając na oddzielne kupy. Pracowałem i ja z zapalem, aż siódme poty na mnie wystąpiły, aby się jak najprędzej dorwać do upragnionego munduru. Niestety, tego dnia nie otrzymaliśmy jeszcze nic z przywiezionych rzeczy, bo intendentki zajęły się porządkowaniem wszystkiego, organizując równocześnie szwalnię, widocznie, aby w myśl starej żołnierskiej piosenki „być w rezerwie, gdy się komuś guzik zerwie“. O ćwiczeniach poobiednich tego dnia nie było mowy, bo wszystko bractwo, nie wyłączając szarż, zwiewało do intendentury „pomagać“ w takt ćwiczącej się w przyległej sali orkiestrze. Ożywienie, jakie wniosły niewiasty w mury koszar, trwało i po kolacji, gdy do naszych

barytonów i tenorków przyłączyły się też głosiki przemysłowych strzelczyń, a szczerzy koleżeński stosunek obojga płci, zmieszanej na odcinku pracy dla wspólnej idei, pozostawił w mej duszy niezatarte niczem wrażenie tego sympatycznego wieczoru.

Nazajutrz z samego rana rozpoczęło się fasowanie gruzpami. Każda sekcja otrzymywała hurtem określoną ilość płaszczy, mundurów, pasów, ładownic, plecaków i t. p. utensylii żołnierskich, aż do przyborów do jedzenia włącznie i w łonie tejże sekcji rozpoczynało się nieskończone przymierzanie i dopasowywanie poszczególnych części umundurowania. Najgorzej powiodło się Brokowi, bo na dwadzieścia przerzuconych mundurów żaden nie chciał pasować na jego długie ciało. Musiał biedak poprzestać na spodniach, sięgających mu ledwie za kolana, bluzie, zwisającej ze wszystkich stron, a kryjącej w swych rękawach ledwie kościste łokcie naszego Jankesa, i przykrótkim — płaszczu. Za to buty dobrał akuratnie, gdyż były same tylko duże numery. Wyglądał arcypociesznie, jednak nadrabiał miną, nie tracąc nic ze swej powagi. Brakujący kawał spodni nadsztukował pończochami, rozciągając je niemilosiernie, pod bluzę przywdział sweter, którego rękawy spełniać miały rolę mankietów i czuł się doskonałe. Nie chciał nawet iść do szwalni, aby mu niewiasty guziki poprzesuwały i nadrobiły jakoś braki, chciał być i pozostał nadal samowystarczalnym. Inaczej rzecz się miała z elegantami, którzy pragnęli wyglądać „z igielki“, to też szwalnia była oblężona do samego wieczora. Trzeba przyznać, że ekwipunek przez nas otrzymany był w jak najlepszym gatunku: mundury z doskonałego sukna, także i płaszcze, pasy i ładownice z nowego, pięknie połyskującego rzemienia. Brakowało tylko solidnej broni, ale już przed wieczorem nadciągnęły nowe wozy, przywożąc setkę karabinów, z czego 72 nowiuteńkich Manlicherów, reszta

systemu greckiego, sześciostrzałowe, o wąskich, a długich bagnietach. Złożono je osobno i tego dnia nie rozdawano.

Nazajutrz rano, już wszyscy umundurowani, stanęliśmy na zbiórkę w pełnym rynsztunku, niestety jeszcze z Werndlami na sznurach, które wrzynały się niemiłosiernie w ramiona. Tu dopiero okazało się, że jest już nas pokaźna kompanja, zebrana w ciągu kilku dni zaledwie. Podzielono nas na cztery plutony, wydzielono dowódców plutonów. Nasz pluton był I-szym, którego dowódcą został tymczasowo ob. Garbarz. Brak było podoficerów, to też ćwiczenia szły jakoś ospale. Przed wieczorem przyjechali autem komisarze wojskowi z Krakowa. Byli to, jak się dowiedziałem, ob. ob. Sokolnicki, Daniłowski, Boerner, Jodko i inni.

W nocy wszczął się ruch. Przybył transport podoficerów, wyznaczonych na organizację z Wadowic. Odznaczali się zielonemi sznurkami i tem, że zamiast plecaków mieli prawie wszyscy tornistry z cielecej skóry, co zaobserwowaliśmy rano, stanawszy na zbiórkę, gdzie o radości! wydał no pierwszym dwóm plutonom Manlichery i greckie karabiny, reszta kompanji zachowała Werndle, do których skądś wytrzaśnięto pasy. Podzielono nas na sekcje, przydzielono nowoprzybyłych instruktorów i... dopiero zaczął się „szwic“. Przez następne dwa dni ćwiczyliśmy, prawie bez wytchnienia, chwytty bronią i musztrę formalną na oczach gapiów, oblepiających stale parkany wokół dziedzińca koszarowego. Niewyrobite mięśnie trzeszczały z naprężenia, najgorzej zaś „szwicował“ czwarty pluton, dla którego nie starczyło Manlicherów. A że pluton ten składał się z najniższych niedorostków, manipulacje ciężkim kawałem żelaza dały mu się porządnie we znaki.

Zaszedł nawet incydent, który przeszedł następnie do anegdoty żołnierskiej. Był w czwartym plutonie malec może trzynastoletni, do którego codziennie przychodziła mat-

ka i przez parkan odbywała z nim łzawe konferencje rodzinie, chcąc upartego ochotnika namówić do powrotu pod dach rodzinny. Ale mikrus trzymał się twardo i dopiero przy ćwiczeniach z Werndlem, zginającym chłopca swym ciężarem do ziemi, zaś długością swą przekraczającym jego długość własną, gdy trzeba było stanąć w pozycji na „gotuj broń“, z długim bagnetem, osadzonym na lufie, malec nie wytrzymał, rzucił karabin na ziemię i rozpłakał się.

— *Weźcie sobie tę pikę i ten karabin!* Nie chcę takiego wojska!

Wobec tego wykrzyknika mikrus miał być odstawiony do mamy, ale że jeszcze więcej zaczął z tego powodu beczeć, ulitował się nad nim Żuławski i przydzielił do swych łapiduchów, gdzie chłopak, zwolniony od ćwiczeń, czuł się doskonale.

W trzecim dniu po tych forsownych ćwiczeniach kazano nam stanąć na zbiórkę w pełnym rynsztunku. Spodziewaliśmy się czegoś nadzwyczajnego, jakoż ujrzelśmy zboku grupę nieznanych oficerów, wśród których wyróżniał się swoim małym wzrostem i wąsikami à la Wołodyjowski ob. Trojanowski Ryszard. Z tej też strony wionął ku nam sztandar, przywieziony przez pluton podoficerski z Wadowic. Biały Orzeł na amarancie z jednej i wizerunek Częstochowskiej z drugiej strony pobudził serca wszystkich do żywszego bicia, bo oto pod tym znakiem pójdziemy na niewiadome losy naprzekór wszystkim i wszystkiemu. Staliśmy jednak nieruchomo w ciasnym szeregu, gdy przemawiał do nas najpierw dr Michał Sokolnicki, następnie ob. Ryszard Trojanowski. Ten ostatni przedstawił nam zwięźle nasze najbliższe cele i zadania budzenia ducha narodowego wszędzie tam, dokąd nam pójść wypadnie. Późem nastąpiła jeszcze raz reorganizacja oddziału, z którego słabszych żołnierzy wydzielono do formującego się taboru. Pozostała kompanja, licząca około dwustu ludzi,



... Weźcie sobie tę pikę i ten karabin !...

zatrzymała swój podział na cztery plutony, zmienili się tylko komendanci. Ob. Garbarz otrzymał trzeci pluton, naszym dowódcą został jeden z nowoprzybyłych oficerów, ob. Lieneman, podoficerem za frontem młody robociarz ze Lwowa, Gontaszewski, wielki służbista i moralizator, sekcje objęli dwaj bracia Wyszyńscy i Charkowski, wszyscy trzej rodem ze Stanisławowa. Ja, Dziuk, Prochaska i ojciec Brok tworzyliśmy pierwszą czwórkę sztandarową tego oddziału kadrowego, od postawy i zachowania się którego zależał dalszy jego rozrost liczebny i moralna siła. Komendę nad całym oddziałem objął ob. Borucki, wysoki, bardzo dystyngowany oficer, do którego mieliśmy się teraz zwracać pośrednio lub bezpośrednio we wszystkich sprawach osobistych i organizacyjnych. Ćwiczeń tego dnia nie było, po obiedzie natomiast kto chciał, mógł otrzymać przepustkę do wieczora dla pożegnania się z rodziną. Nazajutrz miał nastąpić wymarsz z Dąbrowy.

Skorzystałem z okazji i rozpocząłem wędrówkę po krewnych i znajomych, żegnany wszędzie ze łzami, jak straceniec. Rodzica w domu nie zastałem, zostawiłem kartkę pożegnalną i płaczącą sługę i... wróciłem do koszar. Przespałem się smacznie i zerwałem się ochoczo na głos pobudki, śpiesząc do umywalni. Po spożytym naprędce śniadaniu wszystko, co żyło, wyległo na dziedziniec. Utworzyliśmy kolumnę czwórkową, orkiestra zagrała marsza strzeleckiego i ruszyliśmy z obecnego placu Legjonów w ulicę 3-go Maja, rozrzewnieni i dumni równocześnie.

Pora była dość wczesna, przechodniów mało, a ci, którzy byli, przystawali na chodniku, spoglądając na nas bądź z głębokim politowaniem, bądź z obojętną ciekawością. Nie żegnał nas nikt, nikt nie odprowadzał, maszerowaliśmy tuż za orkiestrą, bijąc wściekle gwoździami podeszew o wystający bruk ulicy. Nie pamiętam dziś, który z podofice-

rów niósł sztandar przed nami, czułem tylko od czasu do czasu delikatne muśnięcie jego płachty po twarzy. W duszy miałem rzewność przeogromną i czułem dziwną jakąś moc, rozpierającą piersi. Chwilami trzeba było mitygować ruchem ręki Broka, który sadił tak olbrzymie kroki, że drobiazg, postępujący za nami, musiał dreptać prawie biegiem. Byliśmy jednak niewyćwiczeni, a trzeba było trzymać fason, choćby ze względu na gęsto rozstawione w tym miejscu posterunki niemieckie, prężące się na nasz widok na baczność. Orkiestra nie przestawała grać, wlepiłem nieruchomy wzrok w plecy postępującego przed nami Lienešana, podziwiając sprężyłość jego ruchów i giętkość dłoni, którą salutował w sposób wytworny, nabyty snąć w wiedeńskiej akademii wojskowej, której był uczniem, mijane szarże „sprzymierzeńców“.

I nie wiem, jak i kiedy znalazłem się wraz z całą kompanją na dworcu, zamkniętym niemieckim posterunkiem. Tu dano nam folgę, usiadłem tedy na brzegu wózka kolejowego na peronie, po którym przechadzali się nasi „komisarze“, nawiązujący serdeczne gawędy z żołnierzami. Pomiędzy tą grupą zwróciło moją uwagę indywiduum całkiem od innych odmienne, z długimi wąsami i beczelnym wyrazem twarzy, przybrane w skautowski kapelusz z odwiniętym rondem i rozprawiające właśnie o upadku Antwerpii. Odczułem odrazu niechęć do tego człowieka i nic dziwnego, był to bowiem osławiony Sujkowski, z którym miałem potem zetknąć się w Szczypiornie, jako z moralnym katem zamkniętych tam legjonistów. Sujkowski piał istne hymny na cześć niezwalczonej armii niemieckiej i zapowiadał rychły upadek Paryża z taką niepowstrzymaną radością w głosie, że wywołało to chmurę niezadowolenia na twarzach przysłuchujących się jego strategicznym wywodom strzelców. My bowiem inaczej zapatrywaliśmy się na pogwałcenie neutralności Belgii i na zwycięstwa niemieckie, rozpoczynające się na naszych ziemiach bezmyśl-

nem i barbarzyńskim zbombardowaniem Kalisza. Jednak potok, wymowy druha — komisarza (nie obywatela) zachłystującego się od zachwyty, płynął, póki nie dano nam sygnału wsiadania do podstawionego już pociągu. Zaczęliśmy się ładować, nie wiedząc, jaki jest cel naszej podróży. W drodze dopiero dowiedzieliśmy się, że wysiadziemy w Częstochowie. Niedaleka zatem podróż, raczej wybieczka! Uprzyjemnialiśmy ją sobie, jak zwykle, pieśnią i anegdotą żołnierską naprzemian.

* * *

W Częstochowie oczekiwały nas kwatery w gmachu byłego rosyjskiego gimnazjum, gdzie słomę do spania przygotowali miejscowi skauci, którzy zajęli dla nas ten budynek. Podczas gdy cała kompanja pomaszerowała w Aleje, nasza czwórka musiała asystować przy paradnem odniesieniu sztandaru do lokalu „Komendy Wojsk Polskich“, jak głosił napis, umieszczony pod wizerunkiem orła polskiego na czerwonym tle długiej tablicy, przytwierdzonej nad bramą jednego z gmachów przy ul. Dojazd, tuż za cukiernią Jackowskiego, obecnie „Cristal“. Mijając tę cukiernię spostrzegłem u wejścia do niej grupę naszych szarż, zbierających się widocznie na obiad i mimo woli przypomniało mi się, że tu przecież, jeszcze parę tygodni temu, zbierali się każdego wieczoru i w dniu świąteczne oficerowie 14-go mitawskiego pułku huzarów w czerwonych portkach i lakierowanych butach z ostrogami i, oparci o mosiężną balustradę okien wystawowych, pluli zazwyczaj siemieczkami w twarze przechodzących niewiast lub je brutalnie zaczepiali. Dziś dawnych władców ani śladu, a miejsce bezczynnych chamów rosyjskich zajął krzątający się zwawo siwy mundur strzelecki.

Po przybyciu do gimnazjum i uwolnieniu się od gniotącego rynsztunku, otrzymaliśmy kartki na obiad do jakiejś

kuchni dla głodnych, kędyś pod Stradomiem czy Ostatnim Groszem, dokąd udaliśmy się z menażkami pod pachą, wślad za kompanją, która już pierwszej tam pomaszerowała. Ledwie, trafiwszy pod wskazany adres, zastaliśmy tam już spożywających galop-zupkę strzelców. Poszliśmy też za ich przykładem, otrzymawszy za swe kartki z rączek nadobnych częstochowianek, w chochle uzbrojonych, oprócz zupy, jeszcze po pajdzie chleba własnego wypieku, trącającego już mocno okupacją niemiecką. Jednak apetytu nie brakło, zupy nikt nie wylewał, a pajdy razowca zniknęły w strzeleckich czeluściach jak kamfora. Nie dawano tu już drugiego dania, jak w Dąbrowie, wróciliśmy więc powoli na kwatery.

Nasz pluton umieścił się w jednej z sal recepcyjnych na pierwszym piętrze, gdzie była urządzona mała scena z dekoracjami w stylu rosyjskim. Obok niej ogromną połać ściany zajmował zamknięty w ciężkie ramy portret cara Aleksandra III ze wszystkimi emblematami „samodzierżawja”. Zakrzętnęliśmy się zaraz i wynieśliśmy to paskudztwo na korytarz, poświęcając je na całopalenie pod kotłami organizowanej przez skautów na podwórzu kuchni. Po usunięciu z widowni tej najnieprzyjemniejszej dekoracji, uczulem nagle na widok sceny przypływ dobrego humoru skoczyłem na deski i, jak ongiś na Dynasach, zacząłem „odwalać” monologi i kuplety z własnego repertuaru, drukowane przez poczwięgo Klimowicza w „Trubadurze Polskim” jeszcze w 1910 roku. Spoczywająca na słomie wiara zaśmiewała się do łez, bijąc brawa, aż na odgłos oklasków zajrzeli do sali nasi komendanci: Garbarz, Lieneman, Filip i inni. Musiałem wobec nich powtórzyć cały „występ”, dodając jeszcze coś niecoś z repertuaru niecenzuralnego. Rozochociło to innych i ze sceny, na której odbywały się dotychczas jedynie oficjalnie obchody galówek i obrazki rodzajowe polakożerczego Iwana Wasiljewicza Gogola, odgrywane przez zakutych sztubaków z udziałem blago-

rodnych dziewic rosyjskich, popłynęła cięta polską satyrą i jędrny humor rozweselił wszystkie oblicza. Odtąd każdego wieczora odbywało się u nas przedstawienie, zainspirowane przez przygodnych amatorów ad hoc na tle kopulastej cerkwi i dalekich horyzontów matuszki Rosji. Nie brakło sztuk hypnotycznych, ani seansów spirytystycznych, znalazł się też brzuchomówca i kuglarz. Bawiliśmy się doskonale. Zwłaszcza gdy zwerbowani przez skautów kucharze okazali się mistrzami w swoim fachu, obdarzając nas białą kawą na śniadanie, zaś na obiad krupnikiem, przydymionym z tej racji, że w braku opału palono pod kotłami zbutwiałymi księgami, znalezionymi w gimnazjalnej bibliotece. Różne Karamziny, Iłowajscy i Polewyje, dymiąc sroście, przyczynili się jeszcze po swej niesławnej śmierci do psucia nam wyrobionego na obiadach w Dąbrowie smaku. Kłopoty z zaprowjantowaniem licznego bądź co bądź oddziału mieli nasi intendenci, poszukujący napróżno kogoś, ktoby się podjął funkcji sierżanta prowjantowego. Nas to nie obchodziło, nie odczuliśmy bowiem jeszcze marszów pustego żołądka i owych przedziwnych zapachów, płynących strugą woniejącą z pogardzonych narazie taborów. Odczuwało się jedynie brak papierosów, których już i po sklepikach trudno było dostać, bo zapasy rosyjskie się wyczerpały, a niemieckie nie nadchodziły. Ale były jeszcze gorsze gatunki tytoniu, kto zaś nie miał pieniędzy, aby się w nie zaopatrzyć, „pożyczał“ metodą ojca Broka od bardziej zasobnego towarzysza broni albo poprostu zaciągał się kilkoma „cugami“ w gronie liczniejszej i bardziej umiarkowanej spółki.

Było tedy wesoło i dostatnio, choć żadnego żołdu nikt nie pobierał, a komisarze wojskowi wyłazili ze skóry, żeby wydębić środki finansowe na utrzymanie niezależności tej garstki, która miała zapoczątkować w przyszłości potężną armję polską. Ochotnicy dość licznie napływali, trzeba

było dla nich tworzyć podoficerów. Założono szkołę podoficerską, do której brano kandydatów z inteligentów, znających już dobrze chwyt i musztrę formalną. Pech chciał, że na tych kandydatów upatrzył sobie ob. Garbarz mnie, Broka i Anielkę. Mieliśmy jednak zdać praktyczny egzamin przed ob. Bolestą, znanym rygorzystą. Stanęliśmy przed nim z biciem serc, czekając komendy. Ze zwrotami poszło jako tako, ale gdy przyszło do chwytów, mnie na „prezentuj broń“ prawa ręka nijak do paska trafić nie mogła, Brok zaś na gotuj broń jął uprawiać szermierkę, jeden tylko Anielka się nie powstydział i został przyjęty, ja zaś z Brokiem wróciliśmy do glidu, jako skończone ofiermy. Oburzał się na to ob. Garbarz, jako nasz protektor, ale Bolesta się uparł i mówić sobie o nas nie dał. My zaś nie martwiliśmy się tem zbyt, zwłaszcza gdyśmy się dowiedzieli, że szkoła podoficerska będzie szwycować w trójnasób. Plutony, posiadające Manlichery, zaczęły pełnić służbę garnizonową i oto po raz pierwszy w życiu stanąłem, jak posąg, na warcie honorowej przed Komendą. Wytrzymałem tak bez mrugnięcia powiek trzy razy po dwie godziny w ciągu doby, oglądany od stóp do głowy przez przechodzących cywilów, mających nieraz na ustach zjadliwy uśmieszek. A już dziewczęta, to jakby się na mnie uwzięły. Obrały sobie akurat do spaceru ten odcinek ulicy i szczerzyły zęby tak, że aż po człowieku mrowie przechodziło, a tu odpowiedzieć na przymilny uśmiech nie wolno, ani ruszyć się nie wolno. Odwetować swych cierpień po zluźowaniu niesposób, bo wartowni opuszczać też nie można, przeto i do porozumienia żadnego z ulicą dojść nie mogło. Za to wieczorem po służbie zawsze się znalazło jakąś dziurę w parkanie, przez którą wymykał się bez przepustki niejeden, aby w cieniu drzew wszystkich trzech alei lub parku powystawowego móc przekonać się osobiście, że — młodsza połowa rodzaju żeńskiego w Częstochowie strzelcom bezwarunkowo sprzyja.

Ochotnicy napływali z dnia na dzień, ale nie w tej liczbie, jakiejby sobie nasza Komenda życzyła. Tedy postanowiono w najbliższą niedzielę urządzić paradną manifestację dla zademonstrowania przed ludnością naszych siwych mundurów w przemarszu przez miasto na mszę w klasztorze Jasnogórskim. Rano zatem wymaszerował z gimnazjum cały nasz dąbrowski oddział, zaś skauci i umundurowani już rekruci rozproszyli się po mieście, aby czynić wrażenie liczby. Dążyliśmy środkiem ulicy w kolumnie czwórkowej przez park wprost do klasztoru, a równolegle z nami płynął chodnikami potok pobożnych i gapiów przygodnych, którym się też na pobożność zebrało. Z uczuciem ulgi minęliśmy haniebny pomnik cara Aleksandra II, obróconego tyłem do świątyni, i weszliśmy w bramy klasztorne, starając się stąpać cicho w podniosłym odczuciu świętości miejsca. Za nami i obok nas pchał się różnobarwny tłum miejski i tak wkroczyliśmy do cudownej kaplicy, zatrzymując się pośrodku nawy w ściśnionej kolumnie. Na sumę było jeszcze za wcześnie, młody jakiś zakonnik odprawiał cichą mszę przed zakrytym obrazem, a szeregi nasze milczały, pogrążone w głębokiej kontemplacji duchowej. Modliliśmy się szeptem, a obok nas modlił się także cicho tłum, przybyły z nami i za nami. Modliłem się i ja, łkając w duchu, i czułem, że inni obok mnie czynią to samo. Wreszcie msza się skończyła, ktoś zaintonował „Boże coś Polskę“, a cały kościół podchwycił zwrotkę pieśni, przez wroga zakazanej, z początku nieśmiało, niewieściami głosy, aby za chwilę refrenem potężnym uderzyć w sklepienie. Nasz sztandar chwiało się w takt mocnych oddechów tłumu i ukazywał coraz smętne oblicze Bogarodzicielki, której oryginał tkwił za zaciągniętą zasłoną.

„Przed Twe ołtarze“. Skończono jedną zwrotkę, chciano rozpocząć drugą, ale tej nikt nie umiał. Urwała się pieśń,

głębokie zbiorowe westchnienie tłumu, gdzie niegdzie przytłumiony szloch niewieści, cicha komenda i... wyszliśmy z świątyni krokiem sprężystym.

Obok pomnika cara z opustoszałą budką wartowniczą, najdobitniej świadczą o tem, że nie wznieśli go „wdzięczni włościanie“, jak o tem głosił napis na cokole umieszczony, przystanęliśmy na chwilę, aby wyrównać swe rozluźnione szeregi i w szyku zwartym powrócić do koszar. Nagle podeszło do nas niewielkie grono starszych pań i młodych dziewcząt i wzniosłszy w górę ręce, pełne wiązanek ostatniego już jesiennego kwiecia, obsypały nas niem niespodzianie.

— Cześć bohaterom!

Okrzyk ten, wydarty z głębi czujących piersi przez zacisnięte wzruszeniem wargi zacnych niewiast, nietyle nas zadziwił, ile podniósł na duchu. Uczulem nagle suchość w gardle i dławiące łzy rozczulenia, gdy równocześnie policzki me płonęły zawstydzeniem.

— Bohaterzy! To my? Dlaczego? Czy dlatego, żeśmy potrafili znieść twardo i po męsku doznane dotychczas upokorzenia, nie skrewiwszy żołnierskiej cnocie, aby być nagrodzonymi, o jak bardzo, tym jednym z serca płynącym okrzykiem?

Myślałem o tem, maszerując na baczność i spoglądając mimochodem na białą główkę maleńkiego jakiegoś kwiatuszka, zawiesłego w bezsilnym locie na jednym z guzików płaszcza mego, a gdy padła komenda „spocznij“, zdjąłem go delikatnie i zachowałem na pamiątkę, jako dar nie ziemskich pożądań, nie jakowegoś więcej obiecującego za datku bogdanki, ale zwykłego człowieczego współczującego uznania. Wyjmowałem go później nieraz z załuszczonego potem żołnierskiego notesu i wpatrywałem się w zeschły już badyl, czerpiąc zeń siłę wytrwania w złą godzinę zwątpień i rozgoryczenia, których nam, pierwszym żołnierzom niewywalczonej jeszcze Polski,

losy nie szczędziły. Manifestacyjny przemarsz nasz ze sztandarem przez miasto poruszył nietylko wrażliwe serca niewieście. Towarzyszył nam bowiem w drodze powrotnej z klasztoru tłum mężczyzn i wyrostków, których, rzecz to była widoczna, pociągało ku nam nie samo tylko gapiostwo. Zadzierzgnięty został w tym dniu nierozwalny już węzeł ze społeczeństwem, który w ciągu dni następnych zacieśnił się coraz bardziej, uwidoczniając się licznym napływem ochotników tak, że w niespełna dni cztery byliśmy już półbataljonem, przekraczającym nawet określoną bojową siłę liczebną, nie licząc taborów.

Niemcy nasz pochód do klasztoru wykorzystali na swój sposób, fotografując i filmując nas zawzięcie. W trzy miesiące później, będąc przejazdem w Bielsku, udało mi się nabyć w jednej z księgarni małe zdjęcie kodakowe, powtórzone wielokroć na całych arkuszach papieru filmowego, wyobrażające czoło naszego oddziału ze sztandarem i paru sylwetkami cywilnych gapiów z propagandowo-klamliwym objaśnieniem w niemieckim języku: „Polscy strzelcy i ludność m. Częstochowy manifestuje na rzecz Niemiec“.

W czasie naszego pobytu w Częstochowie odbyliśmy małą wyprawę wojenną, która podniosła nas ogromnie w oczach Niemców, ich zaś samych haniebnie ośmieszyła. Otóż pewnego dnia Niemcy narobili alarmu, że w lesie za Rakowem pojawili się kozacy. Garnizon niemiecki, złożony przeważnie z tyłowców, tchórzył przytem wyraźnie, czyniąc komendzie naszej usilną propozycję współdziałania w odparciu niebezpiecznych podjazdów. My na to, jak na lato, zwłaszcza, że każdy strzelec, rekrut, czy nie rekrut, pałał nieprzepartą chęcią spotkania się w polu z kozakami. Cały półbataljon chciał iść, ale Borucki wyznaczył tylko część kompanji, posiadającą Manlichery, pod dowództwem zdaje się Lienemana i Garbarza.

Wyruszyliśmy wraz z całą kompanją niemiecką do lasu rakowskiego, zapędzając się aż pod Olsztyn. Wywiady

nasze ustaliły po kilku godzinach włączyć że o kozakach nikt tu nic nie słyszał, wobec tego Niemcy zaczęli poszukiwać sprawcy alarmu. I cóż się okazało? Oto kobiecina jakaś z Rakowa nazbierała w lesie pełny kosz grzybów i wracała z nim do domu. Zatrzymał ją posterunek niemiecki, a jakiś zniemczony Ślązak wziął babę na spytki, skąd i dokąd idzie?

— Dyc z lasu — rzecze kobiecina.

Ślązak zadał jej jeszcze jakieś pytanie, którego babsko nie zrozumiało i myśląc, że ją o grzyby w koszyku pyta, powiada:

— Prawych to tam w lesie niewiele, ale kozaków jest bardzo dużo.

Na dźwięk słowa „kozak“ Niemcy zaczęli babę obracać na wszystkie strony, aż ta zapomniała języka w gębie i zacięła się na dobre. Stąd i meldunek do miasta:

— Kozacy w lesie!

Dużo kozaków!

Babę przytrzymano na posterunku, posadzając ją o szpiegostwo, aż do przybycia naszego patrolu, który jej język rozwiązał i sprawę całą wyjaśnił. Było z tego śmiechu coniemiarą, a Niemcy po tej naszej gotowości bojowej, mając sposobność stwierdzić doskonale patrołowanie oddziału strzeleckiego w polu, z większym szacunkiem na nas spoglądali.

W dwa dni po tej wyprawie zawiadomiono nas, że na zajutrz nastąpi wymarsz dalej, do Piotrkowa. I znów, jak w Dąbrowie, tylko nie rano, a przed wieczorem, szliśmy, silniejsi teraz liczbą, z orkiestrą i sztandarem na czele, odprowadzani przez zbierające się pod koszarami tłumy ludności cywilnej, przeważnie z rodzin ochotników złożone. Niemcy zamknęli ulicę, wiodącą do dworca, nie puszczając tam cywilnych, którzy zebrali się na moście kolejowym u wylotu Alei i tkwili tam, aż do odejścia naszego pociągu.

Zapadł już zmrok, gdyśmy zapełnili szczelnie pociąg, złożony z wagonów III klasy. W oczekiwaniu na sygnał odjazdu rozpoczęto, jak zwykle, śpiew chóralny. Gdy zaś pociąg ruszył zwolna ze stacji, śpiew ten wzmógł się jeszcze, wspomagany przez jadącą w osobnym wagonie orkiestrę. Tak minęliśmy tunel pod mostem. Na pierwszym przejeździe zauważyliśmy znów tłumy, oczekujące widocznie naszego przejazdu. Fakt oczekiwania w tem miejscu nieprzerwanie przez trzy godziny świadczył wymownie o węzłach serdecznych łączących częstochowian z nami i ogromnie nas pokrzepił na duchu. Na następnym przejeździe stał tłum jeszcze większy. Wznoszono niewyraźnie okrzyki, machano w stronę rozśpiewanego pociągu czapkami i chustkami. Jakaś babina, znajdująca się tuż przy zastawie, wyciągała do nas chude ręce, wołając:

— Dzieci! Dokąd jedziecie? Na stracenie! Dzieci!!

Krzyk jej zagłuszony został przez potężną zwrotkę pieśni, dobywającej się z sąsiedniego wagonu: „Z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć“.

* * *

W Piotrkowie znaleźliśmy się dopiero wczesnym rankiem, bo na jakiejś małej stacyjce pociąg nasz stał prawie całą noc. Zdrzemnęliśmy się trochę w wagonach, ale że kieszki djabelnego marsza grały, byliśmy bowiem bez kołacji, kilku mniej wytrzymałych na głód z naszego plutonu udało się na „wywiad“ do wagonów towarowych, przyczepionych ztyłu, w których został umieszczony zaczątek naszego taboru. Wywiad udał się doskonale, bo koledzy wrócili już za małe pół godzinki, obładowani kielbasą, której pół worka zwędzili z jakiejś platformy. Chleba nie było, skonsumowaliśmy więc tylko kielbasę, rozdzieloną skrupulatnie przez wywiadowców na cały nasz wagon.

Obudziliśmy się dopiero na głos Boruckiego, wzywający nas do opuszczenia wagonu. Pociąg nasz stał na bocznej linii w pewnej odległości od stacji. Wysiedliśmy zeń na obszerny plac zavalony budulcem, złożyliśmy broń w koszy, otrzymawszy pozwolenie rozejścia się w obrębie stacji dla zrobienia tualety. Mnie po zjedzeniu słonej kielbasy chciało się ogromnie pić, udałem się więc z manierką na poszukiwanie wody. Ugasiwszy pragnienie pod jakąś pompą, spostrzegłem tuż przy niej kilku niemieckich żołnierzy, obserwujących mnie ciekawie. Chciałem ich już obojętnie wyminąć, gdy jeden z nich zaszedł mi drogę, pytając po polsku, co to za wojsko?

— Polscy strzelcy! — odparłem zdziwony, patrząc teraz z kolei ciekawie na pytającego, który miał wygląd solidnego działacza wioskowego, a po polsku mówił niezłe, choć z twardym poznańskim akcentem.

— I powiedzcie wy mi, z kim idziecie?

— Jakto z kim? — obruszyłem się. — Idziemy walczyć o Polskę!

— O Polskę? — powtórzył przeciągle, przyglądając się z uwagą blaszanemu orzełkowi na mej maciejówce. Ale z kim?

— Prowadzi nas komendant Józef Piłsudski, abyśmy się bili z Moskalami, największym wrogiem Polaków.

— No tak, dobrze, z Moskalami się będziecie bili, nieprawda? Ale pomagać musita przez to Szwabowi, który jest wróg straszniejszy, nieprawda? Nie słyszeliśta to o kolonizacji, o Wrześni, o Drzymale, co?

Zagadnięty tak obcesowo, stropilem się na chwilę, zaś rozmówca mój, biorąc to widocznie za pewien odruch nieufności z mej strony, uspokoił mnie skwapliwie:

— Nie bójta się niczego! Te chłopcy — tu wskazał na trzech milczących towarzyszy swoich — to także dobre Polaki, nieprawdaż? Z Poznańskiego od Ostrowia, nieprawda? My tu sobie stoimy i patrzymy na was, dzieciuz

chów takich, że aż rankor bierze, że wy razem ze Szwabem idzieta, kiedy my myślimy jeno o tem, żeby się poddać na froncie wszystko jedno komu: Ruskowi czy Francuzowi. A jak to było z tym Bartkiem, coście o nim pewnie też czytać musieli, bo historję jego przecie Sięnkiewicz pisał, a w Kongresówce książeczkę tę każdy przecie czytać mógł, nie kryjąc się z nią, po kątach, jak u nas?

Spojrzałem głęboko w oczy temu siwiejącemu już rośdakowi z Poznania, ześlizgnąłem się wzrokiem po jego dobroduszej, gładko wygolonej twarzy, lecz o rysach stwardniałych, niby z kamienia wykutych, i uczułem raptem taką rzewność w duszy, jakbym rodzonego swego spotkał.

Począwszy mu tłumaczyć serdecznie i ciepło, w jakim położeniu fatalnem znajduje się Polska i że narazie, będąc bez broni i pieniędzy, musi szukać sprzymierzeńca, choćby wśród wrogów, poróżnionych nareszcie w tej upragnionej wojnie świata, dając przedewszystkiem odwet temu, kto zniszczył trzy pokolenia narodu, zgładzając najszlachetniejszych w swych kazamatach, straszliwej katordze i mroźnych tajgach Sybiru, przemocą barbarzyństwa takiego, jakiego świat nie widział.

Poznaniacy słuchali cierpliwie i z powagą mych wywodów, a cień politowania nie schodził im z twarzy, wreszcie najstarszy z nich — ten, który mnie zaczepił, westchnął i rzekł:

— Ano róbta, co rozumita. Ale to jest niebardzo dobrze, że Niemcy się chwalą wszędzie, że Kongresówka z nimi idzie i pragnie ich panowania. To jest niedobrze, nieprawda? Bo Niemiec, to straszny wróg, mądrzejszy od Ruska, potrafi on zalać sadła za skórę w inny sposób. Niech Bóg święty zachowa i broni, gdyby zwyciężyć miał w tej wojnie! To też pomagać mu nie trzeba.

— My też nie pomagamy Niemcom, tylko sobie, chcąc walczyć pod własnym znakiem, pod który garnąć się powinni wszyscy Polacy, a więc i wy także.

Poznaniak potrząsnął smutnie głową:

— Nie, to jeszcze za wcześnie. Dużo się zmarnuje polskiego narodu, zanim co do czego przyjdzie. Ale szczęść wam Boże, szczęść Boże! Abyśta tylko o Wrześni nie zapomnieli.

Uścisnąłem serdecznie na pożegnanie twarde dłonie tych czterech i obdarowany przez nich papierosami wróciłem do swego biwaku. Wiara ściągająca ze wszystkich stron. Wydano śniadanie, złożone z herbaty, chleba i kielbasy, które zapasy zostały w nocy porządnie nadszarpnięte, i oczekiwaliśmy dalej. Sztab nasz z Trojanowskim na czele udał się z kwatermistrzami do miasta, aby wynaleźć dla nas odpowiednie locum.

Jakoż około godziny 10-tej, wyświeżeni już i nasyceni, uformowaliśmy kolumnę marszową i przy dźwiękach muzyki, ze sztandarem na czele, wkroczyliśmy do trybunalskiego grodu, nie budząc żadnego zainteresowania wśród jego mieszkańców, przyglądających się nam tylko zdaleka. Kwatery otrzymaliśmy w żeńskim gimnazjum tuż obok kryminalnego więzienia, od którego gmach gimnazjum oddzielała tylko wąska uliczka. Pierwszą czynnością naszą przed rozlokowaniem się było usunięcie ciężkiego ołowianego dwugłowego orła, widniejącego jeszcze na wysokości pierwszego piętra tuż nad bramą. Któryś ze strzelców odbył karkołomną podróż po gzymsach, bo drabiny nie było, i znak przemocy wylupał ze ściany bagnetem. Runęła ciężka blacha na twardy bruk ulicy, krusząc się na kawałki, a równocześnie z hałasem spadającego orła gdzieś z poza przyległego parkanu odezwały się oklaski. To kilkanaście pensjonarek spostonowanej uczelni ulokowało się tam, obserwując nasze zachowanie się i ścigając wzrokiem uwielbienia śmiałka, który po wielkich wysiłkach akrobatycznych zsuwał się powoli z muru, aż wreszcie zeskokczył lekko na ziemię.



Runęła ciężka blacha...

Do parkanu, na którym siedziały rzędem niby jaskółki młode panienki, podeszło kilkunastu strzelców i rozpoczęło flirt na dobre, gdy nagle przywiódł ich do porządku głośny krzyk kwatermistrza. Dziewczynki zniknęły za płotem niby stado spłoszone spozierając dalej przez szpary, jak kolumna wsiąkała w czeluść otwartej narozcież bramy.

Urządziliśmy się tu szybko, tak jak i w Częstochowie, gdyż i tu, podobnie jak tam, działali skauci. Przed wieczorem gruchnęła wiadomość, że przyjechał Satyr z całym sztabem nowych oficerów. Podoficerowie, którzy znali „dzikiego męża“ jeszcze ze Związku Strzeleckiego, zapowiedzieli, że teraz dopiero zaczną się prawdziwe ćwiczenia. Jakoż nazajutrz wyprowadzono nas na błonia za miasto, gdzie odbyły się ćwiczenia polowe w tak galopującym tempie, że nawet tchu uchwycić nie było czasu.

Rozwijanie się kolumny marszowej w linię tyraljerską, przebieganie sekcjami, schodami i inne takie nowości, które męczyły coprawda bardzo, ale też budziły ogromną ciekawość. Nikt prawie nie próbował się od ćwiczeń tych, trwających przez kilka dni następnych, wyklamywać.

Przeprowadzono znów reorganizację naszego oddziału, włączając świeżych ochotników i formując pełny już bataljon z podziałem na cztery kompanje. Kompanijnym naszym pozostał nadal ob. Borucki, zmienił się tylko dowódca plutonu, bo Lieneman odszedł gdzie indziej, a my otrzymaliśmy ob. Izydora Ceceniowskiego, tego poczciwego Dorka, pod którego komendą przemierzaliśmy własnymi nogami szmat ziemi polskiej. Między nim, a plutonem nawiązał się prędko serdeczny przyjacielski stosunek tak bliski, że i węzły krwi lepiejby go utrwalić nie mogły. Byliśmy naprawdę zespoleni duchowo ze swym dowódcą plutonu. Dorek w obronie każdego żołnierza swojego plutonu gotów był narazić się na największe nieprzyjemności, zaś każdy z żołnierzy plutonu dałby się za Dorka porąbać, co niejednokrotnie w dalszych żołnierskich przygodach

jaskrawo się uwydatniło. Z początku wiara dworowała sobie trochę z nowego dowódcy, jękał się bowiem kapkę i wyglądał całkiem niepokaźnie. Przytem miał zwyczaj wtrącania prawie do każdego zdania powiedzonka „panie“, od czego nawet przy wydawaniu komendy ustrzec się nie potrafił, jak np. „Kolumna czwórkami, panie, w prawo, czwórki, panie, w prawo, panie zwrot“! Jednak, po bliższem poznaniu tego kryształowego człowieka, nie odważaliśmy się już na wyrządzanie mu przykrości, bo nikt nie wyobrażał sobie Dorcia bez owego „panie, panie“ i kresowego akcentu w mowie. Ceceniowski pochodził z ziem naddnieprzańskich, skąd musiał emigrować, studjując na politechnice we Lwowie. Zasłużony już w Zw. Walki Czynnej oficer ten cieszył się ogromnem poważaniem tak samego Komendanta, jak i najbliższych jego współpracowników.

Oprócz Ceceniowskiego zjechało z Satyrem do Piotrkowa wielu jeszcze innych oficerów, którzy mieli odegrać później wielką rolę w organizacji wojska wogóle, zaś w urabianiu ducha I brygady w szczególności. Byli tam między innymi: Krok-Paszkowski, Tadeusz Piskor, Nałęcz, Jur Gorzechowski, Sawa, Lis-Kula, Sas, Król-Kaszubski, Kuba Bojarski i t. d. Ale najwięcej podziwiany i obserwowany był por. Kordjan-Monasterski ze Lwowa pełniący chwilowo funkcję adjutanta baonu, zwłaszcza gdy na swym srokatym koniu uganiał się po błoniach, przebiegając wzdłuż linii tyraljerskiej olbrzymimi skokami niecierpliwego wierzchowca i błyskając ku nam nieposzlakowaną białością swoich zdrowych zębów, szklami binokli, z poza których świeciły ognistym blaskiem oczy prawdziwego junaka. Junacką też miał postawę i ruchy watażki, co go wyodrębniało ogromnie zśród bardziej skupionych w sobie i ledwie wyróżniających się między bracią strzelecką innych oficerów.

Podczas gdy myśmy udeptywali zajadle trawnik na błoniach piotrkowskich, nasi komisarze nie tracili również

czasu. Jeszcze w Częstochowie ukazał się pierwszy numer „Wici“, w Piotrkowie oprócz tego pisma poczęły wychodzić „Wiadomości Wojenne“, redagowane i wydawane przez Michała Sokolnickiego, którego współpracownikami były takie siły, jak Gustaw Daniłowski, Jerzy Żuławski, profesor Wacław Tokarz, Tytus Filipowicz. Pisma te, rozpowszechniane wśród cywilnej ludności, przepiękne w swej formie i płomienne w treści, robiły również swoje. Tak, że Piotrków zaczął się ruszać potrosze, a na chodnikach miasta cywilne szaty mieszać się poczęły coraz śmielej z siwym mundurem strzeleckim. Gdyśmy dnia 12-go października w pogodny dzień świąteczny wysypali się z gimnazjum na zbiórkę w pełnym rynsztunku z wyraźnym zamiarem opuszczenia trybunalskiego grodu, zebrana licznie publiczność odkrywała nieśmiało głowy na widok sztandaru, a nawet tu i ówdzie wzniesiono okrzyki: — Niech żyje Polska!

Bataljon wyciągnął się w długą kolumnę ze sztandarem i orkiestrą na czele. Muzyka zagrała. Ruszyliśmy w stronę Tuszyń, a okna mijających kamienic nie świeciły już pustkami, jak w Dąbrowie. Żegnano nas z balkonów powiewaniem chustek i czapek, życzliwym uśmiechem lub smętnem spojrzeniem. Rosnący wciąż po drodze tłum odprowadził nas aż za rogatki, a potem oddzieliła się od niego niewielka grupa młodych panien i nie ustawała w marszu, dążąc naprzód równolegle z kolumną bocznymi ścieżkami, nie spuszczając nas z oczu ani na chwilę. Nie widać było, aby dziewczęta te miały w bataljonie kogoś specjalnie wyróżnionego, bo nikt się do nich nie zbliżał, jednak uszły już tak z pięć kilometrów do pierwszego krótkiego odpoczynku. Zatrzymały się przy kolumnie zażenowane, lecz wnet pobiegły w pole i jęły z kwitnącego jeszcze ugoru zrywać całe pęki kwiecica polnego. Domyślna wiara pośpieszyła czem prędzej na spotkanie powracających z pełnymi naręczami kwiatów dziewczątek i porozchwytywała w mig białe rumianki i blade maki, przypinając je sobie do czapek,

lub wtykając w lufy karabinów. Gdy poderwana znów do marszu kolumna ruszyła, dziewczęta dały za wygraną, pozostając na miejscu i śląc nam z oddali ostatnie powłóczyście spojrzenia w odpowiedzi na przesyłane im rękami całusy.

Orkiestra zagrała znowu. Mijaliśmy dobrze zabudowane wioski, w których ludność zwabiona muzyką, ustawiała się wzdłuż drogi, przyglądając się nam ciekawie i radośnie zarazem, choć z zachowaniem pewnej rezerwy. Obok naszej czwórki sztandarowej od samego miasta postępował mały, może 10-letni chłopiec, starając się wszelkimi siłami dorównać nam w marszu. Odpędzano go kilkakrotnie, jednak uparciuch nie odchodził, lecz kroczył tuż obok Broka, jakby się do niego przylepił. Od czasu do czasu wiara nagabywała go z szeregu:

— Te, knocie, wracaj do mamy, bo będzie rżnięcie w domu!

Na co mały odpowiadał ze łzami w oczach:

— Nie mam żadnej mamy. Ja chcę do wojska!

— Widzieliście go? A to knypeć zatracony! Cóż ty w wojsku będziesz robił? Kto ci tu da cycka?

Na to brzdąc się obruszył, powtarzając uparcie swoje:

— Ja chcę do wojska!

I, jakgdyby chciał udowodnić, że posiada wszelkie kwalifikacje po temu, aby służyć w wojsku, nadymał się z wielką pychą, oblany gorącym potem, stawiał wielkie kroki, aby za chwilę znów drobić pośpiesznego kłusa.

Brok popatrzył na niego uważnie raz i drugi z góry na dół przez zakurzone binokle, wreszcie zagadnął:

— Jak ci na imię?

— Edek.

— Rodziców masz?

— Gdzie tam. Matka już dawno pomarła, a ojciec pije.

— Aha! Cóż ty robisz w domu? Baki zbijasz, co?

— W lecie sprzedawałem gazety, a w zimie jeszcze chodziłem do szkoły.

— Czytać umiesz?

— O, i pisać także potrafię po rusku i po polsku!

— I chcesz koniecznie iść z nami?

Chłopak widocznie przeczuł w Broku opiekuna, bo nagle, nie zwalniając biegu, spojrzał mu w oczy zebrząco i szepnął cichutko, lecz z jakimś dziwnie twardym akcentem.

— Tak.

Wtedy Brok zwrócił się ku tylnym szeregom z perswazją:

— Nie dokuczajcie, obywatele szlachetni i zacni, małemu. Niechże sobie maszeruje, skoro ma ochotę. — A karabin ty udźwigniesz, co? — zwrócił się znów do chłopca.

— Ojej, czemu nie? — nabrał już rezonu, Edek.

— I strzylać się z niego migiem tyż nauczę!

— No, to dobrze. Idź, ale uważaj, nie płacz mi się pod nogami.

Zmierzch już zapadał, gdyśmy się znaleźli w Tuszynie, dobrze pomęczeni, bo wielu z nas miało plecaki nadmierne obciążone różnemi cywilbagażami, ja zaś dźwigałem dotąd, oprócz bielizny i przyborów toaletowych, całą swą dawną garderobę. Z prawdziwą lubością odpiąłem sprzączki, gniotącego mnie ciężaru, składając go na słomie w budynku szkolnym, w którym cała nasza kompanja rozlokowała się na nocleg.

Reszta bataljonu rozmieściła się po domach w miasteczku, podejmowana gorącą wieczerzą przez gościnnych mieszczan tuszyńskich. My tylko musieliśmy czekać na herbatę, gotującą się w kotłach, dopiero co zdjętych z podążających za nami wozów taborowych. Miejscowe piekarnie dostarczyły świeżego chleba, sierżant prowiantowy bataljonu, ob. Orłowski, wytrzasnął skądś parę kilogramów masła i kolacja była bardzo przyzwoita. Spaliśmy też dobrze.

Zerwano nas o szóstej rano, zapowiadając wymarsz za godzinę. Skorzystało z tego wielu, aby się pozbyć niepotrzebnego balastu, i nawiązało transakcje handlowe z brodatymi obywatelami miasta, oblegającymi nasze kwatery już od samej pobudki. Ja także pozbyłem się swych szmat za całe trzy ruble, zaopatrując się w zapas papierosów na dni kilka.

Po lekkim śniadaniu ruszyliśmy wolnym marszem w dalszą drogę do Łodzi, z przylepionym do naszej czwórki Edkiem, który nocował razem z nami. Chłopiec zachowywał się tak naturalnie, jakby już do nas należał, i kroczył obok nas ze śmieszną powagą na dziecięcej buzi, nie odpowiadając już nic na zaczepki nieposkromionych wykpiszów z tylnych szeregów. Zwrócił też na niego uwagę Ceceniowski i pozwolił na pozostanie w plutonie pod opieką Broka.

Przestrzeń, dzielącą Tuszyn od Łodzi, przebyliśmy niemal bez zmęczenia, spragnieni widoku miasta, wsławionego tyloma czynami z czasów rewolucji 1905 roku, miasta dorobkiewiczów, nędzarzy, bohaterów i złodziei. Już pod Chojnami wyłoniły się z za horyzontu niezliczone kominy fabryczne, sterczące ku niebu i огоłocone teraz z czarnych pióropuszków dymu. Zapewne przed wojną dymy te łączyły się w jedną ciemną chmurę, tworząc duszną atmosferę ponurych ulic i brudnych zakamarków tego kolosa, wyrosłego na lichych mazowieckich piaskach i bagniskach. Nie dochodząc do pierwszych nędznych zabudowań przedmieścia, zauważyliśmy pod suchotniczym niewielkim laskiem sosnowym na lewo od szosy jakby mrowisko ludzkie, poruszające się w rozmaite strony. Zaintrygowany tem Satyr, który mimo lornetki nie mógł wyjaśnić sobie tego zbiegowiska, wysłał tam patrol, który wrócił za chwilę z meldunkiem, że to robotnicy łódzcy zaopatrują się w lesie

rządowym w bezpłatny opał na zimę, dźwigając na plecach do oddalonych domów ciężkie wiązki porąbanego wspólnymi siłami drzewa.

To znak, że okupanci nie czują się jeszcze panami miasta. Ano, niech korzystają z okazji, — mruknął Satyr, dając znak do dalszego pochodu.

Wiara zdążyła się już w czasie krótkiego postoju na drodze oczyścić z kurzu i poprawić niedokładności ubioru, to też cały bataljon maszerował rażno pomiędzy rzadkimi zrazu domami, oddającemi echo strzeleckiego marsza, którego nasi kielczanie wygrywali po swojemu, „od ucha“. Nierówny bruk dudnił pod naszymi stopami. Kroczyliśmy wyprostowani, a tuż przy pierwszej—czwórce mały Edek gazeciarz, dziecko ulicy, prężył się, usiłując po bohatersku zachować tempo marszu i nie zgubić się w tym rytmie ogólnym. Ten rytm ani poznać, ani pochwycić, lecz tylko wyczuć można fibrami drgających nerwów i wysiłkiem mięśni, przelewających w sobie krew serdeczną, tętniącą w żyłach jakąś precudną symfonią uczuć, wzruszeń i nieokreślonych pragnień. Marsz ten bowiem, jedyny w swoim rodzaju, odbywał się pod pręgierzem wybałuszonych oczu bez wyrazu, wśród bladych, pożółkłych masek, wykrzywionych boleśnie lub wzgardliwie wszędzie tam, gdzie zatrzymywały się tramwaje, wlokące ze sobą obumierające życie skazanego na bezczynność miasta. Od czasu do czasu tworzyły się nagle zatory, złożone z wyszarzanych jesionek, zakurzonych meloników i brudnych czapek, między nimi odbijała tu i ówdzie jaskrawą barwą perkalowa chustka lub kapelusz z piórami, jakieś jaśniejsze refleksy okryć tej płci, która nam, młodym szaleńcom, marzącym o wyzwoleniu parjasów z podziemi, najmniej wzgardy okazywała. Przed każdym z takich zatorów uwijali się energicznie młodzieńcy z białymi opaskami na lewem ramieniu, odgrywający tu rolę milicjantów i usiłujący z dobrym na-

wet skutkiem, oczyścić drogę postępującej naprzód kolumnie. Nie ustrzegli nas jednak od widoku zaciśniętej tu i owdzie twardej pięści zbiedzonego robociarza lub zbankrutowanego kramarza, karmionego dwugroszową prasą warszawską, uzależniającą egzystencję Łodzi od całości i nierozzerwalności rosyjskiego imperjum i jego rynków, nie zatkali nam uszu na zjadliwe uwagi, wypowiedane nienawistnym szeptem:

— Pruskie parobki, psia ich mać!

U wylotu ulicy Piotrkowskiej przywitała nas zorganizowana tu już przedtem kompanja łódzka, złożona przeważnie z uczniów klas wyższych szkół polskich w Łodzi.

Szliśmy teraz wspólnie dalej i dalej niekończącą się ulicą Piotrkowską, zapatrzeni w sztandar, płynący przed nami. Wreszcie skręciliśmy w jakąś boczną ulicę jedną, potem drugą, znalazłszy się prawie na peryferjach miasta, wtłoczyliśmy się za grającą wciąż orkiestrą w niepokązną bramę, zamkniętą od ulicy wysokim parkanem. Za parkanem tym, okalającym ogromne podwórze koszarowe, mieściło się kilka odrapanych budynków, z których przed kilku dniami ustąpiła rosyjska piechota, zostawiając po sobie we wszystkich zakamarkach ostrą charakterystyczną woń dziegciu i mokrych żołdeckich szyneli. Zaraz za bramą w długim parterowym budynku drewnianym dymiły ogniska, a dwaj biało ubrani kucharze salutowali sztandar przed barakiem, nie wypuszczając z rąk ogromnej ćwiartki wołowiny, którą dopiero co rozbierali na nasze przyjęcie.

Okazuje się, że i tu skauci pamiętali o nas i zdążyli już zaopatrzyć intendenturę naszą w potrzebne do obiadu produkty. Rozlokowaliśmy się w mig kompanjami w osobnych budynkach koszarowych, w których znaleźliśmy wystarczający zapas słomy, pozostałej po Moskalach, ale ostrożny Brok poradził nam poszukać sobie czegoś lepszego na posłanie, nie ufając zbytnio wy-

gnięzionej i już porządnie zużytej podściółce, mocno trącającej stęchlizną. Nie byliśmy jeszcze zawsznieni i choć wiedzieliśmy, że na wojnie to rzecz nieunikniona, nie śpieszno nam było do tej ostateczności, więc usłuchaliśmy dobrej rady i po dość długich szperaniach udało się nam wykryć w jakimś schowku naszej „kazarmy“ kilkanaście bali strużek drzewnych, całkiem świeżych, przygotowanych zapewne przez niemieckich żołnierzy, którzy tu mieli kwaterować. Użyliśmy tych bali na posłanie, wymiatając skrzętnie śmietnik, pozostały po Moskalach.

Zanim załatwiliśmy się z tem, obiad był już gotów. Spożyliśmy go wśród zapadającego wieczora, a że byliśmy marszem i wrażeniami dnia setnie przemęczeni, ogromna większość zabrała się do wypoczynku. Nieliczni tylko i bardziej ruchliwi koledzy usiłovali się wydostać na miasto, ale w bramie natknęli się na wartę, żądającą przepustek, których nie posiadali, naokoło zaś wysoki parkan z przeprowadzonym w górze drutem kolczastym nie zachęcał bynajmniej do brania go przebojem. Musieli więc odłożyć swą wycieczkę przynajmniej do jutra, kiedy to będzie można po dniu się rozpatrzyć i wynaleźć jakąś deskę, jakiś kołek w płocie, aby go uruchomić tak, żeby argusowe oko szarż inspekcyjnych ani się domyślało, że to są właśnie bajeczne wrota Sezamu, z tysiąca i jednej nocy na grunt łódzki we dnie przeniesione.

Po znośnem spędzeniu nocy nastał pracowity dzień. Kompanja nasza była służbową i wystawiała warty, naturalnie z plutonów, posiadających Manlichery. Reszta zajęta została robieniem porządków koszarowych, a ponieważ nasza sekcja była wolna, pierwszy raz w życiu przyszło mi myć podłogi. Wieczór już zapadł, gdy nam wreszcie dano spokój z ustawicznymi zbiórkami i apelami. Szarże wyszły na miasto, dla „gemajnow“ ilość przepustek była tak ograniczona, że nie starałem się o nią,

ale przez upatrzoną za dnia dziurę w płocie wymknąłem się z kilku innymi strzelcami na miasto, którego jeszcze nie znałem.

Pospacerowawszy trochę po ulicy Piotrkowskiej, na której siwe mundury strzelców odbijały od ciemnych tłumów, tłoczących się na chodnikach pospołu z niemieckimi żołnierzami, powróciłem do koszar. Miasto, a raczej jego śródmieście, mimo rzęsitego oświetlenia wystaw sklepowych, nie pociągało mnie niczem, a obojętność mijanych tłumów, szwargoczących przeważnie po niemiecku i po żydowsku, znudziła wkrótce tak, że wolałem pójść spać, tem bardziej, że zaczął mżyć drobny dokuczliwy deszcz.

Nazajutrz znowu porządku, zaś dnia czwartego naszego pobytu w Łodzi dowiedzieliśmy się, że obecne nasze kwatery zajmie intendentura, my zaś przeniesiemy się do innych koszar, bliżej śródmieścia, co też rzeczywiście nastąpiło. Nowe te koszary były położone, zdaje się, przy ul. Andrzeja, czy też jej bocznicę, także pełne były śmieci, zarzucone żołdackimi kuferkami, pełnemi najrozmaitszych rupieci o stęchłym zapachu nieprzewietrzonych szmat. I znowu zabraliśmy się tu do czynienia porządków, wyrzucając z piętra wprost na ulicę żołdackie manatki razem ze skrzynkami. Mieliśmy przytem wielką uciechę, patrząc, jak na dole biją się o te kuferki licznie zebrani gapie płci obojga, oblegający stale każde miejsce naszego pobytu.

Ćwiczeń nie mieliśmy, pełniliśmy natomiast służbę wartowniczą przy zajmowanych na rzecz strzelców obiektach, jak Bank Państwa, gdzie była główna kwatera, gimnazjum żeńskie, dworzec kaliski i t. d. Dworca pilnowaliśmy na zmianę z Niemcami, ponieważ było tam wiele nagromadzonego jeszcze przez Moskali materiału technicznego i żywności, której Moskalie nie zdążyli zniszczyć, zaś Niemcy uporządkować. Przy pełnieniu tej

służby żołnierze nasi stale narażeni byli na szykany ze strony żądnych rabunku tłumów. Pełna godności postawa każdego z nas i użycie w kilku wypadkach białej broni, położyło wkrótce też kres i zaczepkom ulicznym, których dopuszczały się w stosunku do nas nie jakieś tam „męty“ społeczne, ale właśnie inteligenci o moskalskiej orientacji.

Spodziewaliśmy się, że w wygłodzonej Łodzi zbierze się sporo ochotników, zostaliśmy jednak srodze zawiedzeni, bowiem młodzież robotnicza, wciągana do rozmaitych „komitetów“ żywnościowych, nie kwapiła się wcale do wojska. Zresztą wszyscy wyglądali Moskali, bo sytuacja pod Warszawą nie wróżyła bynajmniej utrzymania przez Niemców dotychczasowej linii bojowej, a w samym mieście nie brakło szpiegów, rozdmuchujących rosyjskie lokalne zwycięstwa do olbrzymich rozmiarów. Przeświadczenie ludności o tem, że fabryki łódzkie nie mogą absolutnie istnieć bez rosyjskich rynków zbytu, stawiało nas w bardzo trudnem położeniu wobec mas, odnoszących się do nas prosto wrogo, w najlepszym zaś wypadku — obojętnie. Jednak przyjazd do Łodzi Boernera, a tuż po nim Daniłowskiego, Żuławskiego, Kaden-Bandrowskiego, Tokarza i innych twórców P. O. N. (Polska Organizacja Niepodległościowa) ruszył nieco naprzód sprawę werbunkowe.

Kilka odbytych wieców, kilka gorętszych przemówień potrafiło rozbić ów chiński mur i gdyby nie krótkotrwałość naszego pobytu w Łodzi, wyciągnęlibyśmy z tego miasta na pewno parę tysięcy ludzi, którzy i tak zostali później zaprzepaszczeni bądź w armji rosyjskiej, bądź też na przymusowych robotach w Niemczech. Tymczasem zgłaszających się dość skąpo nowych ochotników przydzielano do naszego bataljonu, zabierając z niego równocześnie do innych oddziałów żołnierzy, zaciągając

tych przedtem w Piotrkowie i Częstochowie. Stąd też bataljon nasz otrzymał nazwę „łódzkiego“, choć nie z samych łodzian był zorganizowany. Wewnątrz naszego plutonu także nastąpiły zmiany, przydzielono nam bowiem kilkunastu morowców z samej Łodzi. Więc do pierwszej sekcji przybyli nowi obywatele: Zenon Kret (Antoni Wołowski), Mieczysław Hanczke, Michał Wymysłowski, Capiga i podoficerowie: z plutonu wadowickiego Jaś Michalski, nazwany przez nas „murzynowatym Otello“ i inaczey „Karabin maszynowy“, i przybyły z Satyrem młodzutki Michał Tomaszewski z Krakowa. Kret został przez naszych komisarzy uwolniony z więzienia, w którem jako stary bojowiec P. P. S. odbywał karę 10-letniego więzienia już od roku 1907. Był zatem obecnie najpoważniejszym mężem sekcji i otrzymał miejsce po prawicy Broka, w czwórce sztandarowej, jako chorąży. Trzeci zajął miejsce w tej czwórce Hanczke, czwarte ja, wobec czego Prochaska i Dziuk odeszli do drugiej — czwórki. Ze względu na powagę naszego chorążego Kreta, zaczęto go oficjalnie tytułować „Wujem“, wobec czego postępujący obok niego Hanczke, maturzysta z Łodzi, przybrał sobie pseudonim „Kuzyn“. Michalski i Tomaszewski, którzy przyjechali z Satyrem, jako instruktorzy, pełnili narazie funkcję kaprali ku wielkiemu nieukontentowaniu Gontaszewskiego, któremu przypadała jedna z dalszych sekcij.

Jak już zaznaczyłem wyżej, dwa pierwsze plutony naszej kompanji posiadały Manlichery, pełniły też z tej racji służbę, że tak powiem reprezentacyjną, jeśli chodziło o pokazanie sprawności strzelców nazewnątrz, Takiej imponującej reprezentacji wymagały właśnie rekwizycje, z których utrzymywaliśmy się w Łodzi, a na które do asysty urzędnikom intendentury delegowano stale Broka, jako umiającego przemawiać w odpowiedni sposób, tak do krytycznie w stosunku do nas nastrojonych

kmiotków, jako też skąpych z natury gospodyń wiejskich. Parę chwil serdecznej pogawędki z gospodarzami i ojciec Brok przenikał w najtajniejsze i najprzemysłniejsze schowki i, co dziwniejsza, chłop dawał chętnie nie tylko ziemniaki, ale i furę pod nie, baba zaś wygarniała z zasieka co najprzedniejszą mąkę dla Matki Boskiej, co się tymi „chrobockami“ strzelcami opiekuje. Nie trzeba więc było stosować przymusu, bo wsie, zwłaszcza dalej od miasta położone, były, jak zwykle na jesieni, jeszcze dość w żywność zasobne. To też intendenci nasi poczynili duże zapasy wszelkiego zboża, płacąc za nie kwitami lub gotówką, głównie za bydło.

Pobyty nasz w Łodzi miał się ku końcowi i znać było gorączkowe przygotowania Kwatery Głównej do opuszczenia miasta.

Niemcy demolowali dworzec kaliski i wysadzali mosty kolejowe, za miastem słychać było oddalony huk armat z pod Skierniewic.

Dnia 26-go października byliśmy pewni już, że wyruszymy, bo intendentura poczęła się nagwałt pakować. Następnego dnia nie ustawała kanonada. Taborów niemieckich w mieście już ani śladu.

27-go października wyruszył do Częstochowy bataljon pod Trojanowskim, zaś 28-go opuścili Łódź skauci, zorganizowani w osobny oddział wywiadowczy, pod dowództwem Nałęcza i Pannenki. Myśmy pozostali jeszcze, przeniósłszy się w nocy do koszar, opuszczonych przez intendenturę i przez cały dzień 29-go października rozdzielaliśmy pozostawione przez nią zapasy żywności, zboże, mąkę i ziemniaki, wśród ubogiej ludności ku wielkiemu niezadowoleniu milicji obywatelskiej, roszczącej sobie pretensję do pośredniczenia w tym podziale.

Wreszcie dnia 30-go października nastąpił wymarsz w chwili, gdy już ani jednego Niemca w mieście nie było.

Podczas gdy nasz bataljon wychodził na drogę do Konstantynowa, z przeciwnej strony Łodzi wkraczały już kozackie patrole.

Marsz mieliśmy bojowy, bo tabory odesłano wcześniej. Nasz pluton szedł w straży przedniej, z krótkimi odpoczynkami, chropowatą szosą. Byliśmy bez obiadu do późnego wieczora. Zatrzymaliśmy się dopiero w Szadku, a więc zrobiliśmy w ciągu niecałego dnia 45 km. Jak na pierwszy marsz, wystarczyło. Wszyscy mieli poodparzane nogi, obolałe ramiona i grzbiety. Po „cienkiej“ kolacji każdy walił się z nóg, przeorniejsi zabezpieczali się przed następstwem dalszego marszu, inni czynili przegląd swych plecaków, namyślając się, do jakiego stopnia można by zredukować ich zawartość. Przespaliśmy resztę nocy w jakimś budynku o nieokreślonym celu użytkowym.

Rano zerwano nas wcześniej i po cieńszem jeszcze, niż kolacja, śniadaniu nastąpił odmarsz. Przed wyruszeniem w drogę wyznaczono kwatermistrzów, między którymi znalazłem się ja i Brok. Otrzymaliśmy rozkaz przygotowania kwater w Sieradzu, dokąd mieliśmy przybyć wcześniej zarekwiirowanemi furmankami. Odbyliśmy tę podróż przez Zduńską Wolę na trzęsących się wózkach, zmarznięci i głodni. Przybyliśmy do Sieradza na parę godzin przed oddziałem. Zastaliśmy tam pełno Niemców, prześladowających nas swą natrętną ciekawością i urzędników magistratu, usiłujących nas się pozbyć w niezbyt grzeczny sposób. Ale i tu powaga Broka nam się przydała i zajęliśmy wporę budynki, w których nocowali już nasi strzelcy dwa dni przedtem. Była tam jeszcze ta sama słoma, więc nie trzeba było nic urządzać. Pozostało tylko wystarać się o możliwe kwatery dla oficerów, co w przeładowanym żoldactwem niemieckiem mieście nie było rzeczą łatwą. Uporaliśmy się jednak jakoś, przewyciężając wszystkie trudności i stawiając milicjantów na warcie

przed wybranemi obiektami. Sami zaś, zaproszeni przez jakiegoś pocziwego mieszczanina, pożywiliśmy się setnie i już z większą energją przystąpiliśmy do rozprowadzania zmęczonych oddziałów na różne miejsca spoczynku.

Z Sieradza gnaliśmy nazajutrz znów furmankami do Wielunia, wśród szalonego wiatru, jaki się zerwał nagle i dmuchał nielitościwie, tak że trzeba było otulać się mocno kocami.

Wieluń zrobił na nas bardzo miłe wrażenie swym zewnętrznym wyglądem, bo co do jego mieszkańców, to pies kulawy się nami nie interesował. Nie przejmując się tem zbyt, zarezerwowaliśmy kwatery u bogatszych mieszczan z surowym nakazem przygotowania posiłku dla określonej liczby ludzi w każdym mieszkaniu. Nie odbyło się przytem bez pewnych drobnych ekscesów w stosunku do zuchwalszych łyżczków, którzy umieli być pokorni wobec Prusaków, pozwalając sobie natomiast na okazywanie niechęci nam, nie mającym innej egzekutywy oprócz tej siły moralnej, jaka tkwiła w nas samych.

Następny nocleg wypadł w Krzepicach, gdzie już ludność okazała się względniejsza. Zaraz po naszym tam przybyciu nastąpiły skargi, że jeden ze strzelców, pozostawszy w Krzepicach jako maruder, dobrał sobie kompana, jakiegoś Prusaka, z którym wespół maltretuje i grabi zamożniejszych mieszkańców. Ponieważ miejsce pobytu tych dwu ananasów było wiadome miejscowej milicji, udaliśmy się tam i przyaresztowali gagatków, odstawiając Prusaka ze stosownym raportem do niemieckiej komendy, a naszego rekruta z Częstochowy zatrzymując związanego pod kluczem aż do przybycia baonu. Stanowczość nasza poprawiła nam odrazu zepsutą reputację. Otrzymaliśmy też pochwałę od Satyra, który kazał rzemieślnika prowadzić pod silną eskortą do Częstochowy, gdzie miał się odbyć nad nim sąd polowy.

Z Krzepic dotarliśmy już jednym ciągiem do Częstochowy z krótkim postojem w Lgocie, gdzie kazano nam, kwatermistrzom, przygotować obiad. I tu znów spryt i wymowa Broka wielce nam ułatwiła nasze zadanie, bo wiem każda chata musiała dać jeść kilkunastu ludziom. Wogóle od samej Łodzi odżywialiśmy się przygodnie, lub dorywczo — przeważnie drogą rekwizycji, tylko w Lututowie znalazł się jakiś piekarz, który ofiarował nam dobrowolnie kilkadziesiąt bochenków chleba, oburzając się bardzo, gdy mu nasz sierżant prowiantowy chciał za ten chleb zapłacić. Wędrując naprzód, jako kwatermistrz, zaoszczędziłem sobie trochę sił fizycznych, podczas gdy bataljon znajdował się w stanie oplakanym po forsownym czterodniowym marszu. Było wielu chorych, nieprzywykli jeszcze do marszu żołnierze gonili resztkami sił. Spróbowałem i ja tej przyjemności, maszerując od Lgoty już razem z oddziałem.

Do Częstochowy wkroczyliśmy dnia 3-go listopada po południu. Ludność, która nas tak tłumnie zegnała przed trzema tygodniami, wyległa i teraz na ulicę, nie okazując nam jednak otwarcie swej życzliwości. Obawiano się szpiegów i represji na wypadek powrotu Moskali. W drodze do koszar na Stradomiu, odłączywszy się na chwilę od oddziału, byłem kilkakrotnie zaczepiony przez przechodniów, usiłujących dać wyraz swej trosce nie tyle o dalsze nasze losy, ile o własną skórę.

— Uciekajcie do Galicji, bo Moskal tu przyjdzie i mścić się pocznie nie tylko na rodzinach tych, co do was przystali, ale wogóle na nas wszystkich. Powinniście opuścić teren tutejszy, aby nie narażać siebie i nas.

Tak mniej więcej brzmiały życzliwe rady, udzielone nam przez tchórzliwych obywateli, usiłujących w odwrocie naszym dopatrywać się zapowiedzi nieuchronnej klęski. Defetyzm ten zbywaliśmy pogardliwym milczeniem, zaś co gorętsi dawali folgę swemu oburzeniu.

— Żołnierzami jesteśmy i o ucieczce żadnej nie myślimy. Bić się będziemy z naszym najgorszym teraz wrogiem. Później przyjdzie czas na innych!

Słuchano naszych oświadczeń i patrzono na nas jak na warjatów, do tego stopnia poczucie godności własnej zostało stłumione przez niewolę.

Ledwo zdołaliśmy cokolwiek wypocząć w koszarach, zerwano nas nazajutrz o świcie na plac ćwiczeń, gdzie zbierały się wszystkie oddziały, przybyłe z Łodzi przed nami. Aż się dusza radowała na widok tej siły, stanowiącej ledwie znikomą część tego, co mogło dać społeczeństwo tej części Królestwa. Kolumna za kolumną sprawiała swe szyki, rozwijały się kompanje. Nie byliśmy już garstką wyśmiewanych w Dąbrowie wolontariuszy, byliśmy wojskiem i nie bylejakim.

Urywane słowa komendy, równomierny chrzęst przesuwanych w sprężystych dłoniach karabinów, umiejętne panowanie nad sytuacją, wykazywane przed frontem oddziałów przez oficerów, zadziwiłoby mogły niejednego fachowca, gdyby się dowiedział, że te zwroty i chwytły przerabialiśmy dorywczo i w warunkach najmniej odpowiednich, właściwie tylko przez dwa tygodnie.

Raport odebrał „królik polski“, ob. Trojanowski, który też wydał zaraz po przeglądzie bataljonów odpowiednie rozkazy. Jak już powiedziałem wyżej, było wielu chorych i słabych, do ciężkiego marszu niezdolnych. Tych wydzielono osobno razem z częścią taborów i odesłano do Krakowa, skąd przeważnie już do nas nie wrócili. Wcielono ich do II brygady. Dotychczasowe dwa bataljony połączono w jeden, wskutek czego nastąpiły pewne przesunięcia wewnątrz oddziałów.

Nasza kompanja znacznie się powiększyła i liczyła teraz około 250 ludzi. Dotychczasowy dowódca, ob. Borucki, otrzymał przydział do artylerji, a komendę po nim objął por. Kordjan=Monasterski, świecący nowe

mi gwiazdkami na kołnierzu, ponieważ dopiero teraz do-
tarł do nas rozkaz Komendanta, wydany w Jakubowicach
i ustalający stopnie i oznaki, narazie dla oficerów. Nowy
kompanijny wystąpił z krótką przemową.

— Pójdziemy zaraz do pułku, do Komendanta, na
front. Skończyła się nasza praca organizacyjna, jesteśmy
jednostką bojową, która musi pokazać, co umie. Nie je-
steśmy żołdakami, walczącymi z musu, lecz odrodzonymi
żołnierzami Tej, co nie zginęła i zginąć nie może w pyle
zapomnienia. Mamy zdobyć rozgłos i sławę dla siebie,
wolność dla Ojczyzny. Zadanie to ciężkie, wykonalne
tylko dla mężnych i zdecydowanych na największe trudy
ofiarników. Więc kto się nie czuje na siłach, komu łydki
drżą, jest jeszcze czas się cofnąć. Może wystąpić z szere-
gu i wrócić tam, skąd przyszedł, bo tuż za nami kroczy
śmierć i czeka, gorsze od śmierci, kalectwo. Każdy żoł-
nierz musi być na to przygotowany, że może zginąć, lecz
równocześnie musi chcieć zwyciężyć. Kto się waha, jest
jeszcze czas, niech wystąpi!

Głucha cisza zaległa po tych słowach w szeregach kom-
panji. Nie wystąpił nikt, choć niejednemu niemiły dres-
zczyczek przebiegł po grzbiecie, bo Kordjan twardą swą mo-
wą sięgnął w głęb duszy każdego.

W samo południe wyruszyliśmy z koszar i przy dźwię-
kach „Strzelca“ predefilowaliśmy przez miasto pomię-
dzy tłumami poruszanej naszym wymarszem ludności.
Za rogatkami wydzielono kwatermistrzów, między któ-
rymi ja znów się znalazłem, pod dowództwem ppor.
Wendy, który gnał nas bez wytchnienia szeroką, piaszczy-
stą, dobrze mi znaną drogą, a później przez las do Ol-
sztyna, gdzie bataljon miał nocować. W lichem tem mia-
steczku trudno było o kwatery, jednak dla swojej kom-
panji znaleźliśmy możliwe pomieszczenia, choć większość
żołnierzy musiała się ulokować w stodołach, co ze wzglę-
du na chłody listopadowe nie było rzeczą arcyprzyjemną.

Mglistym rankiem wyruszyliśmy w dalszą drogę do Janowa. Na tle starodawnych ruin zamczyska wysuwający się po skalistej drodze z za góry bataljon czynił niesamowite wrażenie wielogłowego smoka, wypełzającego jakby z pod ziemi, by zniknąć w czeluściach drzemiącego w oparach sosnowego boru. Kilka kilometrów lasem, a potem znów piachy, ścielące się szeroką ławicą, zrzadka porośniętą jałowcem. Minęliśmy wieś o charakterystycznej dla okolicy nazwie: Piasek. W niespełna godzinę później znaleźliśmy się na rynku tego samego miasteczka, w którym wraz z Jankiem śniłszy swój sen o szpadzie w pierwszym dniu mobilizacji. Miałem tu wielu znajomych, to też rozrywany byłem na wszystkie strony i wypytywany, czy aby nie szykujemy się tu do bitwy z kozakami, o których krążyły wieści, że są gdzieś niedaleko. Nie chciałem zaspakajać próżnej ciekawości ludzkiej, oświadczając krótko, że o niczem nie wiem. Udałem się z rozkazu Kordjana do gminy przynaglić wójta do przygotowania podwód dla wyczerpanych marszem żołnierzy. Pisarz gminny mało nie wyłaził ze skóry, aby uczynić zadość naszym żądaniom, obawiał się widocznie, aby nie zdradzić jego zbyt gorliwości w przeprowadzeniu nakazanej przez Moskali mobilizacji. Znalazły się w mig podwody, choć oddział wypoczywał jeszcze nie tyle ze zmęczenia, ile z musu, nie mieliśmy bowiem kuchni polowej. Obiad gotował się w kotłach, pod którymi rozpalono ogniska na środku rynku. Choć byłem zapewniony o dłuższym z tego powodu postoju, nie skorzystałem z zaproszenia pana Zygmunta i innych znajomych na obiad, woląc zasiąść ostentacyjnie z menażką na kolanie gdzieś pod jakimś płotem i konsumować jej zawartość bez etykietalnych przesądów.

Natychmiast po spożyciu upragnionego przez strzelców obiadu zarządzono zbiórkę, a ponieważ zapomniano o podwodach dla kwatermistrzów, Kordjan wyznaczył

mnie komendantem tychże z poleceniem postarania się o furaż w Złotym Potoku, odległym od Janowa o kilometr drogi. Znajomy sołtys dostarczył furmanek na poszekaniu, nie omieszkawszy ostrzec mnie, że w niedalekiej Niegowie widziano tego dnia rano w lesie kozaków, którzy mogą na nas urządzić zasadzkę na drodze. Miałem rozkaz przygotowania kwater w Żarkach, odległych od Złotego Potoku o 12-cie km. Okolicę znałem dobrze i wiedziałem, że na tej drodze teren skalisty, porośnięty lasami, rzeczywiście stanowić może dobrą bazę operacyjną, lecz nie dla kozaków, przywykłych do walki w czystym polu, ale właśnie dla piechoty, o której jakoś nie było słyhać. Podzieliłem się jednak z towarzyszami swemi obawami, radząc ostrożność i zachowanie bezwzględnej ciszy w drodze. Karabiny mieliśmy nabite, ładownice pełne, nie obawialiśmy się niczego, puszczając się raźnie naprzód po dobrej szosie, wiodącej do Żarek. Ponieważ było nas wszystkich dziesięciu, rozmieściliśmy się trójkami na trzech roztrajkotanych wózkach, dziesiąty pozostał łącznik, aby uprzedzić nadciągający oddział o kozakach.

Chociaż nasze wózki czyniły wiele hałasu, zwłaszcza w lesie, dojechalśmy bez żadnej przygody do celu, doszedł też do Żarek bez szwanku cały baon, choć jak się później dowiedziałem, w lasach nad szosą byli rzeczywiście kozacy, a tuż za nimi piechota rosyjska, już dnia następnego opanowała najważniejsze wzniesienia terenu w okolicy.

W Żarkach zastaliśmy straszliwy bałagan austriacki i istną wieżę Babel. Stłoczone na rynku tabory, mieszanina ludzi, wozów i koni, czerwone portki huzarów węgierskich, kogucie pióra strzelców tyrolskich, bośniackie fezy i hełmy czeskich dragonów — klóciły się ze sobą w nieopisanem zamieszaniu, wypełniając szczerlnie najmniejsze zakamarki żydowskich domostw miasteczka,

oblanych jakby łuną pożaru od niezliczonej ilości latarni i pochodni, tańczących ruchem wirowym w mglistym powietrzu zapadającej nocy jesiennej. Nie było mowy nie tylko o wyszukaniu kwater, ale o przebicciu się przez tę zbitą masę, ogarniętych paniką cesarsko-królewskich maruderów, dążących w rozmaitych kierunkach i nawołujących się we wszystkich językach i narzeczach apostołskiej monarchji Habsburgów. A przecie nie była to jeszcze klęska, lecz najzwyczajniejszy odwrót, na wcześniej przygotowane pozycje, jak głosił komunikat wojenny.

Podobnego nieporządku nie widzieliśmy w armji niemieckiej, która również zmuszona była ustępować szybko z pod Warszawy. Przebijając się przez tych walecznych wojaków, wkrótce pogubiliśmy się w tłoku i mroku. Nie mogąc odnaleźć towarzyszków, postanowiłem szukać kwater dla swojej kompanji na własną rękę. Wkrótce, znalazłszy się poza kręgiem rozkrzyczanego żołdactwa, wynalazłem jakąś garncarnię czy kaflarnię z długą przewiewną szopą, w której nie było nikogo. Zapamiętawszy sobie dobrze jej położenie, udałem się opłotkami zpowrotem na szosę, gdzie znalazłem już czterech swoich ludzi, którzy domyślili się sami, że tu najlepiej będzie oczekiwać przyścia bataljonu. Pozostali czterej utykali w dalszym ciągu w rozgardjaszu austriackim, nie mogąc widocznie nic znaleźć. Mnie poszczęściło się najlepiej, bo wygodniejszej kwatery nie znalazła żadna kompanja. Nocowano przeważnie w chlewikach i na śmietnikach żydowskich, byle osłona od wiatru, o chłodzie i głodzie.

Rankiem dnia 6-go listopada nastąpił znów uciążliwy marsz. Odwaliliśmy jednym tchem milę drogi po wybojach i skalistych pagórkach, odetchnąwszy nieco dłużej w Kromoławie, gdzie znów nasze kotły dymiły przez trzy godziny, podczas gdy nam kiszki marsza grały. Chleba nie było, ale zato na noclegu w Żarkach i po drodze do Kromołowa i na późniejszych postojach odbywała się

gwałtowna „wymiana“ Werndli na Manlichery, taboryści bowiem austriaccy niebardzo dbali o swoje „gwery“, które można było łatwo z wozów ściągać, podrzucając na ich miejsce skałkowe graty, w które nas Austrija wyposażała. Wymieniano też amunicję całemi skrzyniami bez rekompensaty, bo naboje werndlowskie wrzucano poprostu do rowu. Ci, którzy mieli skrupuły i pewne zasoby pieniężne, kupowali prześliczne nowe Manlichery od Austriaków. Ja za trzy papierosy wymieniłem też swą ciężką 90-kę na lepszy karabin nowego typu.

Po obiedzie wyruszyliśmy w dalszą drogę do Ogrodzieńca. Tu znać było pewną konsternację wśród naszych oficerów, zwłaszcza po odbytej u „wodzów“ odprawie. Raptem wszyscy zamknęli gęby, jakby na kłódkę, jednym słowem, zakonspirowali się, nie wyjaśniając bardziej zaintrygowanym celu i końca tej naszej wędrówki, którym miał być przecie pulk.

Jedni mówili, że dążymy do Krakowa, inni, że do Miechowa, pewnego nic nikt nie wiedział.

Z Ogrodzieńca wyszliśmy rano o cienkiej herbatce bez chleba i w południe znaleźliśmy się w Pilicy, zawałonej znów austriackimi taborami. Po złożeniu rynsztunku w obrębie jakiegoś zameczku nad rzeką rozbiegliśmy się po mieście w poszukiwaniu chleba. Ale Austriacy już dawno rozdrapali wszystko, co tylko nadawało się do jedzenia. W jednym tylko sklepie udało mi się zdobyć przebojem paczkę wafli i dwie paczki pierników, czem podzieliłem się sumiennie z kolegami. Obiad składał się tylko z kawałka mięsa i czystego rosółu. Wytrzęśliśmy to, utykając po wertepach i jakichś ścieżynach leśnych, bardzo szybko i dopiero wieczorem znaleźliśmy się w zagubionej wśród górzystych lasów wioszczynie.

— Ryczów!

Nazwa bycza, jak powiedział ktoś z szeregu, — ale wieś nędzna. Wypadło nam tu spędzić ciężką noc po

dwudziestu chłopów w jednej ciasnej izbie bez podłogi i posłania, bo nawet słomy nie było. Zdobyłem w tej wsi dwa nadgniłe karpiele, któremi podzieliłem się w sekrecie przed innymi z Januszem Suchorzewskim, jako że ten był świadkiem mych poszukiwań, uwieńczonych znalezieniem zatęchłej jarzyny w jakimś rozwalonym kopcu na ziemniaki.

Zerwano nas o czwartej rano, aby pod wieczór znaleźć się znów w Ogrodzieńcu, gdzie jednak zdobyliśmy trochę ziemniaków, wyłowiwszy do nich z przydrożnej bazylijskiej skrzynkę konserw, porzuconą snąc przez austriackie tabory. Z Ogrodzieńca wysłano Dziuka i Broka, jako kwatermistrzów do Niegowonic, tymczasem bataljon pomaszerował w przeciwnym kierunku, kłucząc przez kilka godzin wśród gęstwy leśnej koło cementowni w Kluczach, stając późnym wieczorem znów w jakimś Ryszczówku. Tu zauważyliśmy brak w plutonie trzech czy czterech żołnierzy, którzy prawdopodobnie zwiali do domu, pochodzili bowiem z tych okolic. Zaczęły się szemrania, uspakajane łagodnie przez Ceceniowskiego,—bardziej stanowczo przez Lienemana. Zniknęli później w nocy Czapla i Brzeski, którzy dawno już narzekali na to, że są prostymi szeregowcami. Brzeskiego spotkałem po roku, jako sierżanta II brygady, zwił tam dla szarży, a Czapla wogóle zdezerterował. Przedtem jeszcze wystąpił Ryszard Piwowar, który miał pretensje do stopnia oficerskiego, którego nie otrzymał.

Były to jednak rzadkie i pojedyncze wypadki zniechęcenia na tle wygórowanych ambicji osobistych. Bataljon, jako całość, wykazał w tych ciężkich chwilach niezwykle hart ducha i żelazną wytrwałość, w czasie dalszej włości o chłodzie i głodzie, nie domyślając się nawet, że wtedy to ważyły się losy całego wojska, odbywał się ów sławny marsz Komendanta na Ulinę Małą. Nie mógł

o tem wiedzieć i nasz dowódca, Satyr=Fleszar, jadący w zaciętem milczeniu naprzędzie baonu przez Chechło do Osienia, później do Sławkowa, skąd znów przez uciążliwe wydmuchy litego piasku zpowrotem do Chechła, gdzie wreszcie ugrzęźliśmy na okres całotygodniowy, czekając wiadomości o pułku. Choć o chleb w dalszym ciągu było trudno, można było poza obiadem z kotła dożywiać się ziemniakami, których nam nie skąpili gospodarze kwater, choć sami już resztkami gonili. Satyr nie tracił czasu i bataljonowi gnuśnieć nie pozwolił, zarządzając ćwiczenia polowe na piaszczystych wydmach. Tu używał sobie na całego ob. Bolesta, najgorliwszy z oficerów, a Lis=Kula zapoznawał nas praktycznie z arkanami sztuki wojennej, polegającej na błyskawicznem rozwijaniu się, atakowaniu niewidzialnego nieprzyjaciela, sposobach patrolowania, ubezpieczania oddziałów i t. p. Ochota była wielka, zapomniano o głodzie, a gdy po kilku dniach ukazały się we wsi wozy prowiantowe, naładowane chlebem, zdobytym przez naszych dzielnych prowiantowców z wielkim trudem od Austriaków, jeszcze chętniej poddano się rozkazom, ćwicząc zapamiętałe od świtu do późnego wieczora, aby wykorzystać krótkie dni jesienne i zaprawić się do bojów, które nas czekały. Wieczorem zaś kwatery rozbrzmiewały beztroską pieśnią żołnierską.

Nie było czasu na nudy i zmartwienie, gdy na zegarze dziejowym Polski wybiła godzina czynu.

Nie było mowy „o niczem“, ani roztrząsania spraw małej wagi, dla nas istniał tylko bataljon, karabin, rozkaz, a poza tem troska o podtrzymanie sił fizycznych, aby móc godnie zaprezentować się w pułku, który majaczył przed nami w niedalekiej perspektywie, jako przystań, do której, byliśmy tego pewni, dobijemy mimo piętrzących się przeciwności losu.

II.

CH R Z E S T

Była niedziela 15 listopada 1914 roku. Jeden z tych późnych dni jesiennych, kiedy to natura układa się ostatecznie do snu zimowego, a wichry leniwieją, nabierając mroźnej tężyzny.

Bataljon nasz stał przed skromnym wiejskim kościółkiem w Chechle pod Olkuszem, ustawiony kompanjami w szyku rozwiniętym. Z wnętrza kościółka dobywał się od czasu do czasu przytłumiony głos dzwonka i charakterystyczny przytem ni to jęk, ni to westchnienie modlącego się ludu. Szeregi stały wyrównane, z bronią u nogi, wpierając się mocno nogami w skrzepłą od mrozu ziemię.

Strzelecka brać...

Szara polska piechota, która oto zerwała się do boju z wrogiem olbrzymem, być może, bez nadziei zatriumfowania nad nim, ale z szaloną chęcią zetknięcia się w śmiertelnych zapasach z odwiecznymi gnębicielami narodu.

Kompanja za kompanją stają w pieszym ordynku: pan i sługa, filozof i rzemieślnik, chłop od pługa i mistrz od palety... I podczas gdy w kościele organy pomrukują rytmem spokojnym, poważnym, tu na placu kilkaset głów roi w zamyśleniu plany bohaterskich bitew, śmiertelnych pojedynek, wypadów.

Wychyliłem głowę i powiodłem wzrokiem po twarzych, skamieniałych od natężenia myśli, profilach pierwszego szeregu... I naraz coś miękkiego podpełzło mi pod serce i uczułem wielki ogrom ukochania tych śmiało w górę zadartych, szczypanych przez mroźny listopadowy wiatr, żołnierskich twarzy.

Ale oto organy zagrzmiały głośniej i z wnętrza kościoła buchnął na plac męczeński hymn... Szeregi zafalowały leciuchno i popłynęła ku niebu skarga ujarzmionego ludu... Ale inne głosy szły z kościółka, skąd wydobywał się jeden tylko jękliwy ton melodji, a inaczej hymn ten wychodził z piersi, śpiewających na placu żołnierzy, gdzie buntowniczy ton brał górę i chwilami zespałał się w jeden okrzyk potężny i straszny. Twarze śpiewających nabrzmiały z wysiłku, głosy stawały się coraz chrapliwsze, namiętniejsze... W kościele śpiewano już „Boże coś Polskę“..., gdy na placu rozchodziły się jeszcze potężne echa hymnu Ujejskiego.

Wreszcie głosy przycichły i przy ostatniej zwrotce pieśni, pobrzękując szablami, jęła wychodzić z kościoła starszyzna, a za nią tłoczyć się ludność miejscowa. Przed naszym frontem stanął nagle porucznik Kordjan-Monasterski, a na jego junackiej twarzy zawisło dwieście par oczu niespokojnych, pytających... Na kościelnym cmentarzu bowiem odbyła się przed chwilą odprawa oficerska... Przed dwiema godzinami przybył kurjer z jakimiś ważnemi rozkazami, jak się domyślano, bo zaraz zarządzona została zbiórka całego bataljonu w pełnym rynsztunku, jak do wymarszu. Spodziewała się zatem wiara odmarszu, ale dokąd — nie wiedziano, gdyż od dwóch tygodni z pułkiem łączności nie było. Małoduszni szepotali po kątach kwater, że Komendant został otoczony i pod Wolbromiem przez Moskali do niewoli wzięty. Nic dziwnego tedy, że cała kompanja utkwiała w swym dowódcy niespokojne oczy.

Ale on swoje lekko przymrużył, skinąwszy na ordynansa, który stał z koniem na boku i na dany znak skwapliwie się przybliżył, jednym skokiem usadowił się na siodle i, łypnąwszy wedle swego zwyczaju, figlarnie białkami oczu, nagle spoważniał.

— Komendanci plutonów — do mnie!

Sunęli ku niemu: pocziwy Ceceniowski, dystyngowany Lieneman (obecnie płk Trzaska-Durski) i dobroduszny Garbarz (zginął pod Lisowem), tudzież podoficer za frontem Gontaszewski (zginął pod Łowczówkiem), prowadzący czasowo 4-ty pluton, i stanęli w ordynku. Kompanijny pochylił się na koniu i jął mówić do oficerów. Mówił zwięźle, dobitnie i tak głośno, że ostatni na skrzydle mogli usłyszeć każde jego słowo.

— Sytuacja jest dość pomyślna... Komendant przedarł się przez Moskali i obecnie wypoczywa w Krakowie. Bataljony czwarty i szósty cofają się pod Krzywopłoty, gdzie wspólnie z Austriakami mają powstrzymywać napór Moskali na Kraków. Nasz bataljon ma ich uzupełnić, gdyż bitwami i odwrotem z pod Dębłina są poważnie nadszarpnięci. Powiadomić ludzi, że idziemy na pozycje. Przypuszczam, że dwa tygodnie ćwiczeń na chechłowskim wydmuchu zrobiły swoje i żołnierz do bitwy jest przygotowany.

— Tak jest, obywatelu komendancie!

— Właśnie. A teraz porządnie wyrównać, bo austriacki generał ma odbyć przegląd bataljonu i będzie defilada.

Tu zasalutował i ściągnął cugłami konia, który jął przebiegać nogami, rzucać łbem i inne czynić popisy. Oficerowie wrócili do swych plutonów i chcieli podzielić się wiadomościami z kompanją, ale w szeregach już szepcano:

— Dziadek w Krakowie, idziemy pod Krzywopłoty!

I nagle, ni z tego, ni z owego:

— Niech żyje Dziadek!

Ale zabrzmiało „baczność“ i „równaj w prawo“. Wszystkie głowy zwróciły się na prawo, a ciała jęły się wysuwać i cofać, poczynając od prawoskrzydłowego szeregowca aż do ostatniego „ofermy“ na lewem skrzydle. Poruznik Kordjan spoglądał chwilę z poza swych „cwi-

kierów“ na formujące się szybko szeregi, odsłonił zęby w szczerym żołnierskim uśmiechu i powiada:

— Tylko, jak będzie defilada, spisać mi się, chłopcy, tak jak na pierwszą kompanję przystało!

Ktoś z drugiego rzędu odmruknął coś dowcipnego, kompanijny ku niemu podjechał i zawiązała się jedna z tych wesołych, a żywych pogawędek przełożonego z podwładnymi, przez cały czas kampanji charakteryzująca I brygadę.

Ale oto w głębi wioskowej ulicy, gdzie kwaterował sztab, ukazali się komendanci: mały Trojanowski, przezwany przez wiarę „królikiem polskim“, i Satyr-Fleszar, tak głęboko ukochany później przez żołnierzy dowódca VI baonu.

Zabrzmiała komenda, wyprężyły się żołnierskie mięśnie, szcęknęły karabiny i rozpoczął się przegląd. Komendanci przejechali wzdłuż frontu każdej kompanji, odprowadzani wiernymi żołnierskimi oczyma... Przejrzawszy cały bataljon, wrócili przed front naszej kompanji i w krótkim żołnierskim przemówieniu starali się przedstawić nam nasz twardy obowiązek — poczem odjechali na bok w oczekiwaniu przybycia zapowiedzianego generała. Gdy się ukazał wreszcie, otoczony sztabem, cesarsko-królewski dostojnik, orkiestra zagrała uroczyście „Jeszcze Polska“. W austriackiego generała jakby piorun trzasł. Poczerwieniał i zaczął trząść niecierpliwie rękoma, wrzeszcząc w stronę orkiestry:

— Neni Polska! Ne! — Boże wspieraj, Boże wspieraj!

Zbite z tropu gwałtownym gestem pana generała, nasze kieleckie chłopcy umilkli, bowiem nikt z nich austriackiego hymnu zagrać nie potrafił.

I znowu zabrzmiała komenda, a siwe szeregi stały nieruchomo, jakgdyby wkopane w ten oto skrawek ojczyźnej ziemi, której zamierzyły bronić przy boku perfid-

nego wroga=sprzymierzeńca, przed powtórny najazdem barbarzyńcy ze wschodu. Stężały twarze, a wierne przed chwilą oczy żołnierskie patrzyły teraz nieruchomo i jakby drwiąco, prosto w twarz posuwającego się wolno wraz z całym swym sztabem wzdłuż frontu austriackiego generała i zdawały się mówić:

— Patrz!.. Oto jesteśmy... Nie landszturm my, ani landwera, ale prawi dziedzice tej oto ziemi, po której stąpasz. Śmierć temu, kto po nią sięgnąć się waży, bo oto jesteśmy tu... My, wskrzeszeni rycerze z pod Grunwaldu i Kircholmu, z pod Moskwy i Smoleńska. Przyjrzycie się nam, byś nie zapomniał!

Więc też ekscelencja patrzył długo i uważnie, jakgdyby chciał w komórkach swego wyczerpanego, starczego mózgu przechować odbicie twarzy hárdych, młodocianych, tych głów wichrowatych, których myśli przenikać już począł przebiegły słuźalec Habsburgów. Na jego bladych, pomarszczonych wargach ukazał się z kolei kwaśno=drwiący uśmieszek i pan generał począł kiwać swem wysokim czakiem do taktu powziętym już właśnie postanowieniom. Skończywszy wreszcie swą wędrówkę, odszedł wraz ze sztabem na bok i dał znak do defilady.

Jakby wyrzucony z procy, wyskoczył przed front na swym kasztanie Kordjan=Monasterski i z błyszczącemi oczyma rzucił w nas twardemi słowami komendy. Szybko załamały się szeregi, podoficerowie skoczyli na miejsca, Ceceniowski z dobytą szablą wysunął się na czoło plutonu i ruszyliśmy...

Szedłem w czołowej czwórce pierwszego plutonu i przy dźwiękach strzeleckiego marsza starałem się jak naj=sprężystiej wyrzucać nogi, przyciskając jednocześnie kolbę karabina do biodra. Nie widziałem nic, prócz czarnego z żółtymi galonami czaka i nie czułem nic więcej, jak kolbę karabina, do biodra przywartą, a w uszach szumiały mi dwa słowa:

— Pierwsza kompanja! Pierwsza kompanja!

Wreszcie zniknęło mi z przed oczu generalskie czako, dostrzegłem zginające się kolana mych sąsiadów z prawej i lewej strony i, usłyszawszy komendę „spocznij“, odetchnąłem głęboko i poprawiłem karabin. W tej chwili podjechał do Kordjana austriacki ordynans i zawezwał go do generała. Komendę nad kompanją objął Ceceńiowski i prowadził nas dalej, maszerujących już zwykłym ciężkim krokiem obładowanego piechura.

Mijaliśmy właśnie ostatnie domy wsi, która nam przez dwa tygodnie użyczła dachu nad głową, a często i łyżki strawy cieplej. Przed domami stali wieśniacy, żegnając nas wzrokiem, w którym malował się żal i trwoga, podziw i uwielbienie. Kobiety machały w naszą stronę rękami, powiewały chustkami, dzieci biegły tuż przy maszerującej kolumnie, zaglądając nam w oczy. Za wsią dano nam kilkuminutowy odpoczynek. Pozdejmowaliśmy z ramion karabiny i, zebrawszy się w gromadki, poczęliśmy się dzielić wrażeniami, rozmaite czyniąc domysły, co do zawezwania naszego porucznika do generała.

Ale oto ujrzelśmy go nadjeżdżającego, a z zadowolenego wyrazu twarzy wymiarkowaliśmy, że pierwsza kompanja wstydu bataljonowi nie zrobiła. Porucznik, nie zsiadając z konia, zawiadomił nas, że pierwsza kompanja zyskała sobie uznanie generała, jako najlepiej prezentująca się w całym bataljonie, a takie przytem „robił“ do nas oko, tak setnemi sypał konceptami, że wywołał ogromną uciechę w kompanji i ogólną wesołość.

Byliśmy kontenci nie z pochwały generała, ale z tego, że nasz komendant nami się cieszy i że nas ceni jako młodych chłopów. Zanuciwszy tedy piosenkę o rozmarynie, szliśmy dalej z ochotą, chcąc już być jak najprędzej w Krzywopłotach, do których mieliśmy trzy mile marszu... A szliśmy tem chętniej, że w żołądkach burczeć po-

czyną, bo od rana prócz gorzkiej herbaty nic w ustach nie mieliśmy, zaś w Krzywopłotach obiecano nam fasunek, gdyż od chwili uczynionego przeglądu należeliśmy już oficjalnie do c. i k. armji i należały nam się pełne wojkowe pobory.

Nie zdążyliśmy jednak przed nocą na kwatery. Brnąc po kostki w sypkim piasku olkuskim, to znów utykając po kamienistej zepsutej drodze, ledwie wieczorem stanęliśmy pod wsią Krzywopłoty i pokładaliśmy się na piasku w oczekiwaniu na kwatery i pożywienie. Leżeliśmy już tak może z godzinę i zdążyliśmy porządnie zmarznąć, gdy wysłani kwatermistrze zawiadomili nas, że wieś zajmują Austriacy i niema tam ani jednej wolnej chałupy, będziemy musieli przeto przespać się na dworze. Kolacji także nie będzie, bo tabory naszych dwóch bataljonów, które tu przed nami przyszły, nie mają żadnych zapasów.

Ładna perspektywa!.. Kłaść się spać na zmarzniętej ziemi i o głodzie! Ale cóż robić? Wszak nie przyszliśmy tu wygód zażywać...

Kompanijny sprowadził nas z drogi na prawo, gdzie był młody, sosnowy las i dał rozkaz do rozejścia się i rozpalenia ognisk. W moment porzucano plecaki i wzięto się do łamania świeżych gałęzi sosnowych z których po długich mokołach rozdmuchano ogniska srodcie dymiące. Usiadłem przy ognisku i, krztusząc się gryzącym dymem, który wiatr coraz to mi w oczy zapędzał, grzałem zziębnięte ręce i nogi. Przy sąsiednim ognisku, palącym się żywiej i jaśniej, dzięki kilku suchym gałęziom, o które się wiara dla oficerów postarała, siedział Kordjan, wyciągnawszy nogi w długich butach prawie do samego ognia i rozmawiał z kilku podoficerami, którzy się do niego przysiedli. W miarę tego, jak palił się ogień, na junackiej jego twarzy przelatywała czerwona łuna i, gasnąc, kładła na nią jakby jakąś tajemniczą maskę.

Wogóle dziwnie wyglądaliśmy wszyscy na tle tych ognisk, płonących wśród rzadkich krzaków sośniny, żwawo się uwijając w pomroku zapadłej nocy.

Gdy się wiara porozsiadała, przyniesiono parę bochenków chleba z chechłowskich naszych zapasów, na czarną godzinę czynionych, i podzielono po pół bochenka na 10 ludzi. Otrzymawszy swoją kromeczkę, zjadłem ją w mgnieniu oka; wybredniejsi przypiekali czerstwy chleb na gorących węglach ognisk. Oficerowie otrzymali także same, jak i żołnierze, porcje. Znalazł się jednak malkontent, których niestety nigdy u nas nie brakuje, wyrzekający głośno na oficerów, że nie postarali się o więcej prowiantu. Słyszał to Kordjan i natychmiast zawezwał do siebie narzekającego żołnierza. Kazał odebrać mu karabin, pas z ładownicami i naboje i za karę odprowadzić na stałe do taboru. Delikwent szedł z nosem spuszczonej na kwintę, bo wyznaczenie żołnierza linjowego do taboru było wtedy uważane za ciężką karę.

Spożywszy porcyjki chleba, zaczęła się wiara układać do snu na ziemi przy ogniskach, gdy nadbiegł kwatremistrz i zameldował kompanijnemu, że znalazł we wsi stodółkę, gdzie kompanja może pod dachem przenoćować, a nawet i szopa dla konia się znajdzie.

Zarządzono zbiórkę. Powstałiśmy szybko i, zagasiwszy ogniska, ruszyliśmy za przewodnikiem w stronę wsi, użykając po ciemku, aż dotarliśmy do pożądaney kwatery. Stodółka była maleńka, nadto znajdowało się w niej kilku austriackich żołnierzy, ale zawsze co pod dachem, to nie w szczerem polu.

Zaczeliliśmy się rozlokowywać. Mnie się dostało miejsce na klepisku, a miałem go akurat tyle, że podesławszy płaszcz i nakrywszy się kocem, mogłem leżeć ledwie bokiem. Na moich nogach rozłożył się bez ceremonji ktoś

z trzeciego plutonu, dla którego już miejsca nie starczyło. Pomimo tego zaraz zasnąłem i zdaje mi się, że nawet dobrze spałem, gdy po północy obudził mnie sekcyjny na wartę. Musiałem użyć pewnego wysiłku, aby się wydostać z pośród przygniatających mnie ciał. Namacawszy w ciemności swój karabin i pas, wziąłem płaszcz na rękę i, deptąc po nogach śpiących towarzyszy, wydostałem się na dwór. Ubrawszy się i nasadziwszy bagnet na broń, udałem się za sekcyjnym w stronę naszych taborów, gdzie przy jednym z wozów czekał na zmianę wartownik, który takie mi dał informacje o służbie:

— Tu jest wóz naładowany chlebem, na którym śpi jakiś taboryta. Macie, obywatelu, tego chleba pilnować, a oprócz tego od czasu do czasu zaglądać pod szopę, gdzie jest koń porucznika Kordjana, żeby się przypadkiem nie urwał i nie pobiegł w pole. To wszystko. Cześć!

I odszedł z rozprawiającym wartę do stodółki, a ja pozostałem przy wozie zziębnięty i głodny. Na wozie jest chleb, to prawda, ale na chlebie śpi taboryta, a człowiek ma przecie poczucie obowiązku. Trzeba więc chleba pilnować. Zacząłem dreptać naokoło wozu, odpędzając od siebie pokusę sięgnięcia po chleb. Aby powstrzymać apetyt, udałem się do szopy, gdzie miał znajdować się koń porucznika, myśląc przez drogę:

— Djabli nadali z tym chlebem! Ludziom nie dadzą, trzymają na wozie, jeszcze pilnować każą... Ile jabym tak zjadł, żeby się najeść?.. Pół bochenka chyba by nie wystarczyło...

Lecz tu mi stanął w myśli porucznik Kordjan, zającący przy ognisku wyznaczoną porcję, i zawstydziłem się w duchu.

Nagle uwagę mą zwróciło palące się niedaleko szopy ognisko, a przy niem trzech ludzi, gotujących coś w ko-

ciółku. Poznałem ich... Byli to żołnierze z mojego plutonu. Zaciekało mnie, co oni tam gotują. A gdyby tak podejść?..

Ale oni poznali mnie zdaleka i wołają:

— Obywatelu Popiel, jak skończycie wartę, przyjdźcie do nas na przekąskę!

Tu mnie zaleciał zapach gotującego się mięsa.

— Byczo — powiadam — przyjdę.

Zajrzałem pod szopę, koń stał spokojnie. Wróciłem do wozu. Czas mi się dłużył niezmiernie, i nagle uczulem taki głód, że wyciągnąłem rękę i jałem unosić płachtę, którą wóz i śpiący na nim taboryta był nakryty. Ale przypomniałem sobie służbę, rękę cofnąłem i wytrwałem do zmiany.

Gdy mnie tylko zmieniono, wałę do ogniska. A tam na rozwiniętej płachcie namiotowej leży już przygotowany dla mnie pół bochenek chleba i spory kawał mięsa.

Ogarnęły mnie skrupuły.

— Skąd to macie — pytam — czy nie z wozu?

Roześmieli się.

— Ach, frajerze! A któż to swoją kompanję okrada? Poszliśmy do druciarzy (Austriaków) i ściągaliśmy całe ćwierć wołu i parę bochenków chleba. Kawał mięsa i chleb wzięliśmy sobie, a z reszty będzie miała jutro kompanja obiad. Prosimy, jedźcie!

Usiadłem więc przy ognisku uspokojony i jałem z apetytem wielkim zajadać czerstwy chleb i twarde niesłone mięso, podczas gdy koledzy podsycali ogień przygotowanymi kółkami z jakiegoś płota. Rozgrzawszy się, nasyćciwszy głód i pogwarzywszy z żołnierzami chwilę o tem, co nas czeka jutro, uczulem senność.

Było już nad ranem i brał silny przymrozek. Podziękawszy za wieczrę, wróciłem do stodółki, gdzie zająłem miejsce pilnującego chleba wartownika i natychmiast usnąłem.



...a przy nim trzech ludzi, gotujących coś w kociolku...

Ale nie dano mi spać długo. Przebudziły mnie głośnie rozmowy za ścianą kwatery, uczulem też zaraz przejmujące zimno. Narzuciłem przeto płaszcz na ramiona i poprzez śpiących żołnierzy wydostałem się na dwór. Pod stodółką stała austriacka kuchnia polowa, przy której kilku żołnierzy rozmawiało po czesku z kucharzami. Jeden z nich, zoczywszy mnie, zawołał, wskazując na niebo:

— Miesiczek!.. Miesiczek!.. Diwejte se, miesiczek!..

Spojrzałem w górę i ujrzałem księżyc w pełni, którego nie zdołało jeszcze spędzić z nieba wschodzące słońce. Blask jego łączył się z blaskiem dziennym i, odbijając od białego szronu, którym ziemia była grubo pokryta, wytwarzał dziwne światło. Pomyślałem sobie, że tak chyba muszą wyglądać mityczne Pola Elizejskie z błędzącymi po nich cieniami i zacząłem pilnie rozglądać się po okolicy, której w nocy dokładnie niesposób było poznać.

Stałem na zachodnim krańcu wsi, która, odarta z wszelkich ogrodzeń przez cofającą się armję austriacką, straciła największy urok wsi polskich, — „opłotki“, owe milczące powiernice pierwszych zalotów i pierwszych gorących pocałunków... Około trzydziestu chałup, z powyrywanymi gdzie niegdzie strzechami i poobijanymi ścianami, sterczało bezładnie w kotlinie, otoczonej z trzech stron wzgórzami, zasłaniającemi rozleglejszy horyzont. W północnej stronie za szeroką łąką ciągnął się szerokiem pasmem las sosnowy. Zasłaniał on nas przed okiem nieprzyjaciela, który z tamtej strony prawdopodobnie już nadciągnął. Przede mną w odległości półtora kilometra na wzgórzu skalistem czerniały ruiny jakiegoś zamku czy kościoła. Wszystko to, w matowo-bładem oświetleniu budzącego się dnia i jaśniejącej nocy, przybierało dziwne jakieś kontury. Otuliłem się płaszczem i patrzyłem w zamyśleniu na rozłożony przed sobą krajobraz. Z zamyślenia tego zbudził mnie cieniutki głos sierżanta prowiantowego kompanji, ob. Rocha:

— Oho, to z was ranny ptaszek, obywatelu! Pewnie wam egipskie baranki spać nie dały. A ja mam już dla kompanji kawę gotową. Powiadam wam, coś pysznego! Chodźcie tylko do kuchni, ale wpierw pomóżcie mi zbuzdzić tych tam w stodole, bo zmarzną na kość!

Zaczęliśmy wspólnie z Rochem ciągnąć za nogi i tarosić zwalonych na klepisku ludzi, wołając przytem na różne tony:

— Wstawać wiara!.. Fasunek jest!.. Kawa słodka, konserwowa, chlebek byczy... Wstawać!.. Pobudka!

Jaki taki z żołnierzy, zbyt mocno za jakąś część ciała szarpnięty, zżymał się i marszczył, ale posłyszawszy o fasunku, szybko oczy przecierał i spoglądał na menażkę, do plecaka przytwierdzoną. Nie przeszło i pięciu minut, gdy cała kompanja, pobrzękując naczyniami, wysypała się na dwór i lekkim truchcikiem biegła już za obywatelem Rochem, rozповідаjącym wciąż najbliższym, co to za pyszna ta austriacka kawa konserwowa i co to za świetny wynalazek kuchnia polowa, którą wczoraj wieczorem wyfasował w miejsce dotychczas używanych starych kotłów, przyczyniających kucharzom tak dużo kłopotu.

Przy kuchni dostrzegliśmy szóstaków, którzy byli tu już od dwóch dni, ustępując przed wrogiem od samego Dębłina. Wyróżnialiśmy się wśród nich swemi czyściutkiemi mundurami; oni zaś, ubrudzeni, w wyplamionych płaszczach, witali nas serdecznie, opowiadając urywanemi słowy o tem, co już przeszli. O bitwie pod Laskami, o Dziadku, jak otoczony zewsząd przez Moskali, przeżył się w nocy poprzez tabory nieprzyjacielskie, brany ze swemi legunami przez nich za swoje oddziały, i jak przebił się wkońcu do Krakowa przez zwarty pierścień wrogów... A myśmy słuchali ciekawie, zapomniawszy o kawie i chlebie, aż nas Roch napędzać musiał do zaprzestania rozmów i podstawiania kolejno menażek kucharzowi pod chochlę. Nabrawszy pełne blaszanki czar-

nego, pachnącego rumem napoju i otrzymawszy po kęsie chleba, jęła wiara zajaść, nie zaprzestając dalszych obustronnych wypytywań.

Po skończonem śniadaniu nastąpiła zbiórka kompanji celem reorganizacji. Przydzielono do nas kilkunastu szóstaków razem z kuchnią i wozami prowiantowemi, a do tymczasowy nasz tabor przeznaczono pod rannych i amunicję. Od nas odeszło do IV bataljonu trzydziestu ludzi i w nowym składzie stanowiliśmy 1-szą kompanję sławnego VI baonu I brygady, której kompanijnym pozostał Kordjan, a bataljonowym Satyr. Podzielono kompanje na plutony i plutony na sekcje i powyznaczano komendantów. Ja pozostałem w sztandarowej czwórce pierwszego plutonu ppor. Ceceniowskiego, w gronie starych kamratów, z którymi mnie nie rozłączono.

Czwarty bataljon, po sformowaniu się, odszedł na pozycje i zajął górę z ruinami, my pozostaliśmy w rezerwie i musieliśmy przygotować sobie kwatery. Nie mieliśmy innych narzędzi prócz saperek, któremi nam kazano wykopać ziemiankę dla pomieszczenia całej kompanji. Jak nas później doświadczenie nauczyło, było to ogromnym błędem, bo nieprzyjaciel, zaobserwowawszy nasze kwatery, kilkoma celnymi granatami mógłby nas wszystkich wygnieść odrazu w takiej ziemiance. Ale myśmy szli na wojenkę nieprzygotowani i niewyszkoleni, zdawało nam się, że w kupie będzie nam najlepiej.

Wykopaliliśmy zatem, pracując przez kilka godzin w poście czoła, podłużny czworobok, głęboki na jeden metr, i skleciwszy z poćcinanych młodych drzewek sosnowych wiązanie dachu, narzuciliśmy na wierzch gałęzi. Kwatera była gotowa, a ponieważ już noc zapadła, ułożyliśmy się na wilgotnym piasku pokotem, przylegając ściśle do siebie ciałami. Zmęczony wrażeniami dnia i całodziennem prawie kopaniem dołu na ziemiankę, oparłszy głowę na plecaku, usnąłem.

Przebodziałem się rano, mając w uszach, oczach i ustach pełno piasku, co się obsypał z krawędzi wykopanego dołu na mój plecak i głowę. Nie zwracając uwagi na wyśmiałania kolegów, których też sama co i mnie przyjemność spotkała, począłem pracowicie wygrzebywać i usuwać ziarenka piasku, pozostałe we włosach. Potem wygrabiłem się z dołu, aby się obmyć w strumyku, odległym o kilkaset kroków od naszego obozowiska.

Dzień był mglisty, a powietrze przesycone wilgocią. Idąc w stronę lasu, usłyszałem nagle za sobą woddali wystrzał armatni. Obejrzałem się szybko i nad horyzontem niedaleko wzgórza ujrzałem siwy obłoczek dymu. Zrozumiałem. Był to szrapnel nieprzyjacielski. A więc nas już ostrzeliwują!

Nie wiem dlaczego, ale ten spostrzeżony przeze mnie dowód bliskości wroga nappełnił duszę moją pewnem zadowoleniem. Więc się nareszcie rozpocznie ów taniec, do którego rwałem się i którego pożałowałem... Więc ujrzę wreszcie zbliśniętą w zaciętej walce tych, na których przed niedawnym czasem jeszcze mogłem patrzeć jak niewolnik na swoich władców. A gdyby się tak zmierzyć pierś z pierś. Tu mi się przypomniało, że ja przecież o szermierce nie mam pojęcia, zaś Moskale biją się na bagnety, jak mało który żołnierz. Ale pomyślałem sobie:

— Cokolwiekby się stało, nie dam się!

Tu mnie dogoniło kilku legunów z plutonu i nawiązana została żywa rozmowa o nieprzyjacielu.

Obmywszy się do pasa zimną jak lód wodą, wracaliśmy wolno do obozowiska. Przed nami nad wzgórzem ukazywały się coraz częściej białawe obłoczki dymu. Za wzgórzem tym były pozycje austriackie i te to właśnie Moskale od rana ostrzeliwali. Podeszedłszy ku naszej ziemiance, ujrzelśmy Kordjana, przed którym stał sekcyjny

Wyszyński i dwóch żołnierzy, wszyscy z nasadzonemi na karabinach bagnetami. Kompanijny dawał im właśnie ostatnie instrukcje.

— Jesteście patrolem obserwacyjnym. Zadanie wasze polega na pilnem obserwowaniu tego, co się dzieje za górą. Gdyby nastąpił atak ze strony nieprzyjaciela, jeden z was ma mnie niezwłocznie zawiadomić, jeżeli zaś Austriacy zaczną się cofać, macie się nie mieszać do walki, lecz natychmiast wracać do oddziału.

Tu wręczył Wyszyńskiemu lornetkę polową i dodał na zakończenie całkiem urzędowym tonem:

— Odmaszerować!

Patrol zrobił wtył zwrot i szybkim krokiem udał się w stronę ostrzeliwanego wzgórza, my zaś pozostaliśmy na miejscu, zazdroszcząc w duchu tym trzem, wspinającym się pod górę, za którą są „oni“.

Kompanijny śnać zrozumiał przyczynę naszego zamyślenia, gdyż podszedł ku nam, mówiąc żartobliwie:

— No i cóż tak wybałuszacie oczy na tych parę dymków? Co to jest? To jeszcze nie bitwa. Nie bójcie się, pójdziemy wszyscy niezadługo w taniec przy akompaniamencie lepszej trochę muzyki... Ale póki co, brać mezażki i jazda po śniadanie!

Ruszyliśmy tedy do kuchni po kawę, nie przestając jednakże wsłuchiwać się w odgłosy wystrzałów i zerkać od czasu do czasu na białawe dymki, rozplywające się wolno w ciężkiem od wilgoci powietrzu. Po śniadaniu część kompanji wzięła się do wykończenia ziemianki, narzucając na wierzch dachu i boki więcej gałęzi, ja zaś z kilkoma innymi zostałem wyznaczony do przyniesienia ze wsi fasunku na kompanję. Był to pierwszy austriacki „fasung“. Przynieśliśmy zatem konserw, cukru, słoniny, i papierosów. Wiara ucieszyła się najwięcej z papierosów, których brak odczuwaliśmy oddawna. Kiedy wszyscy zakurzyli „cienkie“, odrazu fantazji przybyło.

Obiad był wyśmienity: zacierki na rosole i mamałyga z słoniną. Po obiedzie przyniesiono skrzynie z amunicją i uzupełniono naboje do stu sztuk na żołnierza. Właśnie dzielono się ładunkami, gdy usłyszeliśmy świst, a potem huk. To Moskale zaczęli ostrzeliwać wieś Krzywopłoty granatami.

Gdy tylko pierwsze granaty wybuchły, tabory austriackie, stojące we wsi, zaczęły zjeżdżać na łeb na szyję, uciekając w naszą stronę. Wkrótce we wsi pozostała tylko ludność cywilna, z płaczem i krzykiem ładująca swój dobytek na wozy i uwożąca go w stronę Kwaśniowa. Moskale puścili jeszcze parę granatów i dalszej strzelaniny narazie zaniechali.

Nasz pluton został wyznaczony jako pogotowie. Naładowaliśmy karabiny, ustawiliśmy je w kozły w pewnem oddaleniu od ziemianki; wystawiwszy jedną wartę, położyliśmy się obok kozłów na ziemi.

Zaczęło się zmierzchać. Moskale znowu zaczęli ostrzeliwać Krzywopłoty... Jeden granat trafił w stodołę, która momentalnie stanęła w ogniu. Zaraz też zaczęły się zajmować i sąsiednie chałupy i wkrótce obozowisko nasze zostało oświetlone krwawą łuną pożaru. Patrzyliśmy w milczeniu, zdobywając się na ciche ledwie uwagi, na palącą się wieś, w którą od czasu do czasu waliły moskiewskie granaty...

Groza straszliwej wojny zajrzała nam zbliska po raz pierwszy w oczy, rozpalając nam duszę żądzą odwetu za tę wieś, niszczoną ogniem i żelazem. Marzyliśmy o krwawym pochodzie na Moskwę i chwilami płonące domy Krzywopłotów wyrastały w naszej wyobraźni do olbrzymich rozmiarów carskiego Kremlu. Gdyby nam dane było pójść do Rosji... I w sercach naszych wezbrała w tej chwili nienawiść do wroga, nienawiść straszna, nieubłagana....

Tymczasem przestano strzelać.... Ogień to rozpalał się jaśniej, to przygasał chwilami, wyrzucając ku górze gęste kłęby czarnego dymu i całe snopy czerwonych iskier. Naraz usłyszałem nad uchem bzyknięcie jakby pszczoły. Pac! tuż obok mnie zaryła się w ziemi kula karabinowa. Za chwilę dał się znów słyszeć wgórze słabiuchny ni to pisk, ni to jęk przelatującej jakiejś zabłąkanej kuli. Rozpoczęliśmy dyskusję na temat dalekonośności karabinów różnych systemów, gdy powrócił Wyszyński z patrolu obserwacyjnego.

Poskoczyliśmy żywo ku niemu.

— No, jak tam na górze, Mochów nie widać? A i tu kule już padają!

Wyszyński, który był już w bitwie pod Laskami, machnął pogardliwie ręką:

— Takie tam i kule.... Zabłąkane! Trzeba było być pod Iwangrodem (Dęblinem), tam ci dopiero frajda była!... Na górze nic!... Mochów nawet przez lornetkę nie ujrzysz, Austriacy siedzą w okopach. Czasem jakiś szrapnelik trzaśnie, ale to jeszcze daleko za górą... Ot i wszystko. Dajcie nam lepiej nasz fasunek, bośmy głodni jak psy.

Żołnierze wydobyli z plecaków pozostawione dla kolegów porcje chleba i resztę jedzenia, a patrol, zamiast jeść, wziął się najpierw za „cienkie“, wciągając z zadowoleniem tytoniowy dym w spragnione płuca.

Nadbiegł żołnierz inspekcyjny, przynosząc rozkaz, że pogotowie może iść spać, zostawiając jednego tylko wartownika. Zebraliśmy co prędzej manatki i ruszyliśmy do ziemianki niezadowoleni, gdyż skoro pogotowie niepotrzebne, to i ataku nie będzie, a takby się chciało zakończyć wreszcie prawdziwej bitwy!

W ziemiance było gwarno i ciemno od dymu, nie spostrzegaliśmy więc narazie, że blisko połowa dachu obsuwała się na sypkim piachu, zasypawszy dół w tym właśnie miejscu, gdzie były nasze legowiska. Musieliśmy się

położyć w przejściu, pomiędzy dwoma rzędami leżących żołnierzy, których wyciągnięte nogi ugniatały nas ze wszystkich stron. Na szczęście nie wszyscy jeszcze spali; wielu rozmawiało głośno, siedząc w kucki i paląc papierosy, w kącie kilka głosów śpiewało „Ksiądz mi zakazował“. Rozlokowałem się co prędzej, by zasnąć, zanim nogi rozspanego sąsiada nie spoczną na moim kadłubie lub, co gorsza, głowie. Lecz tylko złożyłem głowę na plecak, gdy wpadł do ziemianki żołnierz służbowy, wołając:

— Hej tam, pierwszy pluton! Zmienić wartę, bo posterunek ranny!

Ranny, pierwszy ranny!...

Wiara jęła się gramolić z pomiędzy plecaków i koców i ja też powstać musiałem, aby dać przejście innym. Zanim się jednak wydostałem z ziemianki, już wprowadzono do niej rannego z obnażonym prawym ramieniem, z którego spływała krew. Był to piętnastoletni Heniek, który, uciekwszy z domu, przystał do nas w Dąbrowie Górniczej i dotąd znosił po męsku wszystkie niewygody życia żołnierskiego.

Stał teraz blady, wystraszony i patrzył z pewnem zdziwieniem na strugę krwi, spływającą mu z obnażonego ramienia. Zaraz się znalazł sanitariusz i przy świetle latarki elektrycznej obejrzał ranę uważnie:

— Nie bój się, Heńku, głupstwo, draśnięcie tylko. Za dwa tygodnie będziesz machał grabą jeszcze lepiej, niż przedtem.

Wyjął z torby bandaż, ranę nim przewiązał i Heńka ze sobą zabrał.

Poruszona kompanja jęła się na nowo układać. Mnie się dostało teraz miejsce cokolwiek wygodniejsze, położywszy się więc, zamierzałem zasnąć, gdy znów ktoś wpadł do ziemianki:

— Alarm!!!!

Wiadoma rzecz, czym jest dla żołnierza alarm... Wszyscy zerwali się w okamgnieniu i, powrzucawszy koce do plecaków, pozapinali je drżącymi z niecierpliwości palcami, zarzucili na ramiona i jęli się pchać ku wyjściu.

Wyszedłem z ostatnimi i, wzięwszy z kozła karabin, stanąłem w ordynku. Kordjan już stał przed frontem, zapinając z pośpiechem rzemień rewolweru.

— Obywatele, nieprzyjaciel atakuje!.. Zajął już Załęże, wieś położoną między pozycjami. Musimy go stamtąd wyrzucić. Kierunek na mnie, w tyraljery!

Nasz pluton odbijał na nowo. Ścisnąwszy karabin w garści, biegłem, oglądając się co chwila na lewego sąsiada, czy wziął już odstęp. Rozwinąwszy się w długi łańcuch tyraljerski, kompanja stanęła.

— Biegiem marsz!..

Wzięwszy karabin pod pachę, pobiegłem razem z innymi za Kordjanem i nawet się nie obejrzałem, gdyśmy dotarli do wsi Krzywopłoty i wpadli na łąkę, gdzie słychać było psykanie, bzykanie, brzęczenie i pisk przelatujących kul, burczenie rykoszetów.. Wszystkie kule górowały. Na łące przypadliśmy na chwilę do ziemi, zerwaliśmy się znowu i przebieglśmy lasek, znaleźliśmy się pod wsią Załęże, w której paliło się kilka chałup, rzucając drgające czerwone światło daleko w pole. Przebiegliśmy jeszcze kilkaset kroków, gdy nam drogę zagroził rów ciągnący się wzdłuż naszej tyraljery.

Tu nas kompanijny zatrzymał, kazał ukryć się w rowie, pozdejnować plecaki, a pozostawić tylko chlebaki z nabojami. Gdy wzdłuż linii idący meldunek, że już wszyscy spełnili rozkaz, doszedł do komendanta, będącego na skrzydle kompanji, wyleźliśmy z rowu i poczęliśmy biec przez rozświetlony luną pożaru teren ku wsi.

W tej chwili wzmógł się ogień nieprzyjacielski i skądś z prawej strony zaterkotały moskiewskie karabiny maszynowe.

Dobiegliśmy już prawie do wsi, gdy padła komenda „padnij“ i ujrzałem Kordjana, który przypadł do leżącego tuż przede mną Ceceniowskiego.

— Wysłać natychmiast do wsi patrol z czterech ludzi. Trzeba zbadać, czy nieprzyjaciel jest we wsi, jaki ma front i nawiązać łączność z Austriakami. Z patrolem niech idzie Charkowski.

Ceceniowski się odwrócił:

— Charkowski, do mnie!

Gdy wywołany podpełznął ku niemu, Ceceniowski jął mu dawać jakieś instrukcje, z których usłyszałem tylko ostatnie wyrazy:

— Tylko weźcie ze sobą chłopów morowych!

Charkowski kiwnął głową i po chwili usłyszałem jego przyciszony głos:

— Wuj, (Antoni Kretz-Wołowski. W 1920 roku, będąc w oddziale wywiadowczym W. P., dostał się w ręce czczewiczki bolszewickiej i przez nią został storturowany i zamordowany) Kuzyn (Mieczysław Hanczke, łódzianin, obecnie osadnik) i Popiel — na patrol!...

Podpełzłem ku Charkowskiemu, który zakomenderował:

— Biegiem, marsz!

Zerwaliśmy się wszyscy czterej jednocześnie i pobiegliśmy tęgim kłusem przez odkryte pole, oświetlone czerwienią pożaru. Nagle usłyszeliśmy za sobą głos Kordjana:

— A przychyl się tam, jeden z drugim, bo cię pacnie!

Przychyliliśmy się ku ziemi i biegliśmy dalej, nie zwracając uwagi na uporczywe bzykanie kul, przelatujących nam koło uszu. Przebiegłszy oświetloną przestrzeń, skryliśmy się przed okiem wroga w ciemnościach nocy i zwol-

niliśmy kroku, aby odetchnąć. Po chwili zsunęliśmy się w dość głęboki wąwóz, gdzie nam Charkowski kazał się zatrzymać, sam zaś położył się na krawędzi wąwozu, wychylił głowę i obserwował przez chwilę palącą się wieś. Potem zamruczał niby do siebie, niby do nas:

— Djabli wiedzą, gdzie to tałatajstwo siedzi: karabiny maszynowe strzelają z tamtej strony wsi, kule karabinowe idą wprost na nas... We wsi jakby ich nie było. Ale trzeba być ostrożnym...

A zwróciwszy się do mnie, takie mi wydał polecenie:

— Widzicie, obywatelu, tę górkę z lewej strony?... Za tą górką powinni być Austriacy i my mamy do nich dołączyć. Zanim się tam dostaniecie, mogą was ukatrupić, bo, patrzcie: cały teren aż do samej góry jest widny od ognia palącej się stodoły. Dalibóg, trzeba mieć dobre nogi, żeby się tam dostać! Ale trudno, dostać się trzeba... Czekamy na was w tem miejscu przez piętnaście minut; do tego czasu macie wrócić i zameldować, czy Pepiki są, czy ich nie ma. No, jazda!

Wypuściłem się jak strzała i jednym tchem prawie dobiegłem do szczytu wzgórza, a znalazłszy się po jego przeciwnej stronie, począłem wypatrywać Austriaków. Poszedłem sto kroków na lewo wskos, sto kroków na prawo wskos. Pepików nie ma. Czas upływa, trzeba było wracać. Przebiegłem szczęśliwie zpowrotem oświetlony teren, na którym wcale do mnie specjalnie nie strzelano, i dopadłem wąwozu, na dnie którego z trudnością rozpoznałem trzy ciała, wtulone w murawę.

— Nie znalazłem!

Charkowski zaklął szpetnie po rusku i chwilę się namyślał:

— Trudno, trza iść do wsi. Pójdziemy tym wąwozem... Tylko we wsi, pamiętajcie, chyłkiem pod płotami. Marsz!

Ścisnąwszy silnie karabiny w garściach, posuwaliśmy się wolno za sekcyjnym ku wsi, rozglądając się uważnie

na wszystkie strony. Koło palącej się stodoły, padliśmy na ziemię, prażeni ogniem pożaru, pełzliśmy pomału, dopóki nie wydostaliśmy się na drogę, gdzie chyłkiem pod płotami skradaliśmy się dalej. Ta część wsi odosobniona nie zajęła się jeszcze i na drodze było ciemno zupełnie. Zawahaliśmy się chwilę, nie wiedząc, czy mamy posuwać się dalej jeszcze, czy też poczekać. Nagle z prawej strony ujrzeliśmy dwie strugi ognia wśród ciemności i w tej samej chwili zaterkotały maszynki. Padliśmy na ziemię. W przerwie pomiędzy ogniem nieprzyjacielskim, który się zdawał być tuż, tuż, obejrzałem się poza siebie i na oświetlonym terenie ujrzałem przebiegających naszych tyraljerów, do których strzelały moskiewskie maszynki, stojące w polu z prawej strony wsi. Widocznie Kordjan, nie czekając na nasz powrót, postanowił zaatakować wieś.

Pomyślałem sobie:

— Ładnie będziemy wyglądali, gdy się dostaniemy we dwa ognie. Przyjdzie zginąć albo od swoich, albo od kul nieprzyjacielskich, skoro Moskale atak przyjmą.

Ale nasi nie strzelali. Zwróciłem uwagę Charkowskiemu, że tyraljera nasza dobiega już do pierwszych chałup i, że najlepiej będzie, gdy się z tego niedogodnego miejsca wycofamy.

— To nic — odrzekł — poczekamy jeszcze chwilę.

Moskale zaprzestali strzelać z karabinów maszynowych, odzywały się tylko pojedyncze wystrzały ręcznej broni z przeciwległego końca wsi.

Za chwilę odezwały się znowu maszynki, ale już cokolwiek dalej i nie widzieliśmy już owych smug ognistych. Charkowski zerwał się nagle:

— Acha, cofają się, pieskie syny, mają dość... Naprzód wiara!

Uniesieni zapalem, pobiegliśmy i minawszy znowu kilka chałup, stanęliśmy, wstrzymani niecierpliwym gestem Kuzyna, który zwrócił się do komendanta patrolu:

— Cóż do diabła, gdzie my lecimy?... Moskale się cofają, to pięknie... my na pewno za nimi do okopów dziś nie pójdziemy. Zresztą mamy rozkaz wracać.

A Wuj, który zawsze o zaprowjantowaniu kompanji myślał, i dlatego często na kwatermistrza bywał wyznaczany, zaproponował przeszukanie chałup w nadziei znalezienia czegoś przydatnego do napchania żołądka. Ale Charkowski słuchać nie chciał i powiódł nas zpowrotem. Szliśmy już śmieiej, nie chowając się, choć kule gwizdać nie przestawały. Wtem usłyszeliśmy ryk, wydobywający się z chałupy tuż obok palącej się stodoły. Tu Wuj, który starał się odgrywać w plutonie rolę Zagłoby, posiadając wiele wad tego bohatera, a zamiast jego wymowy, trochę swady starego bywalca, palnął na poczekaniu mówkę o potrzebie ratowania biednych bydłek, które i tak się spalą albo Moskalom w ręce dostaną. Przekonani ostatecznie jego argumentem o wysokości zasługi wobec oddziału, gdy wołowiny tyle do kuchni dostarczymy, weszliśmy do wnętrza chaty. W przegrodzonej sieni stały dwie jałówki i porykiwały żałośnie. Wzięliśmy je już na dwór, gdy Wuj, który przez ten czas myszkował w izbie mieszkalnej, wcisnął mi pod pachę trzepocącego się gąsiora, sam zaś współ z Kuzynem, wziął się do poganiania jałówek.

Z jałówkami tedy i gąsiorem stanęliśmy przed Kordjanem, który, nawiązawszy łączność ze spóźnionymi Austriakami, podsunął się z kompanją do wsi. Charkowski zaraportował w swoim lwowskiem batjarskiem narzeczu.

— Obywatelu komendancji, melduji posłusznie, co Moskali we wsi całkiem już niema, zato wzięliśmy taj zafasowali dwie jałówki dla kompanji i gąsiora dla porucznika. A Pepików my nie znaleźli, obywatelu komendanciel!

Kordjan przyjął z uśmiechem meldunek:

— Austriacy już są, dlatego i my tu jesteśmy, ale zaraz wracamy, bo tu już niema co robić, atak odparty. Idźcie teraz naprzód, odszukajcie swoje plecaki i odprowadźcie zdobycz do taboru.

Ruszyliśmy w powrotną drogę ze „zdobyczą“. Po długich poszukiwaniach odnaleźliśmy porzucone w rowie plecaki, zaś za laskiem pogubiliśmy się w ciemności wśród Austriaków, dążących na pozycje zmienić jakiś oddział. Namęczywszy się z szarpiącym się i szczypiącym mnie gąsiorem, z trudnością trafiłem do taboru, a oddawszy zdobycz Rochowi, dostałem od niego wzamian chleb i konserwę i spożywszy przy jednym z ognisk wieczrę, wróciłem do ziemianki, gdzie cała kompanja była już w komplecie. Kłócono się właśnie o plecaki. W czasie powrotu z nocnej wyprawy nie wszyscy pobrali z rowu swoje rzeczy, w ziemiance dopiero poznawano je i wzajemnie sobie odbierano. Koło Wuja zebrała się gromadka ciekawych, a on im rozповідаł szeroko o Moskalach, których widział na patrolu, i o tem, jak im z przed nosa uprowadził dwie jałówki. Śmiałem się pocichu w kułak z krasomówstwa naszego pocziwego Wuja i z łatwości słuchających go, a znalazłszy z trudnością kawaleczek wolnego miejsca, zasnąłem twardo, po żołniersku, bez snów i widziadeł.

— Alarm!!! Alarm!!

Otwarłem oczy i ujrzałem Kordjana, stojącego pośrodku ziemianki i wymawiającego to słowo głosem silnym, przejmującym i tak dziwnie ponurym, że ogarnęło mnie coś, jakby uczucie strachu. Ale nieprzyjemne wrażenie minęło, skoro tylko otrząsnąłem się całkowicie ze snu.

Kompanja zrywała się pośpiesznie na nogi, i w szalonym tłoku zapinano plecaki z listie piorunującą szybkością.

Nie minęło pięciu minut, gdy wszyscy stali już przed ziemianką w ordynku i na daną komendę rozchwyтали karabiny z kozłów, ustawionych przed kwaterą. Każdy wyszedłszy z dusznej ziemianki na mroźne powietrze, szczekał zębami, więc też Kordjan, by nas rozgrzać, za komenderował:

— Biegiem marsz!

Ruszyliśmy w tym kierunku, co wieczorem i, przebiegłszy łąkę, przeszliśmy do zwykłego kroku, zmęczeni, ale rozgrzani biegiem. Zostaliśmy zatrzymani w lasku, przy zagrodzie leśnej.

Były tam już okopy, a właściwie doły słomą przykryte, wykopane przez Austriaków; kazano nam w nie wejść. Spojrzałem na swój karabin i zauważyłem, że cały jest biały od osiadłego na nim szronu. Chwyciłem za gałkę, chcąc odciągnąć zamek, by go z szronu oczyścić, — ani rusz! Zamek zardzewiał w ciągu nocy tak, że się oparł wszelkim wysiłkom. Kapral Charkowski, widząc moją manipulację z karabinem, poradził mi, bym zamek nogą odsunął. Idąc za jego radą, postawiłem karabin na ziemi i, uderzywszy silnie obcasem w gałkę, zamek wprowadziłem odsunąłem, ale gałka pozostała na ziemi. Zgłupiałem. Co tu teraz zrobić z takim karabinem? Melduję por. Cецiowskiemu, a on mi na to:

— Co, zepsuł się karabin? No to idźcie do taboru, bo tu potrzebni będą strzelcy, nie sportowcy. Cóż będziecie robić bez broni?

Uczułem żal do swego dowódcy, że tak obojętnie traktuje ubytek żołnierza przed nastąpić mającą bitwą, ale po chwili rozważa musiałem mu w duchu przyznać słuszość. Ze smutkiem wróciłem i powlokłem się do taboru. Tam oddałem zepsuty karabin, a drugiego nie otrzymałem

z tej racji, że taboryci wcale prawie broni nie mieli. Po-
nieważ byłem bez śniadania, umizgnąłem się do Rocha,
który dał mi sucharów i pełną menażkę słodkiej kawy.
Usiadłem z tem przy jednym z wozów, na którym, o cu-
dzie, zobaczyłem karabin Manlichera M. 95, lekki, no-
wiuteńki. Pośpieszyłem się z jedzeniem, skorzystałem
z chwili, gdy nikt w moją stronę nie patrzył, i chwyciwszy
karabin, puściłem się z nim biegiem w stronę lasu.

Na łące już mi kilka kul bzyknęło koło ucha, ale nie
zważałem na to, śpiesząc się, by znaleźć kompanję jeszcze
w tem miejscu, gdzie ją był zostawił. Ponieważ zaczął pa-
dać gęsty śnieg, zboczyłem trochę i trafiłem na trzecią kom-
panję porucznika Lisa-Kuli. Tu się dopiero zorjentowa-
łem, że w lasu jest nietylko nasza kompanja, ale cały
bataljon. Rosło mi tedy serce na myśl, że teraz pewnie
rozegra się coś ważnego, jakaś wielka bitwa, której pragną-
łem, a o której z nocnego naszego kontrataku nie po-
wziąłem żadnego zgoła wyobrażenia.

Odnalazłem Ceceniowskiego, który, gdym mu się za-
meldował, popatrzył na mnie z pewnem zdziwieniem:

— Co, wróciliście?! z karabinem! Skądęście go wy-
strasnęli?

— Buchnąłem w taborze, obywatelu komendancie!

— To doskonale. Jesteście morowy chłop, obywatelu
Popiel... Ale nie stójcie tak nad okopem, bo tu osy ką-
sają.

Rzeczywiście, kule gwizdały już na dobre i kompanje
poukrywały się, jak i gdzie mogły. Zauważyłem kilku żoł-
nierzy, przebiegających z bagnetami w rękę, na ostrzach
których zobaczyłem coś żółtawego. Były to plastry mio-
du, który, znudzeni oczekiwaniem, strzelcy wybrali z uli,
znajdujących się przy leśnej zagrodzie, zmusiwszy przed-
tem pszczoły do opuszczenia swych zimowych kwater.
W gradzie kul majstrowali przy ulach, narażając się na
śmierć, byleby nasycić swe łakomstwo. Gdy miód został



Buchnąłem w taborze, obywatelu komendancie!

już doczysta wybrany i spożyty bądź z chlebem, bądź bez niego, nastąpiło pewne zdenerwowanie w szeregach.

— Czemu my, do diabła, nie atakujemy? Będziemy tu siedzieć, jak myszy w dziurze, a Mochy sobie będą do nas pukać!

I nagle w kilku punktach jednocześnie zanucono zwrotek pieśni:

„Miły poruczniku, prowadźże nas dalej...

Bo my jeszcze dzisiaj chcemy

Szturmować Moskali.

Szturmować Moskali...”

Ale naraz śpiew ustał, bo oto nadszedł Satyr z kapelanem naszym, ks. Żytkiewiczem. Rozkazano nam wyjść z dołów i uklęknąć na ziemi. I wśród świstu kul odezwał się cichy głos księdza, wypowiadającego uroczyste formułkę odpuszczenia grzechów. W szeregach zapanał nastrój dziwnie uroczysty; wszyscy wlepili oczy w księdza, który stał z odkrytą głową i mówił nam o miłości i poświęceniu się dla Ojczyzny. Na jego chudą, ascetyczną twarz padały płatki śniegu, aż wkońcu usłały mu głowę maleńkimi kropelkami topniejących gwiazdek śnieżnych tak, że wyglądał, jakby miał na włosach pełno nanizanych perelek. Chwilami wpadał w zapal kazańniczy i wówczas twarz mu się ożywiała, a oczy nabierały blasku, a cichy, spokojny zazwyczaj głos jego przechodził w silny namiętny szept. Gdy wreszcie ukląkł i ręce wznosił do modlitwy, uczułem w sercu dziwną i błogą rzewność i, choć nie jestem z natury pobożny, zgromiłem wzrokiem Wuja, który się wyrwał z jakąś sarkastyczną uwagą.

Gdy kapelan odszedł, Satyr zawezwał do siebie Kordjana i wydał mu jakieś rozkazy. Wysłuchawszy bataljonowego, Kordjan przyłożył rękę do czapki i przyskoczył do kompanji:

— Wychodzić z okopów! Żywo!

Gdyśmy się wygramolili z dołów i stanęli w oczekiwaniu dalszych rozkazów, kompanijny przywołał do siebie Ceceniowskiego:

— Pierwszy pluton rozwinie się i pójdzie pierwszy do ataku! Inne plutony dołączą się później. Marsz!...

Nie mogliśmy utrzymać karabinów, tak nam ręce drżały z niecierpliwości.

Gdy wreszcie padła komenda, rozwinęliśmy się w mgnieniu oka w długi łańcuch tyraljerski i rzucili się naprzód w szalonym pędzie. Czulem, jak mi pierś wzbiera niepohamowaną żądzą walki, a w głowie szumi coś i huczy. Padliśmy na polu za lasem pod górką. Śnieg, jak na złość, przestawał padać i tylko zrzadka spływały powoli ku ziemi duże białe płaty. Byliśmy w szalonym ogniu karabinowym, prażeni zprzodu i lewego flanku. Nikt się nie okopywał, pomimo tego, że każdy z nas trzymał w lewym ręku łopatkę; leżeliśmy, przyciskając twarze do ziemi, podczas gdy naokoło głów naszych ekrazytówki uderzały w stwardniałe grudy zoranego pola i pękały z trzaskiem.

— Powstań! Biegiem marsz!...

Zerwaliśmy się i ubiegłszy ze sto kroków wśród coraz więcej wzmagającego się ognia karabinowego, padliśmy tuż przy pierwszej chałupie wsi Załęże. Mnie wypadło położyć się pod płotem, ułożonym z dużych polnych kamieni, jakimi wieśniacy nasi w tych okolicach otaczają swoje sadyby. Odwróciłem się nawznak i, podczas gdy nad głową moją bezustanku trzaskały ekrazytówki, przyglądałem się, jak z lasu wysuwały się jedna po drugiej linje tyraljerskie.

Właśnie biegł czwarty pluton naszej kompanji, by przedłużyć nasze lewe skrzydło. Na czele ob. Lienemann w pelerynie, którą wiatr rozwiewał, wyglądał jakby bóg zemsty, co rozwinął skrzydła i leci karać i zabi-

jać. Biegł szparko, nie kłaniając się kulom, jak to mimowoli każdy z nas czynił, czasem się tylko odwracał, by kierunek podać. Padli.

W tej chwili wysunął się z lasu porucznik Lis, wyróżniający się wzrostem od innych, z częścią swojej kompanji i z rewolwerem w ręku biegł na lewo wskos. Sadził dużemi krokami poprzez zagony, wyprzedziwszy znacznie kompanję, która nie mogła za nim nadążyć... I ci zniknęli, jakby się w ziemię zapadli.

Natomiast na prawo spostrzegłem ppor. Medyńskiego, który ze swymi ludźmi zboczył cokolwiek za dużo i przypadł do ziemi o kilkadziesiąt kroków od naszego prawego skrzydła. Spostrzegł to Ceceniowski:

— Hej tam, pierwsza sekcja, przesunąć się w prawo i dołączyć!

Pierwszy zerwał się, znajdujący się przy naszej sekcji podoficer za frontem 1-go plutonu, Wyszyński. Ubiegłszy kilkanaście kroków, nagle rozłożył ręce, wypuszczając z nich karabin i upadł nawznak. Pobiegliśmy ku niemu z Charkowskim... Gdyśmy przy nim padli, wzrok jego był jeszcze przytomny; za chwilę jął kopać śnieg nogami i już nie żył.

Zostawiliśmy trupa i przesuwając się dalej, przebiegaliśmy po dwóch, gdy nagle odezwały się maszynki. Jednocześnie posłyszeliśmy w górze szum i łopot. To moskiewska artylerja zaczęła nam posyłać prezenty. Ale granaty leciały dalej, na stanowiska naszej artylerji, która pod dowództwem kpt. Brzozy, strzelając z odkrytych pozycyj, popierała nasz atak swemi dymnemi armatkami. Na nas sypał się grad kul karabinowych i od czasu do czasu pękał w górze szrapnel.

Biegłem pierwszy. Gdy karabiny maszynowe zaczynały strzelać, padałem na ziemię. W przerwach zrywałem się, przebiegałem kilkanaście kroków i znów padałem. Tak dotarłem nareszcie do leżącej tyraljery. Kule padały co

raz gęściej... Oparłem czoło o grudkę ziemi i nie czułem formalnie nic; najmniejszego strachu, ani nawet zdenerwowania.

Gdy tak leżałem, dobiegł mnie rozkaz, powtarzany od lewego:

— Zapytać się tych na prawo, czemu się nie podrywają.

Ponieważ ja byłem ostatni na prawem skrzydle kompanji, mnie wtedy wypadało rozkaz ten spełnić. Uniosłem trochę głowę i w tej samej chwili ekrazytówka palnęła w grudkę ziemi, na której miałem przed chwilą głowę opartą, zasypując mi oczy piaskiem. Przychyliłem zpowrotem głowę do ziemi i, przetarłszy oczy, jałem pełznąć ku pierwszemu leżącemu na prawo ode mnie tyraljerowi. Uderzyło mnie to, że leży on na boku, zupełnie nieruchomo. Dotknąłem ręką jego ramienia i poczułem, że jest bezwładne. Podpełznąłem bliżej i spojrzałem mu w twarz. Był to ppor. Medyński, miły wesóły chłopak. Zabity. Pełzną do następnego, i ten także... Uniosłem się na rękach i powiodłem wzrokiem po leżących; naliczyłem sześć ciał, leżących nieruchomo. Jeden tylko z tych sześciu rzązał chrapliwie w ostatniej agonji, grzebiąc śnieg rozczapierzonymi palcami. Uczyniło mi się strasznie i przypadłem do ziemi, bojąc się podnieść, tem bardziej, że karabiny maszynowe zaczęły wściekle trajkotać. Po chwili namysłu zdecydowałem się podnieść głowę i ujrzałem tyraljerę 1-szej kompanji już o dobre sto kroków przed sobą. Do niej to były moskiewskie maszynki.

Zerwałem się i podbiegłem. Upadłem tuż obok ob. Prochaski, który był czwarty ode mnie w tyraljerze.

— Gdzie Wuj i Kuzyn? — pytam.

— Poszli z Charkowskim na patrol dla nawiązania łączności na prawo — odrzekł mi, nie podnosząc głowy.

Leżąc, odzyskałem pomału zpowrotem zimną krew i począłem pilnie rozpatrywać teren przed sobą.

Moskiewskie okopy ciągnęły się przed nami w odległości może jakichś 600 kroków żółtą powyginaną linią. Napróżno upatrywałem jakiegoś widocznego celu...

Nic, tylko wąski pasek żółtej gliny, której nie zdołał przysypać polatujący już od dłuższego czasu śnieg...

Nagle tyraljera na lewo poczęła się podrywać, biegnąc w stronę wsi. Znowu odezwały się maszynki... Pod ich ogniem linja cała nie przestawała przesuwać się w lewo. Posuwałem się teraz ostatni, padając co chwila, gdy padano przede mną, i wstając, gdy powstawali inni...

Tak dotarliśmy do wsi i dostali między opłotki. Zmieniliśmy raptownie kierunek, posuwając się wzdłuż wsi; poza budynkami wolniej, przebiegając tylko przestrzeń pomiędzy domami, gdzie stanowiliśmy cel, łatwo dostrzegalny dla nieprzyjaciela. Przy jednej takiej przerwie zawałem się na chwilę, bo oto na jakieś dwadzieścia kroków przede mną zarył się w ziemię granat nieprzyjacielski i wybuchł, wyrzucając do góry słup piasku, grudy i kamieni.

Gdy ochłonąłem z wrażenia, linja była już przede mną, a naprzeciwko mnie za węglem stodoły klęczał Kordjan z karabinem w ręku i strzelał raz za razem w rosyjskie okopy. Poderwałem się i wśród gradu kul karabinowych dobiegłem do drugiego węgla stodoły. Otworzyłem bezpiecznik karabina i jałem wypatrywać, w widocznym dla mnie odcinku moskiewskich okopów, jakieś sylwetki lub ciemniejszego punktu. Czuję szalone podniecenie i niezmierną chęć dostania się tam, na tę żółtą linię...

Nagle poczułem szarpnięcie za rękę i obejrzałem się. Za mną stał Kordjan:

— Jeżeli chcecie trafić, to nigdy nie mierzcie tak długo, bo kula wtedy zawsze pójdzie Panu Bogu w okno. Jak tylko muszka na równej wysokości z krawędzią szczerbinki, już palić.

Tu ukląkł i zbliżył kolbę karabina do ramienia, lecz wnet ją opuścił, spojrzawszy w lewo.

— Co to było tam robi najlepszego? Najwyraźniej wyrrywają!

Spojrzałem w kierunku jego wzroku i ujrzałem, jak z góry na lewo od nas uciekają na łeb na szyję Austriacy. Widziałem doskonale ich sylwetki, łączące się w bezładne kupy, to znów rozpraszające się po polu.

Kordjan zaklął siarczyście:

— A bodaj was nagła krew załała! Zwycięstwo nam z ręki wydzierają!... Uciekają tchórze, psubraty!

Tu grzmotnął kolbą trzymanego karabina o kamień z taką siłą, że łożysko odleciało w jedną stronę, a lufa z obsadą w drugą i, wychwyciwszy rewolwer z pochwy, łypnął straszliwie białkami oczu.

— We łby strzelać takim draniom, tchórzom nikczemnym!

Ale spojrzawszy na nas, skulonych pod ścianą stodoły, umitygował się nagle i usiadł na ziemi z rewolwerem w dłoni.

— Ha, czekajmy rozkazów... Już nas porządnie flankują.

Rzeczywiście ogień z lewej strony wzmógł się tak dalece, że nie było słyhać pojedynczego trzasku pękających ekrazytówek, tylko jakieś suche, bezustanne skwierczenie. Nasza linja tyraljerska tak się zlała z terenem i tak doń przyłgnęła, że na dwadzieścia kroków nie można było strzelca od ziemi odróżnić. Wszyscy leżeli nieruchomo, przywarłszy piersiami i twarzami do matki-ziemi, uszy mając tylko gotowe do pochwycenia komendy.

Ale komendy nie było...

Więc jaki-taki jał się co chwila, nie bacząc na kule, unosić na łokciach i wokoło rozglądać. Spojrzałem i ja poza siebie i ujrzałem przebiegającego między domami

żołnierza, dążącego w naszą stronę. Był bez karabina i bez plecaka. Co chwila padał, zrywał się i znów biegł...

— Pewnie ordynans z rozkazem — pomyślałem sobie. Dobiegnie czy też nie dobiegnie?

I, aby się nie denerwować, przymknąłem oczy. Ale w głowie kręciło mi się jedno pytanie:

— Biegnie jeszcze, czy też?...

Uczyniłem wysiłek i spojrzałem... Na polu pomiędzy naszą stodołą i poprzedzającą ją chałupą leżał strzelec naważnik i kopał nogami ziemię w przedśmiertnej agonji.

Coś mnie ścisnęło za gardło i jęło dławić silnie, coraz silniej... Do Kordjana podsunął się nagle jakiś żołnierz, który się zamieształ między nas, zdaje się, z drugiej kompanji, i zaraportował namiętym szeptem:

— Obywatelu komendancie, tam jest, zdaje się meldunek. Pozwólcie mi go odebrać! Ja pójdę!..

Kordjan popatrzył na niego z poza szkieł, ale nie zdążył dać odpowiedzi, bo pomiędzy domami ukazał się znów biegnący w naszą stronę żołnierz bez karabina. Ten biegł wolniej, niż jego poprzednik, częściej padał na ziemię i nie podrywał się do dalszego biegu naprzód, a wprost powstawał. Każdy jego krok przewiercał mi mózg nawskroś, za każdym razem gdy padał, sądziłem, że się już więcej nie podźwignie. On jednak powstawał i zbliżał się coraz bardziej. Nareszcie dostrzegł Kordjana, chciał się zwrócić ku niemu, lecz nagle upadł o jakieś dziesięć kroków, brocząc obficie krwią z prawego ramienia. Sięgnął lewą ręką do kieszeni munduru na piersiach i w tej samej chwili Kordjan jednym skokiem znalazł się przy nim i odebrał z osłabłej dłoni rannego zmiętą kartkę papieru, z notesu wydartą. Przebiegł szybko oczyma kilka wierszy, skreślonych ołówkiem, spojrzał na plan sytuacyjny, na drugiej stronie kartki naszkicowany naprędce, i wyprostował się.

— Odwrót! Pojedyńczo od prawego po trzydzieści kroków przebiegać! Kierunek Krzywopłoty! Rannych po drodze zabierać, zabitym dokumenty wyjmować.

I rozpoczął się odwrót prawie tuż z pod okopów nieprzyjacielskich pod straszliwym ogniem granatów, szrapneli i kulomiotów, — odwrót, podczas którego zostało na polu bitwy trzy czwarte bataljonu szóstego i około połowy czwartego.

Zapanowało jakieś przytępienie i dziwna rezygnacja w szeregach. Nikt już nie biegł, ale, podtrzymując ranne go towarzysza, szedł z nim wolnym krokiem, często padając razem, by nie powstać więcej. Śnieg padać zaczął gęściej, czyniąc odwrót jeszcze smutniejszy. Ja z drugim legunem prowadziliśmy pod ręce broczącego krwią ordynansa, który przyniósł rozkaz odwrotu. Szliśmy wolno, przystając za budynkami, aby dać rannemu odetchnąć. Tak dotarliśmy do skrajnych chałup wsi, gdzie przed jedną z nich ujrzałem stojącego Ceceniowskiego. Ujrawszy mnie, uśmiechnął się życzliwie.

— Popieł!.. Cały i zdrow, Bogu dzięki!.. Kogo to macie, ranne go? Prowadźcie go do chałupy, bo tu właśnie jest punkt opatrunkowy!

PrzewINDOWALIŚMY osłabłego z upływu krwi żołnierzyka przez płot nawpół rozwalony i wprowadziliśmy go do izby, gdzie na łózkach, ławach i podłodze leżało kilkunastu rannych, koło których żywo uwijało się dwóch łapichów, zatykających krwawiące dziury i bandażujących silnie uszkodzone członki. Kiedy wzięli już naszego ranne go w obroty, rozejrzałem się po izbie... Na łóżku, jęcząc od czasu do czasu, leżał już obandażowany żołnierz naszego plutonu, Capiga, a przy łóżku na małym zydelku siedział skulony stary chłop, widocznie gospodarz tej chaty, i patrzył na ranne go jakimś nieprzytomnym wzrokiem.

Zagadnąłem chłopą:

— Cóż wy tu robicie, ojciec? Nie słyszycie to, jak kule koło okien gwizdzą? Jeszcze która tu wpadnie i was zabije!

Chłop odwrócił głowę powoli ku mnie i odrzekł ponuro:

— Niech zabije!.. Ja tu gospodarz... Niech ta!..

Zamyśliłem się nad tem wielkiem przywiązaniem chłopą polskiego do rodzinnej zagrody; nie uląkł się piekielnego ognia bitwy i pozostał sam jeden we wsi, on, pan tej nędznej lepianki i jej gospodarz! Porównałem w myśli tego chłopą z żołnierzem, co trwa na straconej placówce, choć widzi zbliżającą się przemoc wroga...

Z zamyślenia tego wyrwał mnie głos Ceceniowskiego.

— Obywatelu Popiel, nie można tak zostawić rannego! Tu lada chwila może wpaść granat i wszystko rozwalić. Trzeba go wziąć, przecież z pierwszego plutonu. Zdejmijcie płaszcz i weźcie go w kilku na karabiny, tylko się śpieszcie, póki nas jeszcze szrapnelami nie macają.

Obejrzałem się... Obok mnie stało już dwóch strzelców, którzy jęli podnosić rannego z łóżka. Zdjąłem więc płaszcz z siebie i, zapiąwszy plecak, zacząłem pomagać w układaniu rannego na zaimprovizowane nosze, złożone z dwóch karabinów i płaszcza. Ale teraz bieda, jak go nieść? Jest nas trzech, a do takich noszy trzeba koniecz= nie czterech ludzi. Ale poradziliśmy sobie szybko; podłóżyliśmy rannemu jeden karabin pod łopatki, drugi pod zgięcie kolan i wynieśliśmy z izby na dwór, nie zważając na jego krzyki, wywoływane przez ból strzaskanego kolana. Ja szedłem na przodzie, trzymając w wygiętych wtył rękach przedni karabin, dwaj zaś inni dźwigali drugi karabin, trzymając go za kolbę z jednej i lufę z drugiej strony.

Tak ruszyliśmy w pochód i po chwili weszliśmy na górkę, przez nieprzyjaciela najsilniej ostrzeliwaną. Tu za=

brakło mi sił zupełnie i musiałem złożyć rannego na ziemi, sam obok niego się kładąc. Koledzy zaproponowali zmianę miejsc, która nastąpiła w ten sposób, że jeden od tyłu podpełznął ku przodowi, ja zaś cofnąłem się wtył i odpoczywaliśmy chwilę w gradzie kul, dysząc ciężko.

Spostrzegłszy, że za długo leżymy na miejscu tak odkrytym i dla nieprzyjaciela widocznym, uniosłem się na łokciach i kolanach, chcąc dać hasło do dalszego pochodu, gdy nagle uczulem silne tępe uderzenie w prawy bok. Zrozumiałem, że jestem ranny i usiłowałem powstać, ale zdołałem tylko przekościółkować się na drugą stronę pagórka, niewidoczną od strony nieprzyjaciela, i tam pozostałem bezwładny. Coś mnie zaczęło dusić w gardle, usiłowałem krzyknąć, lecz gdy otwarłem usta, bluznąłem obficie krwią, plamiąc mundur na piersiach.

— Oho! — pomyślałem sobie — źle z tobą, bratku, przyjdzie chyba na tamten świat się przejechać...

Czułem ogromną duszność, a nie mogłem ruszyć ręką, by móc rozpiąć mundur, który nagle szalenie ugniatać mię począł. Ktoś tuż przy mnie przypadł i po chwili usłyszałem głos:

— Co z wami, obywatelu Popiel? Ranniście bardzo?.. To ja, Otto!

Był to jeden z tych żołnierzyków, z którymi wspólnie dźwigałem rannego Capię. Wzięła mnie złość, gdyż odezwanie się jego wydawało mi się czemuś niedorzeczne, chciałem mu coś powiedzieć, lecz tu znowu nastąpił krwotok. Zrobiłem tedy ruch rękoma, zaś Otto musiał go zrozumieć, bo poczułem, jak mi odpina pas z ładownicami, troki od plecaka i guziki munduru. Sprawilo mi to pewną ulgę, ale jednocześnie uczulem strach przed Moskalami... Wykrztusiłem więc z wysiłkiem:

— Otto, weźcie mnie stąd... Weźcie!

— Jakże was wezmę sam jeden?.. Poczekaście, pójdę po sanitariuszy!

I pobiegł, a ja leżałem dalej na polu i czułem, że jest mi coraz słabiej. Sięgnąłem ręką pod siebie i przybliżywszy pięść zaciśniętą do samych oczu, otworłem ją i spojrzałem. Trzymałem garść skrzepłej krwi, pomieszanej ze śniegiem. Leżałem dalej i nie czułem już żadnego bólu. Przed oczyma poczęły mi latać jakieś ciemne płatki i słyszałem, jak koło mnie bezustannie ktoś przebiegał. Ale nie mogłem odwrócić głowy...

— Może to już Moskale — pomyślałem sobie.

Zobojętniałem nagle na wszystko. Dobiją mnie, to i lepiej... Uniknę stryczka, któryby mnie nie minął, bo mam w kieszeni dokumenty, stwierdzające moje pochodzenie z Królestwa.

Leżałem dalej nawznak, ściskając mocno zęby, by uniknąć krwotoku, i poruszając od czasu do czasu to jednym kolanem to drugim, by w razie, jeżeli to przebiegają nasi, nie wzięli mnie za zabitego i nie pozostawili na polu.

Po chwili, która wydała mi się wiekiem męczarni, zacząłem powoli zatracać świadomość i jakby przez sen usłyszałem sprzeczące się nade mną głosy.

Ktoś mówił:

— Człowiekiem przecie jest, zostawić go tak nie można.

Na to drugi:

— Ale jak go wziąć?

— Plecak wyładowany, pewnie tam jest koc. Wyjmijcie go wy, boście bliżej... Na kocu go poniesiemy i już...

Po chwili uczułem się podniesionym w górę, kilka kul błyknęło i straciłem przytomność.

Gdy przyszedłem do siebie, leżałem na słomie w jakiejś półciemnej komorze, skrępowany silnie bandażem. Przy mnie leżało pokotem kilkunastu rannych, a z poza drzwi, prowadzących widocznie do izby, dobiegały moich uszu

przeraźliwe krzyki, słabe jęki, płacz spazmatyczny i uspakajające, serdecznością nabrzmiałe, głosy sanitariuszy.

Po chwili drzwi się raptownie otwały i dwóch sanitariuszy wprowadziło jeszcze jednego rannego z zabandażowaną głową, składając go lekko na słomie. Za nimi zauważyłem stojącego we drzwiach Kordjana, którego twarz junacka wydała mi się jakby śmiertelnie zmęczona.

— Jest tu kto ranny z mojej kompanji?...

Chciałem się odezwać, ale zamiast głosu wydobyłem z gardła jakieś chrapliwe bulgotanie. Kordjan postąpił chwilę, popatrzył na leżących i wyszedł.

Wkrótce pojawili się w komorze sanitariusze i wynieśli mnie i dwóch jeszcze ciężko rannych na dwór. Poznałem, że znajduję się przed zagrodą gajowego w lesie, z którego rozpoczęliśmy atak na Załęże. Przed domem stała fura chłopska, w jednego konia zaprzężona, z garścią słomy w półkoszkach. Ułożono nas trzech na ciasnym wozie tak, że dotykaliśmy się wzajemnie ciałami, co przy jeździe wywoływało częste potrącanie ranionych miejsc. Znalazłem się w niedogodnej bardzo pozycji, mając nogi i głowę uniesioną w górę, a nadwerżony korpus wcisnięty między półkoszki wozu. Gdy chłopak powożący ruszył z miejsca, przy każdym silniejszym wstrząśnięciu wozu uczuwałem ostry, szarpiący ból w boku. Zaciśnąłem zęby, jak mogłem najsilniej, i starałem się bólowi nie poddawać.

W ten sposób minęliśmy Krzywopłoty, ostrzeliwane przez artylerję rosyjską, i skrzyliśmy na drogę, wiodącą do Kwaśniowa. Po półtoragodzinnej koszarnej jeździe zatrzymaliśmy się wreszcie w Kwaśniowie przed jedną z chałup. Wyszli z niej austriaccy sanitariusze i wnieśli nas do izby, gdzie słoma już była dla nas przygotowana. Złożono nas na niej, wyczerpanych jazdą i ledwie żywych. Dusznosc i gorąco, panujące w izbie, sprawiły, że traciłem poczęści świadomość. Pomnę, jakby przez sen,

jak przychodził lekarz, zabrał dwóch rannych, razem ze mną przywiezionych, mnie zaś pozostawił jeszcze, zalecając bezwzględny spokój.

Dopiero po trzech dniach gorączki zacząłem przychodzić do siebie. Mogłem już mówić, chociaż szeptem, zaraz też poprosiłem gospodynię o mleko. Więcej jednak niż pół szklanki przełknąć nie mogłem. Potem jałem rozpytywać się o rezultat bitwy i pokrzepiłem się ogromnie wiadomością, że Moskale wprawdzie atak odparli, ale ani na krok nie posunęli się naprzód. Zaraz też nadszedł wojskowy lekarz austriacki i zawiadomił mnie, że po południu nadejdą wozy, które znajdujących się we wsi rannych w bitwie nad Pilicą odstawią do kolei. Objaśnił mnie także z kiepska po polsku, że nie mogłem być odstawiony wcześniej, gdyż mam przestrzelone płuco i obawiano się krwotoków w czasie transportu. Przysłał mi potem jedzenie, którego nie tknąłem, pijąc tylko małemi haustami mleko, litościwie mi przez gospodarzy udzielane.

Wreszcie po południu nadeszły upragnione wozy i, pożegnany serdecznie przez mieszkańców chaty, zostałem umieszczony na jednym z nich wespół z trzema czy czterema Austriakami. Mieliśmy 18 km do stacji Strzemieszyce.

Boże, co to była za jazda!...

Po drodze wyboistej, kamienistej i piekielnie długiej ciągnął się sznur wozów, płachtami nakrytych, z pod których dobywały się krzyki, jęki, prośby i łajania rannych, podrzucanych wgórę na wybojach.

Myślałem, że ducha wyzionę, kląłem furmana, który, zatykając sobie uszy rękoma, nie zwracał uwagi na moje prośby, by jechać powoli.

Wreszcie, gdy wóz zadudnił po bruku, straciłem przytomność, odzyskując ją dopiero wtedy, gdy mnie wniesiono do ciepłej i przestronnej poczekalni dworca kolejowego w Strzemieszycach, zamienionej teraz na ambulans.

Pozostawiono mnie na noszach, gdzie mi było daleko wygodniej, niż na słomie, zaraz też uczulem apetyt i, po drażniony zapachem gorącej herbaty z rumem, którego pełny kubek podał mi łapiduch, wypilem wszystko i zjadłem pół rozmoczonego suchara, zemdlałem jednak, gdy wkrótce potem zaciągnąłem się papierosem, którego na usilne moje prośby dał mi sanitariusz.

Przyprowadzony szybko do przytomności, zaraz usnąłem i obudziłem się rano dnia 22-go listopada, gdy już pociąg sanitarny stał na linii.

Zaraz też nas załadowano do wagonów i ruszyliśmy w drogę do nieznanego szpitala.

W pociągu czulem się znacznie lepiej, niż na wozie, chociaż nie był to specjalny sanitarny pociąg, i leżałem na twardej ławce, wsparty zranionym bokiem o kilka koców, które mi podłożyli będący ze mną w jednym przedziale trzech lżej ranni Słowacy czy też Chorwaci. Oni też opiekowali się mną przez całą drogę, pomagając mi powstać, gdy chciałem przyjąć inną pozycję, przynosząc mi jedzenie i t. p. Łapiduchy, którzy obowiązani byli to czynić, zamknęli się w jednym z przedziałów, i popijając rum, grali w karty, nie troszcząc się o rannych.

Wspomagany przez współtowarzyszy, przejechałem tak całą dobę. Następnego ranka zatrzymano pociąg w Bernie Morawskim, gdzie już na dworcu oczekiwały auta, tramwaje, wozy wraz z całą armją łapiduchów, sanitariuszek i pań z Czerwonego Krzyża... Zostałem ułożony na noszach i wstawiony do auta.

Wreszcie wyładowano wszystkich rannych i samochody, wozy i tramwaje ruszyły przez miasto w kierunku szpitala rezerwowego Nr 6, przy ulicy Iskrowej. Przechodnie stawali na ulicach i czynili nam owacje, rzucając przytem do wozów papierosy, kwiaty i łakocie. Nic dziwnego, był to rok 1914, początek wojny, a Berno otrzymywało dopiero drugi większy transport rannych

wprost z pola bitwy. Moskalofilska polityka czeska nie objęła była jeszcze szerszych mas ludowych, które na ziemczonych Morawach pozostawały wówczas wierni „panu cesarzowi a králi“.

Sypały się więc kwiaty z rąk nadobnych Czeszek na wynędzniałych wojaków, pomimo iż to był już koniec listopada.

Gdy się wreszcie znalazł w szpitalu i dostał w ręce czeskich sanitariuszek, które, ku mojej wielkiej konfuzji, wpakowały mnie zaraz do wanny, należycie w niej wyszorowawszy, i po nałożeniu świeżego opatrunku, ułożyły na miękkiej i czystej pościeli, usnąłem natychmiast i przez 24 godziny spałem jak susel.

Następnego dnia zniesiono mnie nadół do ambulatorjum, gdzie po dokładnem zbadaniu przez lekarza okazało się, że mam złamane trzy żebra i przestrzelone prawe płuco. Kula zaś tkwiła gdzieś w okolicy prawego obojczyka. Nałożono mi kaftan z siatki drucianej, wołłokiem podbity, który tak ścisnął moje biedne żebra, że nie mogłem oddychać. Przywykłem doń jednak i przez trzy tygodnie po całych dniach i nocach współsiedziałem na łóżku, podziwiany przez wszystkie siostry szpitalne i panie z miasta, które ciekawe były ujrzeć „legjonarza“. Rozpisywały się już bowiem o nas szeroko niemieckie i czeskie gazety. Byłem pupilem wszystkich „Schwester“, nie brakło więc nigdy na moim stoliku papierosów, „werzinek“ ani „kołaczków“.

Po trzech tygodniach zdjęto ugniatający mnie pancerz i uczułem się jakby nowonarodzony. Rana w boku zaczęła się już zasklepiać ale, po zbadaniu mnie przez naczelnego lekarza, okazało się, że nie może wyjąć mi kuli, nie wie bowiem, gdzie jej ma szukać. Odesłano mnie do innego szpitala, mieszczącego się w czeskiej szkole technicznej, na oddział chirurgiczny. Tam już pobyt stał się dla mnie mniej przyjemny, bo dostałem się pomię-

dzy ciężko rannych, którzy dopiero co przybyli, albo też czekali na operację. Zamiast wesółych, dowcipnych i miłych „sestriczek“ z Iskrowej ulicy, dostałem się pod opiekę poważnych i leciwych zakonnic, przestrzegających pilnie klasztornej ciszy, higjeny i porządku. Z nudów zacząłem się uczyć po czesku i po dwóch tygodniach mówiłem już i czytałem jak rodowity Pepik. Przebyłem w tym szpitalu trzy tygodnie i w ciągu tego czasu prześwietlano mój bok dwukrotnie aparatem Röntgena, kuli jednakże nie odnaleziono. Ponieważ nadszedł świeży transport rannych, a chirurgów, obsługujących ten olbrzymi szpital, było zaledwie trzech, odesłano mnie zpowrotem na ul. Iskrową, bez operacji. Tam też spędziłem święta Bożego Narodzenia, śpiewając siostrom polskie kolędy.

Tymczasem Moskale zajmowali Małopolskę i parli do Karpat... Co kilka dni nadchodziły świeże transporty chorych i rannych. Miejsowości, w których były kadry niektórych pułków, zostały zajęte przez nieprzyjaciela, wobec czego żołnierzy-rekonwalescentów z tych pułków rozsyłano do większych majątków ziemskich na odżywianie.

Ponieważ kadra legjonowa zaczęła się dopiero tworzyć w Jabłonkowie na Śląsku-Cieszyńskim, dokąd przeniósł się z zagrożonego Krakowa Departament Wojskowy N. K. N., wysłano mnie razem z 11 żołnierzami austriackimi, z których pięciu było Rumunów, czterech Czechów i dwóch Rusinów do dóbr Lisice, obok Boskovic, niedaleko historycznego Austerlitzu. Właścicielką dóbr lisickich była hrabina Dubska, zniemczona magnatka czeska. Rozmawiała ona swym ojczystym językiem tylko ze służbą, do nas zaś, jako do ludzi „cesarskich“, mówiła po niemiecku. Ja jeden tylko nie chciałem mówić po niemiecku, oświadczając, że jestem Polakiem i nie znam niemieckiego. Do mnie więc tylko zwracała się później nasza opiekunka w łamanym języku czeskim, podczas gdy nawet z Czechami rozmawiała po niemiecku.

U tej hrabiny przebyliśmy okrągły miesiąc, używając swobody i górskiego powietrza. Tam też miałem sposobność przyjrzenia się zbliska naszym pobratymcom... Podziwiałem skrzętność ludu czeskiego, jego gospodarność, zasobność i wysoką kulturę ziemi, starannie uprawianej. Wchodząc do domu „Sokoła“ lub mieszczańskiej „Besedy“, czy zwiedzając inne spółdzielcze zakłady lub szkoły, chyliłem czoło z uznaniem dla żywotności, przedsiębiorczości i solidarności narodowej Czechów, będących od wieków pod zalewem niemieczyny. Nie mogłem jednak znieść czeskiej przewrotności, wyrachowania i ordynarnych obyczajów. W wielu domach czeskich byłem podejmowany, pomimo różniących mnie z nimi przekonań politycznych, z istic słowiańską gościnnością. Jednak zbyt dobrego wrażenia nie zrobili na mnie.

Zdołałem zdobyć sobie w miasteczku pewną popularność i choć byłem ubrany jak austriacki landszturmak, bo w szpitalu spalono przy dezynfekcji mój strzelecki mundur, wszyscy mnie znali, że jestem legionistą, i to z „Ruského Polska“, a kiedy wyszedłem na spacer, każdy spotkany obywatel miasta, czyto Dospiszyl czy Pospiszyl, Zakroutil czy Wywratil ciągnął mnie do gospody na piwo.

Mimo wszystko i pomimo, że szkoda mi było figlarnych czarnych ocząt pewnej Lenuszki, z przyjemnością się zebrałem, gdy z Berna przyjechał podoficer sanitarny, aby nas zabrać zpowrotem do szpitala, zatęskniłem bowiem do strzeleckiej wiary i ciekaw byłem wielce widoku towarzyszków broni. Wielu pewnie już przez ten czas zdążyło złożyć swe głowy na polach Łowczówka, gdzie po Krzywopłotach odbyła się większa bitwa, o której wiedziałem tylko z krótkich wojennych komunikatów prasowych. Skomunikować się z pułkiem nie można było, gdyż poczta polowa nie została jeszcze dla Legionów zorganizowana, wszystkie listy, jakie wysłałem do rodziny i do pułku, zostały mi zwrócone, jako niedoręczone.

Pożegnawszy się tedy z roniącą łzy „mileńką“, która wypakowała mi na pożegnanie kieszenie łakociami, wróciłem do Berna. Zaraz nazajutrz pokłóciłem się z doktorem, który chciał mnie odesłać zpowrotem do „techniki“, żądając odesłania mnie do pułku w sposób tak kategoryczny, że austriaccy podoficerowie, pomiędzy którymi przeważał t. zw. „Sztand“, t. j. ci, którzy zostali wzięci do wojska jeszcze przed wojną i którzy na sam widok „sztabs arcta“ mało ze skóry nie wylazili, oniemieli ze zgrozy, usłyszawszy wyraźne z mej strony zignorowanie istniejących w armji przepisów. Lekarz także się uniósł i zagroził mi nawet odesłaniem do garnizonowego szpitala. Ale wkońcu podoficer sanitarny, Polak — jednorocznik, zdołał go przekonać, że ja jako „freiwilliger“ nie podlegam niektórym ogólnym przepisom i mogę żądać wypisania ze szpitala, nie będąc nawet całkiem zdrowym. Nie wiem dotychczas, czy podobne „ulgi“ dla ochotników istniały w jakiegokolwiek armji w czasie wojny, dość że odebrano ode mnie deklarację, iż, czując się już zdrowym, żądam odesłania do pułku, wydano mi dokument podróży do miasteczka Kęt na Śląsku, gdzie pułk (właściwie już brygada) miał wyznaczony postój w celu zorganizowania się i wypełnienia szeregów w szeregach.

Tegoż samego dnia wieczorem wsiadłem do pociągu i nazajutrz rano znalazłem się w Bielsku, gdzie trzeba było kilka godzin czekać na pociąg do Kęt. Na stacji dostrzegłem kilku legionistów, którzy także wracali ze szpitala i niezbyt serdecznie mnie przywitali, gdy ich zagadnął; miałem bowiem na sobie mundur austriacki.

Dopiero po wyjaśnieniu z mej strony wdali się ze mną w pogawędkę i dalej jechaliśmy już w jak najlepszej z sobą komitywie. Nie mogłem jednak niczego się dowiedzieć o losach swego bataljonu, gdyż to byli leguni z II brygady, ranni pod Mołotkowem. Korzystali z pierwszej okazji, by omylić czujność „kanarków“ i zamiast do Marmaros-Szi-

get do „dziadkowej“ brygady umknąć. Od nich to dowiedziałem się o niecnym intrygu, których ofiarą stała się II brygada, wepchana w Karpaty z wiedzą naszych N. K. Nowych polityków.

Słuchając opowiadania mych towarzyszy o odbytej pod Mołotkowem batalji, w której legło tylu młodych pełnych życia i sił straceńców, dojechałem do Kóz, ostatniej stacji przed Kętami. Był tu rozmieszczony pułk ułanów Beliny. Gdy pociąg ruszył, spostrzegłem nagle wsiadającego do naszego wagonu w towarzystwie dwu sanitariuszek towarzysza mych lat dziecinnych, Janka K. Choć mnie widział dobrze, nie poznał jednak. Dopiero, gdym zawołał nań po imieniu, rzucił się ku mnie wołając:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!... Tyżeś to, chłopie?

A przekonawszy się namacalnie o mojej tożsamości, ciągnął dalej:

— Człowieku, toż ciebie pogrzebali pod Krzywopłotami, a o twojej śmierci zawiadomiono rodzinę... Zostałeś już dawno opłakany, a może i zapomniany.

I, porzuciwszy swe towarzyski, zaczął mi opowiadać, jak jedni z moich kolegów, którzy widzieli mnie leżącego na poboju, przysięgali na wszystko, że zostałem zabity i czuli się w obowiązku rodzinę o mojej śmierci zawiadomić, inni znowu poznali mnie pomiędzy trupami i pogrzebali we wspólnym grobie pod Bydlinem, jak też i sam Kordjan podał mnie do urzędowej listy strat, jako zabitego i t. d.

Tak dojechaliśmy do Kęt. Pożegnawszy serdecznie Janka, zbyłem milczeniem jego namowy, któremi usiłował mnie zwerbować do kawalerji, i udałem się do komendy placu, gdzie zameldowawszy się por. Grudzińskiemu (zginął pod Zernikami), otrzymałem od niego kartkę z poleceniem zgłoszenia się do dawnego swego oddziału.

Wyszedszy z komendy placu, natknąłem się odrazu na kilku kolegów z 6-go baonu, którzy tu pełnili służbę i po

raz wtóry wywołałem zdumienie swoją osobą. Dowiedziałem się od nich, że bataljon nasz kwateruje we wsi Kobiernica o milę drogi od Kęt. Posiliwszy się w legionowej gospodzie, ruszyłem w stronę Kobiernicy, mijany obojętnie przez starych legunów, którzy brali mnie za Austriaka. A mnie serce rosło na widok tych junackich twarzy i głów śmiało wgórę zadartych, a przybranych w maciejówki lub rogatywki.

Nie spotkawszy jakoś nikogo ze znajomych, doszedłem wreszcie do wsi i zapytałem stojącego przed karczmą żołnierza, gdzie kwateruje ob. Ceceniowski.

Legun, spojrzawszy na mnie z pod oka, zasunął rękę w kieszenie od spodni i splunął ostentacyjnie w rów przydrożny.

— A co pan chce od ob. Ceceniowskiego?

— Jakto, co chcę?... Muszę się zameldować, bo wracam ze szpitala. Jestem także legionistą!

Legun parsknął śmiechem:

— Legionista z austriackim bączkiem!... (zapomniałem zdjąć z czapki mosiężny guzik z cesarskimi inicjałami). To pan pewnie z tych c. i k. Legionów, co są na Węgrzech, co?... To czemuż mi pan mówi „obywatelu“, kiedy wy tam wszyscy „panowie“?

Tu mi już cierpliwości zabrakło.

— Nie zawracajciego głowy, do cholery, tylko mnie prowadźcie do porucznika Ceceniowskiego. A nie macie ochoty, to pies was trącał, i sam trafię!

— Czekajciego chwilę, obywatelu. Widzę teraz, że z was prawdziwy legun. No, patrzcie, to was ustroili! Pozwólcie, to was zaprowadzę do 1-go plutonu.

Ale, ledwie minęliśmy drugą chałupę, już nas spostrzeżono i wiara powybiegała przed kwatery. Poznałem pomiędzy stojącymi Rocha, który, przyjrawszy mi się bacznie, wziął mnie w swoje ramiona.

— Zmartwychwstał, dalibóg zmartwychwstał! A chodźże do mnie, Pepiku!

I pomimo mych protestów i tłumaczeń, że muszę się iść zameldować, zaciągnął mnie do siebie na kwaterę. Tu przy grzanem winie Roch zaczął mi opowiadać o tem, jak mnie żałowano w kompanji, sądząc, że zabity. Na moje dopytywania się o kolegów, odparł:

— Niewielu ich jest, niewielu... Część zagłębiaków przeszła do bataljonu Berbeckiego, który tworzy drugi pułk, ale są jeszcze: Rożyński, Tomek, Michał, Dąbrowski, Bartek, Choryłko... Wujo został ranny w nogę pod Łowczówkiem, Kuzyn chory w szpitalu, Prochaska sparaliżowany...

— A jak się ma Ceceniowski?

— Morowo. Powinien był objąć kompanję po Kordjanie, ale tak się przywiązał do swojego plutonu, że zrzekł się dowództwa nad kompanją na rzecz Rzeckiego, który jest dobry chłop, ale już nie taki morus, jak Kordjan.

— Na Boga, a cóż się stało z Kordjanem?

— Pochowany w Budapeszcie. I to wiecie, od głupiej rany w rękę, jaką otrzymał pod Łowczówkiem... Kula widocznie była brudna i... zakażenie. A szkoda chłopu, dzielny był!

— Pewnie, że szkoda... A Lieneman jest?

— Tego stryjasek wyciągnął do drugiej brygady... Ale my tu gadu-gadu, a już wszyscy pewnie wiedzą, że wróciście, zaraz tu przybiegną. Ponieważ jednak ja was powitałem pierwszy, uzurpuję sobie prawo, jako podoficer za frontem, zarekwirować was do drugiego plutonu. Tylko nie odmawiajcie. Zgoda? Komendantem plutonu jest ob. Rychlik, byczy chłop, po całych dniach tylko w podróży Maya rozczytuje się, będziemy sobie we trzech kwatrowali? No, cóż?...

Pociągnięty serdecznością Rocha, przystałem, a Roch, ucieszony smakiem nowym nabytkiem, napelniał znów wi-

nem szklanki. Zaraz też wpadła cała chmara starych kamratów i nuż mnie ścisnąć, całować, huścić... Potem porozsiadali się, gdzie który mógł: na ławach, krzesłach, stołach i łózkach — i dalej opowiadać o Łowczówku:

— Nie było tam tak strasznie ciepło, jak pod Krzywopłotami, ale dziękujcie Bogu, żeście nie potrzebowali góry św. Marcina zdobywać. Najwięcej ucierpiał bataljon Berbeckiego, który został całkiem odcięty i po dwóch dniach dopiero połączył się z nami. A wiecie, w jaki sposób ojciec Brok został ranny? Brok, jak wiecie, przed Krzywopłotami został z Dziukiem i Czapłą wysłany na kwatermistrza i przepadł. Myśleliśmy, że mu się wojenka sprzykrzyła i drapnął pod pierzynę, ale stało się inaczej... Ponieważ zmieniliśmy marszrutę i Brok nie wiedział, w którą stronę pójść za nami, przeto pojechał do Sosnowca, gdzie Berbecki tworzył bataljon uzupełniający i tam został. W ten sposób uniknął Krzywopłotów, ale się dostał pod Łowczówek, a że wiecie, łatwiej mu przychodziło ucieszne anegdoty prawić, niżli w tyraljerze biegać, przeto się okrutnie zmachał, i utracił chęć do dalszego ataku. Leży sobie tedy w tyraljerze i, ujrzawszy pękający w górze szrapnel, powiada do wiary:

— Wiecie co, moi obywatele szlachetni i zacni? Dałbym ja carowi-batiuszce pięć rubli złotem po wojnie, żeby mnie taka „siantrapa“ po miękiej części ciała musnęła. — Ledwie to zdążył wypowiedzieć — pęka szrapnel i ojciec Brok zmiata na tyły, trzymając spodnie w garści. Śmieliśmy się potem z niego, gdyśmy po bitwie wędrującego na wozie brzuchem nadół widzieli, że musi chyba drugie pięć rubli dla cara dołożyć, bo kula szrapnelowa, zamiast musnąć, obydwu wystające „policzki“ porządnie mu rozorała.

W ten sposób informowano mnie o żywych, o poległych zaś wyrażano się ze smętkiem. Tak przegawędziliśmy do samego prawie capstrzyku. Zaczęto się żegnać i roz-

chodzić na kwatery. Widząc, że ja się z miejsca nie ruszam, podoficerowie 1-go plutonu jęli mnie ciągnąć do siebie.

— Cóżto, zapomnieliście, obywatelu Popiel, gdzie wasze miejsce? Nie wiecie, że jesteście jednym z czwórki sztandarowej?

Począłem żałować w duchu słowa danego Rochowi, ale za późno już było je cofać. Oświadczyłem kolegom, że już zarejestrowany jestem w II plutonie.

Spochmurnieli.

— Jak sobie chcecie. Ale przekonacie się, że niema to jak pierwszy pluton i wróćcie jeszcze do nas, zobaczycie!... Cześć!

— Cześć!

Zostałem tedy u Rocha, a gdy wkrótce nadszedł Rychlik — Swarzeński, komendant II plutonu, otrzymałem przydział do 1 sekcji, jako zastępca sekcyjnego i zasnąłem na tapczanie, zmęczony wrażeniami dnia.

Nazajutrz rano poszedłem do Ceceniowskiego, który, wiedząc już o mojem przybyciu, przyjął mnie bardzo serdecznie, nie czyniąc żadnych wymówek za to, że nie wróciłem do jego plutonu i zaprowadził mnie do kompanijnego, ppor. Zintha-Rzeckiego, przedstawivszy jako zmartwychwstańca z pod Krzywopłotów. Przyjrzałem się kompanijnemu: był to przystojny brunet, wysoki, zgrabny jak panienka, ale nie posiadający tych energicznych ruchów i junackiej postawy, co ś. p. Kordjan. Mówił cicho, prawie mrukliwie i tak jakoś wahająco, jak mówią zwykle ludzie zbyt dobrzy lub też słabego charakteru. Naogół jednak sprawił na mnie sympatyczne wrażenie.

Zameldowawszy się kompanijnemu, udałem się do lekarza baonowego celem oddania mu swych szpitalnych dokumentów. Lekarzem bataljonowym był ppor. Hedinger, bardzo zdolny chirurg, posiadający przed wojną własne sanatorium lecznicze w Belgji, a który, uważa-

jąc się za Polaka, pomimo niemieckiego nazwiska, nie stał się do armji pruskiej, lecz na pierwszą wiadomość o tworzących się Legjonach przybył do Krakowa i zaciągnął się jako lekarz do szeregów.

Obejrawszy moją bliznę stwierdził, że kuli nie wyjęto, poczem jał mnie obmacywać rękami po piersi, bokach, szyi i ramionach, aż wreszcie wykrzyknął z oburzeniem:

— A to idjoci! Prześwietlali wam bok dwa razy, powiadacie? Toż tu ślepy może namacać, że kula siedzi w ramieniu, nie potrzeba na to Röntgena! Przyjdźcie do mnie za kilka dni, bo teraz nie jestem przygotowany do operacji, to wyjmemy kulę. Tymczasem macie zwolnienie od wszelkiej służby, siedzieć na kwaterze i nie przeziębiam się.

Zastosowałem się do tej rady i przez kilka dni wylegiwałem się na łóżku, czytając Maya do spółki z obywateltem Rychlikiem lub też skracając sobie czas opowiadaniem starych i nowych „witzów“ i anegdot. Wieczory spędzałem na kwaterach kolegów, gdzie nie obywano się bez libacji, gdyż nie otrzymywaliśmy gotowego jedzenia z kuchni, tylko surowy prowiant według stanu ludzi na każdą kwaterę osobno. Było tego tyle, że gosposie nasze wyśmienite przyrządzały nam obiady i kolacje, przy których komiśnego rumu i wina było pod dostatkiem.

Po upływie kilku dni otrzymałem rozkaz stawienia się do ambulatorjum, dokąd przybywszy, zastałem dr. Hedingera w asystencji lapiduchów, za zakasanemi rękawami, gotowego do operacji. Posadzono mnie na fotelu i wstrzyknięto w ramię środek znieczulający, poczem doktor rozchłastał mi ramię, wydobył kulę i kilka odłamków kości i ranę mi zaszył, zapchawszy między szwy gazy. Nieprzyjemny był tylko koniec operacji, kiedy mi wpychano gazę do rany małemi szczypczykami. Na zakończe-

nie ściśnięto mi silnie ramię bandażem i miałem odtąd codziennie przychodzić do ambulatorjum dla nakładania nowych opatrunków, gdyż kula siedząca za długo pod skórą spowodowała ropienie rany wewnątrz.

Przedłużyło się zatem moje „obijanie się”. Zwolniony zostałem od wszelkich zbiorów i ćwiczeń i studjowałem Maya w dalszym ciągu.

Dnia 18 lutego 1915 roku kapitan Satyr urządził zabawę żołnierską dla VI bataljonu, z udziałem zaproszonych gości z IV baonu, dla upamiętnienia bitwy pod Krzywopłotami. Na ten cel użyto gmachu Szkoły Wydziałowej w Kobiernicy, ustawivszy w górnych salach beczki z rumem i piwem dla żołnierzy, na dole zaś w kuchniach polowych przygotowano bigos i gulasz z ryżem, zwykle menu żołnierskie. Jedną z największych sal na 1 piętrze przybrano jedliną i chorągiewkami o barwach narodowych. Tam też ustawiono stół nakryty dla sztabu brygady i Komendanta, mającego przybyć wraz z zaproszonymi oficerami. Obok tego był stół dla rannych, którzy powrócili ze szpitala, dalej stanęły stoły dla uczestników bitwy pod Krzywopłotami. W dalszych salach raczyli się rumem i piwem żołnierze IV i VI baonów, wcieleni do szeregów po Krzywopłotach lub też w bitwie nie biorących bezpośrednio udziału.

Wszyscy stawili się w komplecie i pozajmowali miejsca, czekano jeszcze na Komendanta.

Z początku obecność oficerów i uroczysty wygląd sali kępowały obecnych, nie pozwalając na głośniejsze gwary. Gdy jednak któryś z oficerów zaproponował, abyśmy coś zaśpiewali, wnet po sali rozległy się dźwięki beztroskiej żołnierskiej pieśni.

Rozśpiewana wiara nie słyszała, jak przed domem zawarczał samochód i Komendant w otoczeniu sztabu wszedł

na górę, zjawiając się w sali niespodzianie. Wnet śpiewy przycichły, a kapitan Satyr powitał Brygadjera w imieniu bataljonu, wznosząc na jego cześć okrzyk, przez setki piersi powtórzony z zapalem.

Widziałem Piłsudskiego po raz pierwszy w życiu. Sledziłem z uwagą jego ruchy, kiedy dziękował Satyrowi... Gdy zaś zwrócił ku nam swą twarz sarmacką i z miłym uśmiechem podszedł do naszego stołu, uczułem nagle jakieś niepohamowane wzruszenie i odniosłem wrażenie, że ten niepospolity człowiek, spojrzawszy na mnie, zawładnie mą duszą i całym mojem jestestwem. Widziałem oczy kolegów, wlepione w „Dziadka“ jak w tęczę, a w twardym wzroku żołnierskim czytałem coś więcej ponad zwykłą przed zwierzchnikiem uległość...

On zaś szedł wzdłuż naszego stołu i podawał rękę przedstawionym sobie legionistom, mając dla każdego miły uśmiech i ciepłe spojrzenie. Gdy przyszła kolej na mnie, Ceceniowski, który postępował za Brygadjerem, przedstawił mnie:

— A to zmartwychwstaniec, Komendancie, którego mieliśmy już za zabitego, a któremu dopiero onegdaj kulę wydobyto. To z mojego plutonu, obywatelu Komendancie! — dodał tonem przechwałki.

Piłsudski wyciągnął dłoń i uściśnął mi lewą rękę, którą mu podałem zamiast prawej, bo tą dobrze jeszcze poruszać nie mogłem.

— O, toście wy się zanadto, widzę, pośpieszyli z powrotem, obywatelu! A skąd wy rodem?

— Z Zagłębia Dąbrowskiego, obywatelu Komendancie!

— Dzielnych chłopców nam daje Zagłębie. No, wypocznijcie sobie tutaj. Szarżę macie?

— Szeregowiec, obywatelu Komendancie!

— Jeżeli się dalej dobrze sprawować będziecie w polu — szarżę otrzymacie.

Uściskał mnie raz jeszcze za ramię i przeszedł dalej. Obszedłszy stół i pogwarzywszy w podobny sposób z innymi przedstawianymi mu żołnierzami, zasiadł pośród oficerów na przygotowanym dla siebie miejscu, mając po prawej stronie kpt. Satyra, po lewej Ryszarda Trojańskiego. Rozpoczęła się uczta żołnierska, gdzie więcej mówiono i śpiewano, niżeli pito. Z sąsiednich izb tylko, gdzie stały beczki z rumem, dochodziła głośnie wrzawa i okrzyki.

Sztab pił niewiele. Wszyscy zajęci byli Komendantem, który opowiadał coś, uśmiechając się i od czasu do czasu gładząc sarmackiego wąsa. Patrząc na tę twarz z dziwnie marsowym i skupionym wyrazem, to znów rozjaśniającą się nagle pogodnym uśmiechem, odczułem powtórnie przyprawiającą do serca rzewność.

Myślałem:

— oto nareszcie znalazł się w Polsce człowiek, któremu nie patrzy z oczu fałsz, ani zdrada. Siedzi tu oto wybrańiec garstki straceńców, twórca Czynu, którego przelektły się w niewoli zardzewiałe serca. Nie krzyczą Mu „Hosanna“ ci, którzy mienią się być włodarzami Narodu, bo czoła Jego nie ozdobi książęca ani hrabiowska korona, bo na nim nie błyszczą ordery, pochlebstwem zdobywane i lokajstwem, bo On nie czeka na łaskę mocarzy, lecz sam jest Siłą i Moc, Wiara i Czyn. O, cześć Ci, ukochany mój Wodzu!... Pójdę za Tobą w dym bitewny wśród ciemnych nocy; łun pożarów, przez zgłiszczą i pożogę — ku Wyzwoleniu! Bo w Tobie siła i ducha hart!... Cześć Ci!

Tu mnie wyrwał z zamyślenia głos Satyra, który z kielichem w ręku powstał i mówił o znaczeniu i celu bitwy pod Krzywopłotami, kończąc swą mowę temi słowy:

— Pokazaliście w odwrocie, jak ginie, jak umiera polski żołnierz. Niestety, ofiara nasza zbyt ciężką jest i bolesną... Ciężką jest dla nas, którzyśmy mieli wśród siebie tych, co pozostali tam — na polach Zależa i Krzywopłot

tów. Ja ich już oplakałem... Dzisiejsza uczta jest stypą pogrzebową, sprawowaną ku uczczeniu tych, którzy wiernie wypełnili rozkaz. Wiernie, aż do końca! Ale jestem pewien, że nie byłoby tego rozkazu, gdybyśmy mieli wówczas naszego Komendanta wśród siebie: wprawna jego kierowani dłonią, zachowalibyśmy może w swych szeregach wielu z tych, co nie wrócą już nigdy. Ale stało się. Poległym cześć! Niech żyje szósty bataljon! Niech żyje pierwsza brygada i Twórca jej, Komendant Józef Piłsudski!

— Niech żyje!

Gdy trzykrotnie powtórzone okrzyki przebrzmiały, powstał Brygadjer i podziękował nam krótko, po żołniersku:

— Dziękuję wam, obywatele, za Krzywopłoty. Da Bóg, szósty bataljon w wielu jeszcze bitwach okryje się sławą, czego z głębi serca mu życzę. Was zaś, kochani chłopcy, z przyjemnością ucałowałbym każdego z osobna, ale ponieważ to jest niemożliwe, całuję waszego komendanta. Niech żyje szósty bataljon!

Tu Komendant wziął Satyra w ramiona i ucałował go trzykrotnie.

Entuzjazm na sali doszedł do niebywałych granic. Postawiano na stołach, krzyczano, śmiano się i całowano, a okrzykiem „Niech żyje Komendant“ nie było końca.

Żołnierze, uczujący na dole, powywracali kotły z jedzeniem i zaczęli strzelać z karabinów na wiwat. Beczki z resztą rumu wytoczono na podwórze i zapalono, oświetlając w ten sposób drogę do Kęty Komendantowi, który powracał samochodem.

Orkiestra grała marsza, a podochoceni żołnierze chwytali stojące przed domem dziewczęta i starali się w takt marsza tańczyć oberka. Długo w noc wieś rozbrzmiewała gwarem i śmiechem, a okna kwater jaśniały światłem.

Tak szósty bataljon 1 brygady Legjonów obchodził swe chrzciny — bitwę pod Krzywopłotami.

III.

W KĘTACH I NAD NIDĄ

Pan „major“ Wilk, po wyjściu brygady w pole, zaprowadził w Kętach iście enkaenowski bałagan.

W tym czasie Sikorski organizował Departament Wojskowy N. K. N., ewakuowany z Krakowa do Jabłonkowa na Śląsku, w obawie przed inwazją Moskali, zaś stamtąd przeniesiony na teren Królestwa, gdzie w Piotrkowie miały być otwarte biura werbunkowe i kadry nowoformujących się pułków legjonowych. Niektórzy panowie z Enkaenu działali w ścisłym porozumieniu z austriacką A. O. K. (Armee-Ober-Kommando), z którą w konflikcie pozostawał brygadjer Piłsudski. Mieli oni już na sumieniu rozbitcie legjonu wschodniego i oddanie przez to na pastwę Austriakom całej drugiej brygady, krwawiącej się w ciężkich karpackich bojach.

Lecz nie przejmowano się tem zbyt, wysilając się w dalszym ciągu na zadokumentowanie swych wiernopoddańczych uczuć dla truposza austriackiego i cesarsko-królewskich generałów, pragnących, by Legjony Polskie nie różniły się niczem od zwykłego landszturmu, przeznaczonego na mięso armatnie i żer dla c. i k. urzędników wojskowych i całej falangi szukających kariery paniczyków, protegowanych przez różnych członków N. K. N. i „działaczki“ z powstającej przy tymże kobiecej organizacji.

Ze zaś każdy z tych protegowanych, wstępujący do Legjonów głównie dlatego, aby ująć frontu w armji austriackiej, miał pretensje do szarży, członkowie Enkaenu nie żalowali papieru ni pieczęci, fabrykując na prawo i na lewo nominacje oficerskie. Nadmierna ich ilość przeraziła

nawet panów z „Widnia“, gotowych iść na rękę czolobitnym aktywistom polskim. Ci ostatni obiecywali, wśród nieustannych ukłonów, powołać pod broń z nieobjętego mobilizacją rosyjską terenu Królestwa tyłu Maćków, Bartków, Wojtków, Jaśków i Józków, że przygotowanych szarż jeszcze nie starczy, aby dzielnych tych wojaków poprowadzić móc w bój i nauczyć ich umierać za austriackiego cesarza przy dźwiękach hymnu „Boże, wspieraj“ i rozwiniętych sztandarach z wizerunkiem Orła Białego.

Wytargowano nawet dla tych przyszłych pułków, zamiast mycek austriackich, wysokie rogatywki z zielonego materiału, na które c. i k. „Rechnungs-Stelle“, aczkolwiek niechętnie, asygnowały jednak pieniądze pod warunkiem, że dystynkcje i mundury pozostaną niezmiennie takie same, jakich używa sławetna „c. i k. obrona krajowa“.

Załatwienie tej sprawy z rogatywkami poczytywali sobie enkaenowcy za wielką sukces polityczny. Wyfasowawszy zaś odpowiednie fundusze na zakupienie gwiazdek, oficerskich temblaków i pendentów do szabel, nie posiadali się z radości, że czarno-żółty kolor barwi teraz tylko najtajniejsze komórki ich sprytnych mózgów, wysilających się nad obmyśleniem takiej wspólnej platformy, aby dewiza apostołskiej monarchji, owe słynne „viribus unitis“, w niczem naruszona nie została.

Pełni jak najlepszych nadziei, zabrali się teraz do podziału dostojęństw, spadłych na nich dzięki niezwyklej łaskawości „monarchy“, przy własnych usilnych staraniach i zabiegach, po wielokrotnem potulnem wyczekiwaniu w antykamerach różnych dygnitarzy i nieskończonych ilościach odbytych audjencyj.

Krępowiała ich trochę obecność na Śląsku brygady Piłsudskiego, leczącej swe rany po odbytych już bataljach. Okryły one nimbem chwały szarych strzelców, stawiając Komendanta ponad poziom nikczemnych targów i poli-

tycznego szantażu karjerowiczów. Spłodzili oni w Krakowie ową niesławną pamięci instytucję, mającą pretensje do szafowania krwią najlepszych synów narodu, instytucję, uzurpującą sobie prawo decyzji w sprawach, które jeszcze przesądzone nie były. Uzurpatorzy nie usiłowali przewidzieć końca krwawej epopei, pragnąc przedewszystkiem wykorzystać dla siebie koniunkturę polityczną, w jakiej znaleźli się sami wskutek czynu zbrojnego Człowieka, w którym uznać musieli nie własną pospolitość, lecz niezrównany talent i umiejętność zyskiwania dla swej idei coraz zwiększających się rzesz zapaleńców. Rozumiejąc swą małość i własne sobkostwo, postanowiono walczyć z ideą podstępem.

Intryga nikczemna stała się myślą przewodnią tych, którzy nie mogli się pogodzić z faktem, by ktoś, obrzucony przez nich błotem, mógł wyjść nieskalanie czystym i zachować dla siebie włodarstwo dusz.

Echa tych knowań obijały się czasem o uszy żołnierskie, czy to w czasie wieczornych pogawędek, do których zasiadali oficerowie wespół z szarą bracią strzelecką, czy to w czasie pełnienia służby wartowniczej przy dowództwie pułku w Kętach. W gospodzie legjonowej można było pogwarzyć o tem i o owem, kogoś zobaczyć, usłyszeć coś nowego i o sytuacji na froncie się dowiedzieć. Byli tacy, którzy z miny przechodzącego Komendanta poznać umieli wlot, że Go coś nowego, a nieprzyjemnego spotkać musiało w owym „Widniu“, dokąd Dziadkowi czasem jechać wypadało.

Siwe oczy Wodza, aczkolwiek krzaczastym pękiem ściągniętych masowo brwi odstraszały od siebie ciekawych, dla miłujących były źródłem nadziei.

W nieustraszonych oczach Komendanta malowało się w tym czasie więcej trosk, niż radości, choć nie było w nich ani śladu przygnębienia lub choćby cienia rezygnacji. Spoglądały przenikliwie, jak zawsze, a pewien odcień kłopotu

tliwości dostrzec mogły tylko, jako rzekłem, oczy miłujące. A tych było tyle, ile pułk, na brygadę już przemianowany, liczył bagnatów i szabel.

Wiedzieli o tem pokątni szachraje krakowscy i do Kęt się zbytnio nie kwapili w ciągu całego okresu naszego tam postoj.

Czasem zacharczał na ciasnym rynku śląskiego miasteczka jakiś samochód, na kolor polowy pomalowany, choć nawet do pasa przyfrontowego nigdy nie docierał. Z wnętrza pojazdu wystawały jużto wyelegantowane postacie cywilów, jużto błyszczące, prosto z igły mundury wojskowych z gwiazdkami na wykładanych kołnierzach austriackich mundurów i błyszczącemi złotem „bączkami“ austriackimi na czapkach, pod które tulił się smutnie matową swą blaszką skromny orzełek legjonowy, albo popielate bluzy i spódnice z komiśnego sukna, okrywające wdzięczne kształty „ligawek“, asystujących nieodzownie przy tych przejażdżkach.

Poza tem panował porządek wojskowy, kręcili się legjoniści, uwijali sztabowcy, luzowały warty. Gdzieś zoddali brzmiały dźwięki marsza, płynęły tony ochoczej śpiewki legjonowej.

W gospodzie legjonowej popijano herbatę z rumem i kolportowano zawzięcie karteluszek z odpisami najświeższej satyry na „działaczy“ enkaenowskich, będącej parafrazą znanego wiersza „Nie tak in illo tempore bywało“.

Tak było, póki Komendant tkwił na swej kwaterze, a por. Pększyca-Grudziński w komendzie placu. Sprężyste rządy on sprawował i roztaczał opiekę nad powracającymi do oddziałów macierzystych legunami, niosącymi swe blizny i schorowane ciała ze szpitali, by powiększyć liczebność tej garstki, która miała stanowić o sile całego narodu.

Ale jakoś w końcu lutego przyszedł rozkaz:

— Na pozycje!

Gdzie, dokąd — niewiadomo.

Mówiono coś o Jędrzejowie, spodziewano się dalszej rozgrywki pod Gorlicami.

Ci z pod Łowczówka radziby odbić Moskałom Tarnów. Pogłoski były jednak pogłoskami, pewnego nikt nic nie wiedział. Sztabowcy milczeli jak zakłęci. Nawet kucharze kręcili głowami, gdy ich nagabywano, i zbywali natarczywych rozmaicie: to do Królestwa, to znów do Galicji.

Tabory w ciągu trzech dni spakowano, kawalerja ruszyła z Kóz pierwsza, dla piechoty i artylerji przygotowano wagony.

W miasteczku ruch i rwetes, na kwaterach płacz dziewczuch i bab leciwszych, do legunów „przywykłych“, przewidujących pustkę w sercach po ich stracie, a w dowódcach oddziałów kłopot. Było bowiem wielu ludzi chorych, do marszu niezdolnych, którzy ze szpitali z niezagojonemi ranami pouciekali, aby być „w kupie“, i tych wypadło zostawić na pewien czas.

Zostawić, ale gdzie?

Na starych kwaterach nie można, bo toby naruszyło dyscyplinę wojskową i utrudniło zaprowjantowanie. Zatem do Kęt. Postanowiono oddać wszystkich maruderów pod opiekę komendy placu, która miała dla lżej chorych przygotować zbiorowe kwatery, zaś słabszych oddać do miejscowego szpitala.

Ja należałem do tych pierwszych. Na front pójść nie mogłem, bo po wyjęciu kuli rana, otrzymana pod Krzywopłotami, zaczynała ropieć i musiałem chodzić codziennie na opatrunek. Do szpitala mi się iść nie chciało, poprosiłem więc o kartę zaprowjantowania i skierowanie mnie do komendy placu, celem wyznaczenia kwatery.

Pożegnawszy się z kolegami, którym zapowiedziałem rychły swój powrót do oddziału, udałem się pieszo do

Kęt, gdy ostatnie oddziały legionowe pakowały się do wagonów na dworcu. Były to tabory i oddziały pomocnicze, piechota zaś wszystka pomaszerowała szosą do jakiejś nieznanej stacji, bo w Kętach nie starczyło dla niej wozów kolejowych.

W komendzie placu nie zastałem nikogo, prócz urzędującego podoficera, który, obejrzawszy mą kartę zaprowjantowania i napisawszy coś na odwrotnej stronie, oddał mi ją:

— Tu macie adres waszej kwatery. Zaprowjantowania narazie niema, jutro tu będzie kuchnia polowa, a jak nie, to się zgłosicie po relutum.

Mówił do mnie tonem wyniosłym i w podobny sposób jął załatwiać innych żołnierzy.

Zestawiłem nogi na baczność, żegnając podoficera, wziąłem z rąk jego kartkę i odczytałem na odwrotnej stronie: „Restauracja Szlomy Kuchmachera, ulica Nr. ...

Hm! Restauracja... I u Żyda... Niebardzo mi się to uśmiechało. Ale rozkaz, to rozkaz. Powlokłem się pod wskazany adres.

Zastałem gospodarza za szynkwasem w małej szynkowni, gdzie rozczochrana Żydówka obsługiwała grupę bab wiejskich, raczących się rumem. Śmierdziało śledziami i cebulą. Szynkarz wziął w dwa palce moją karteczkę, cmoknąwszy z niechęcią:

— Co, pan na kwatere? Mogę pokazać, ale ręczę, że się nie spodoba. Było tu już czterech panów legionistów, aj waj! Co uni narobili!

I, zdjąwszy kluczyk z gwoźdźcia, puścił mnie grzecznie naprzód, wskazując ciemne drewniane schody, strome, jak drabina, i objaśniając po drodze:

— To stara facjata, wcale na mieszkanie niezdatna, ale panowie kwatermistrze ją zapisali, choć mówiłem, że to skład. Niech pan się raczy przekonać!

Potknąłem się o rozbite drzwi, wiszące na jednej zawiasie. Zajrzałem do komórki o jedynem oknie z dwiema deszczułkami, zastępującymi szyby. Garść pomierzwionych śmieci na podłodze, zasypanej odłamkami szkła i skorupami jakichś naczyń. Cofnąłem się mimowoli, gdy wionęła mi w twarz stęchlizna, chłód i zaduch.

Żyd, nie zmieniając swej uprzejmej postawy, ciągnął dalej:

— Mówiłem, że to skład, bo i pieca niema, a uni zapisali to na „mannschaftszimmer“ i obiecali przysłać piecyk żelazny i węgiel. Nu, obiecali, ale nie przysłali... To ci panowie, co tu byli, porozbijali wczoraj okna, drzwi i pojechali do Białej, może do Bielska, czy ja wiem? Na naszej ulicy wszystkie porządne kwatery pozajmowały szarżę z komendy placu i feldżandarmy, i te panie od ligawek, nu, pan wie? I zrobiło się jeszcze ciaśniej, jak przed wy-marszem...

Widząc zaś moją niezdecydowaną minę, mówił jeszcze:

— Nu, ja panu co powiem. Niech pan idzie do komendy placu, niech pan zamelduje, że to nie jest kwatera. Ja widzę, co pan jest chory, panu potrzebne łóżko, a ja mam tylko jeden alkierz i jeden, z przeproszeniem, tapczan.

Nie słuchałem dalszych wywodów szynkarza, bo i bez nich widziałem, że to nie jest kwatera. Zszedłem na dół, udając się zpowrotem do komendy placu.

Zastałem tam kilku żołnierzy z tornistrami na plecach, a dyżurny podoficer zbył mnie opryskliwie, gdym mu jął przekładać, że kwatera jest niemożliwa.

— Co to znaczy niemożliwa? Dla żołnierza niema nic niemożliwego! Innych kwater nie mamy, a w tej porządek się robi jutro. Dziś możecie spać z Żydami, czy Żydówką, nic mnie to nie obchodzi!

Widziałem, że nic nie wskóram. Wyszedłem na ulicę, gdzie zaraz znalazł się obok mnie jeden z legionistów, meldujących się na górę:

— Co to, obywatelu, szukacie kwatery? No, to nie proście o nią w komendzie placu, bo tu, jak widzicie, jest bałagan, kapral rządzi. Ja wam dam swoją kartę, której umyślnie temu jabłonkowcowi nie oddałem, żeby tam jakiego kanarka nie wsadził. A kwatera — pierwsza klasa! Wprawdzie daleko, bo za przejazdem kolejowym, i zimno tam jak w psiarni, ale jest pierzynka na łóżku i dziewczynka za ścianą, a do towarzystwa legun, który tu zostaje jeszcze, jako chory. Nie dogadacie się z nim, bo to Madziar, ale po niemiecku mówi, a chłopak morowy. Macie tu bilet i walcie, jak do własnej chałupy. Cześć!

Podziękowałem uprzejmemu towarzyszowi, który miał już dokument podróży w kieszeni i śpieszył na dworzec, i ruszyłem za miasto, bo nowa kwatera, jak mnie objaśniono, oddalona była o dwa kilometry. Piekło mnie nieopatrzone tego dnia ramię i zmęczyło dłuższe chodzenie. Dotarłem jednak do schludnego domku na przedmieściu, w którym miałem znaleźć pierzynę, dziewczynę i owego Madziara.

Mój legun nie przesadził w niczem. Gospodarze domku, para śmiesznych staruszków, którzy byli, jak się później okazało, handlarzami dewocjonalij, przyjęli mnie bardzo serdecznie, oddając zaraz do dyspozycji pokój, w którym były dwa łóżka, nakryte pierzynami i stosem poduszek.

Pokój ten należał do syna kramarzy, powołanego do armji austriackiej, i od szeregu dni gościł legionistów, zmieniających się na tej kwaterze często z powodu zbyt- niego oddalenia od miasta. Uprzedzono mnie, że w pokoju jest zimno, bo w mieście brakuje węgla, zaś gospodarze sami posiadają dla siebie zapas niewielki, ledwie wystarczający do ugotowania dziennej strawy. Wywnioskowawszy z tego, że kwaterodawcy moi są ludźmi ubogimi, nie przyjąłem ich zaproszenia na kolację, prosząc tylko o odgrzanie konserwy mięsnej i ugotowanie kawy. Mia-

łem w swym plecaku mały zapas prowiantu, w który zaopatrzyłem się przed opuszczeniem oddziału.

Przyniosła mi kolację fertyczna Rózia, jakaś krewna gospodarzy, wprost do łóżka, w którym czułem się bardzo wygodnie. Ona też pomogła mi przewinąć zranione ramię, okazując przy tej czynności dużo wprawy. Gdy wyraziłem swoje zdziwienie z tego powodu, wyjaśniła mnie ze śmiechem, że prawie wszyscy legjoniści, tu kwaterujący, mieli coś do czynienia z bandażami i uciekali się zwykle do jej pomocy. Mówiła też, że chętnie zostałaby sanitariuszką, tylko jej opiekunów żał porzucić.

Wkrótce nadszedł mój sublokator Madziar, który od prowadzał na dworzec odjeżdżających kolegów.

Młody, siedemnastoletni chłopiec, o czystym węgierskim typie, choć niemieckiem nazwisku, znał już kilkadziesiąt wyrazów polskich, któremi zręcznie operował, pomagając sobie w miejscach trudniejszych żywą gestykulacją i niemieckimi zwrotami. Przy mej słabej znajomości niemieckiego doszliśmy do jakiegoś takiego porozumienia.

Dowiedziałem się więc, że towarzysz mój nazywa się Henryk Weber i że jako uczeń gimnazjalny studjował z zamiłowaniem historję wojny austriacko-węgierskiej, zwłaszcza zastanowił go wybitny w niej udział Polaków z generałem Bemem na czele. To go skłoniło do zapoznania się z historją Polski i do przyswojenia sobie pewnych wiadomości o naszej kulturze duchowej.

Austrjaków nienawidził. Gdy się dowiedział o tem, że w Krakowie formuje się legion polski, porzucił bez namysłu dom rodzinny, pociągając za sobą kilku kolegów z szóstej i siódmej klasy, z którymi zameldował się po długich tarapatkach w dowództwie brygady, przywdziewając z dumą szarą maciejówkę. Był pod Łowczówkiem, a ślady odniesionej tam kontuzji nie pozwalały mu dzielić losu młodych kamratów, z czego zdawał się być mocno niezadowolony.

Zauważyłem odrazu, że Rózia umizga się do młodego wojaka wcale niedwuznacznie. On zaś doskonale sobie z nią daje radę we wszelkich okolicznościach przygodnego sam na sam z dziewczyną, jakie się później dość często zdarzały.

Tego wieczora byłem porządnie zmęczony, zadowolony się więc wymianą kilku zaledwie zdań z towarzyszem moim, wkrótce zasnąłem.

Rano wyruszyliśmy obaj do miasta na poszukiwanie kuchni i ambulatorjum, gdzieby nam nałożono świeże opatrunki.

Po długich dopytywaniach znaleźliśmy kuchnię polową w jakimś podwórzu, na którym tłoczyło się już kilkudziesięciu maruderów, klnących nowe porządki w komendzie z racji otrzymania tylko małych kawałeczków czerstwego chleba i chochelki czarnej cieczy, w niczem nie przypominającej owej słodkiej kawy konserwowej, którąśmy w pułku pić przywykli w dowolnej ilości.

Wymieniano nazwisko nowego komendanta placu, nie szczędząc mu siarczystych leguńskich epitetów.

— Kto z was widział Wilka w komendzie placu? — pytał któryś z żołnierzy w wymiętym i pozieleniałym w dezynfekcji szpitalnej austriackim płaszczu.

— Kto go tam widział! Wilka przecie ciągnie do lasu, nie do komendy. Zresztą, jest podobno tak gruby, że go żadne krzesło w lokalu komendy nie utrzyma. Zobaczymy go tam pewnie dopiero wtedy, gdy mu do gabinetu specjalne drzwi wybiją i specjalny tron ustawią.

— Ciekawym, jak się każe tytułować? — odezwał się ktoś zboku.

— No, obywatelom chyba nie, bo to przecie jabłonkowiec, z Wiednia przyjechał, odznak pono nie nosi żadnych.

— Obywatelu kucharzu, nie wiecie, jaką szarżę ma Wilk?

Ale wąsaty kucharz nie odrywał wzroku od rozłożonej na ziemi celty z piętrzącym się na niej stosem krajanego chleba, zaś jego usmolony pomocnik mieszał chochlą zawzięcie w głębi brudnego kotła, jakgdyby bojąc się, by mu się wodnista lura od spodu nie przypaliła. Obaj mieli marsowe miny i do pogawędki wielkiej chęci nie okazywali.

— Co tu z nimi gadać! — ozwał się do mnie półgębkiem siedzący na jakiejś porzuconej belce obywatel, który już zjadł był swoje skromne śniadanie i zapalał właśnie jednego z dwóch, otrzymanych przy fasunku chleba, papierosów. To wszystko Jabłonkowem pachnie i jednego djabła w zanadrzu nosi. Szlakby ich jasny trafił! Wylejcie tę lurę, obywatelu, i chodźmy do ambulatorjum, gdzie już wkrótce zaczną przyjmować.

Wiara poczyniała się rozchodzić pomału grupkami i w milczeniu, co świadczyło, że zły humor opanował nie tracących nigdy rezonu relutonów. Ruszyłem i ja ze swoim Madziarem i jeszcze kilku innymi, rozprawiającymi przy kuchni, żołnierzami. Utyskiwano na złe kwatery, informowano się wzajemnie o prywatnych mieszkaniach, które zaofiarowywali poczciwi mieszczanie, a nawet chłopie ze wsi, najbliższej Kęt położonych, którym o to spokoju nie dawały niewiasty, nie mogące się pogodzić z pustką w sercach i mieszkaniach po opuszczeniu ich przez legionistów, którzy wyjechali na front.

Ambulatorjum znajdowało się na rynku, niedaleko od komendy placu, mieszcząc się w dwóch ciasnych poikach jakiegoś urzędu magistrackiego.

Na korytarzu i na ulicy przed domem tłoczyli się legjoniści, między którymi było kilku, którzy dopiero co przyjechali z Piszczan. Ogromnie żalowali, że nie zastali już w Kętach swoich oddziałów, do których śpieszyli, nie bacząc na dolegający im jeszcze reumatyzm w stawach. W pokoju przyjąć urzędował już lekarz, dr Koźniewski, a wychodzący od niego chorzy mieli kwaśne miny z racji

przeznaczenia ich do miejscowego szpitala dla dokończenia kuracji. Nie ukrywali swego niezadowolenia, utyskując z tego powodu na doktora.

— Ależ to warjat! — mówili. — Krzyczy, wrzeszczy, nogami tupie... Mnie mało nogi nie urwał!

Nagle z za węgła ulicy ukazała się wysoka, koścista postać oficera austriackiego w wysokiem czarnem czaku na głowie i szpicrutą w ręku. Zajęci rozmową legjoniści nie zauważyli jego nadejścia, zajmując całą szerokość chodnika. Kilku stojących oddzielnie zaszalutowało odniechęcenia. Oficer zbliżył się szybko do rozmawiających, kilku popchnął brutalnie i wrzasnął:

— Habt acht!

Zdezorientowane towarzystwo rozleciało się w okamgnieniu. Niektórzy poznali w oficerze pułkownika, miejscowego dowódcę szpitala i komendanta garnizonu, i stanęli na baczność. Większość jednak patrzyła nań, jak na napastnika, nie oddając honorów.

Pułkownik wpadł w wściekłość, a przyskakując do jednego z żołnierzy, stojącego blisko drzwi z rękoma, ukrytymi w kieszeniach płaszcza, wznosił nad jego głowę szpicrutę, drąc się wniebogłosy — raz po niemiecku, to znów po polsku:

— Die dumme Bande! Habt acht! — Roszczelacz! Roszczelacz!

Legun ani drgnął, spoglądając beczelnie prosto w rozindyczoną twarz irytującego się Austriaka. Gdy ten opuścił szpicrutę ku ziemi i usiłował uchwycić go za kołnierz, wywinął się zręcznie ze słowami:

— Odczep się, safandulo zatabaczona! Czego chcesz ode mnie!

Oniemiały „oberst“ zwrócił się po chwili zdumienia do reszty żołnierzy, pytając ich po niemiecku, co napastowany powiedział. Lecz chóralny śmiech legjonistów był mu

jedyną odpowiedzią, to też pan „oberst“ uważał za właściwsze wziąć nogi za pas, kierując się w stronę komendy placu.

Wśląd za nim goniły śmiechy i drwinki rozbawionej wiary:

— *Knaj, knaj, trepie zatracony!*

— Patrzcie, jaki dziadyga, honorów mu się zachciewał!

— Piernik austriacki!!

„Piernik“ tymczasem przeskakiwał po dwa schody w komendzie placu, mimo swego tabesu w nogach.

— Poszedł się do Wilka skarżyć! — zakonkludowała wiara.

I, jak to zwykle bywa w chwili niebezpieczeństwa, zjawił się przywódca, który miał wszystkich nas wybawić z czekającej opresji. Był to ten sam legun w zzieleniałym płaszczu, co się przy kuchni o Wilka pytał. Pierwszym jego czynem było odciągnięcie na bok leguna, który się postawił pułkownikowi, i szepnięcie mu do ucha kilku słów. Legun wnet znikł jak kamfora. Wtedy zzieleniały płaszcz objął nad nami komendę.

— Słuchajcie, wiara! Zaraz tu zobaczymy Wilka z karnarkami. Jabłonkowiec to, ale przy Austriaku posłuch mieć musi. Więc pamiętajcie walić w dach, gdy się zjawi, żeby sztympu nie było. — Uwaga, obywatele, już idą!

Jakoż z bramy komendy placu ukazał się gestykulujący żywo komendant garnizonu, za nim zaś wytoczyła się grupa przysadzista figura z czerwoną twarzą, przyodziana w mundur legjonowy z czerwonym jedwabnym sznurowadłem, oznaczającym szarżę oficerską. Ztyłu postępowało dwóch żołnierzy z warty przy komendzie placu z „widelcami“ na karabinach.

Gdy grupa ta przybliżyła się do nas na odległość dziesięciu kroków — zzieleniały płaszcz wrzasnął przeraźliwie: „bacność!“ i stanął w wyprężonej postawie, reszta ustawiła się rzędem pod ścianą, salutując.



...knaj, knaj, trepie zatracony !...

Grubas podchodził do nas wolno, usiłując przybrać na swej twarzy dostojny wyraz. Nie oddając ukłonu, zwrócił się do zzieleniałego płaszcza z zapytaniem:

— Co tu za awantury? Kto obraził pana pułkownika? Zagadnięty udał zdziwionego.

— Pana pułkownika? Melduję posłusznie — nikt. To pan pułkownik żartował sobie z nami i brał któregoś za ucho.

Komendant Wilk zwrócił swój pytający wzrok na pułkownika, któremu twarz drgała nerwowo ledwo powstrzymanym gniewem. Nie rozumiał on polskiego meldunku, ale czuł, że go usiłują wyprowadzić w pole. Zaszwargotał coś po niemiecku, spoglądając bystrym i wiercącym okiem po nas, stojących wciąż „na bacność”.

Wilk znowu się zwrócił do zzieleniałego płaszcza:

— A czegoście się śmieli?

Reluton nie stracił rezonu.

— Z uciechy, obywatelu komendancie! Przypomniały nam się czasy szkolne, kiedy to, gdy ktoś dostawał za uszy, cała klasa się cieszyła.

Komendant się nachmurzył, a po chwili zapytał, siląc się na spokój:

— A gdzie jest ten, który dostał za uszy od pana pułkownika?

— Nie widzę go, obywatelu komendancie! Ale proszę podać komendę „spocznij”, to go w mig odnajdę.

Tu się już Wilk spostrzegł, że trzyma nas dłuższą chwilę na bacność, skinął tedy ręką relutonowi, który natychmiast znikł w drzwiach ambulatorjum, zaś komendant placu zaczął perorować:

— Pan Piłsudski zanadto was rozpuścił, ale ja tu z was zrobię wojsko, co potrafi uszanować szarżę. To sobie zapamiętajcie, że nie jestem żaden obywatel, lecz komendant wasz, któremu należy się posłuch, zrozumiano? Macie do mnie mówić „panie majorze”, a kto się do tego zastosować

nie zechce, dla tego jest paka, szpangi i słupek. Zrozumiano? — zakończył groźnie, a pan „oberst“ w miarę podnoszenia się skali głosu mówcy rozjaśniał coraz bardziej swą pomarszczoną twarz i potakiwał głową, aż mu się trzęsło wysokie czarne czako nad głową:

— Also, gut! Sehr gut! Spangi, słupek... Ja, ja!

W tej chwili zzieleniały płaszcz stanął przed Wilkiem w postawie zasadniczej i zameldował siarczyście:

— Tego legionisty już niema. Poszedł do domu, obywał w telu komendancie!

— Panie majorze, trutniu jeden! — poprawił go komendant placu.

— Panie majorze, trutniu jeden! — powtórzył, jak echo, reluton, nie mrugnawszy okiem.

Tu żołnierze z warty parsknęli przyduszonym śmiechem, a tego już było dość i Wilkowi. Siny ze złości, przybliżył swą twarz do twarzy stojącego spokojnie żołnierza, zmitygował się nagle, zamruczał coś groźnie o szpangach i słupek i zwrócił się do stojącego z rozdzwioną gębą „obersta“, nie rozumiejącego znów nagłego Wilkowego uniesienia. Zamienił z nim parę niemieckich zdań, skinął na wartę i cała kawalkada oddaliła się z paradą. Gdy tylko zniknęła w czeluściach bramy komendy, wiara jęła się pokładać od śmiechu, obstąpiwszy ścisłem kołem franta w zzieleniałym płaszczu.

Ten zaś nie posiadał się z radości, że takiego figla wyplatał Wilkowi i że to mu uszło na sucho.

Wkrótce wybiegł sanitariusz i zawezwał nas do poczekalni, gdzie ustalił kolejkę przyjąć dwóch grup: jednej u „warjata“ Koźniewskiego, drugiej u medyka, załatwiającego lżejsze opatrunki, przyczem każdy z oczekujących musiał obnażyć tę część ciała, która wymagała zabiegu lekarskiego. W poczekalni było zimno, wiara szczekała zębami.

Mnie, na szczęście, wypadło iść pierwszemu, aby podać się nieprzyjemnej operacji wyciągania i zapychania gazy w przyschniętą ranę, której zresztą dokonał w możliwie delikatny sposób młody student medycyny Medyński, brat poległego pod Krzywopłotami podporucznika naszego baonu.

Podczas, gdy w malutkim pokoju przewijanie i opatrywanie chorych odbywało się przy pomocy sanitariuszy cicho, szybko i sprawnie, z sąsiedniego gabinetu profesora rozlegały się niecierpliwe uwagi i podniesiony ton głosu „warjata“. Dr Koźniewski bowiem, w gruncie człowiek pocziwy, lecz bardzo nerwowy, nie mógł zrozumieć psychiki żołnierza legjonowego, jego ambicji i przekory, nakazującej „wyklócać“ się z lekarzem, gdy ten orzekał o chorobie pacjenta w sposób dla tegoż z jego punktu widzenia niewygodny. Do Koźniewskiego zgłaszali się przeważnie różni uciekinierzy ze szpitali austriackich, domagający się uparcie odesłania na front z niezagojonymi jeszcze ranami. Byli i symulanci, wyzyskujący sprytnie „nastawienie“ lekarza w danej chwili, tak, że biedny profesor nie mógł się połapać w tem wszystkim i zastosować odpowiedniej metody postępowania. Uczynił to później, zostawszy ordynatorem słynnego „domu warjatów“, czyli ozdrowieńców legjonowych w Kamińsku. Szarpał się teraz i gniewał tem więcej, im bardziej był przekonany, że z tych jego krzyków nikt sobie absolutnie nic nie robi.

— Ot, warjat i tyle! — opinjował każdy legun, wychodząc z jego gabinetu.

Jednak był to kochany warjat, usiłujący powstrzymać nierozsądne, jego zdaniem, porywy i wyperswadować na swój sposób, żądającemu odesłania na front relutonowi, niedorzeczność tego żądania.

— Co, z taką nogą? Na front? Nie. Do szpitala! Tu zdechniecie, tu będziecie gnili, rozumiecie? Albo ja mam jakąś władzę, albo jej nie mam, jak wam się zdaje?

I legun, choć w duchu przyznawał słuszość lekarzowi, przekomarzał się z nim, aby tylko wyprowadzić „warjata“ z równowagi.

I niewiadomo, kto bardziej czuł się zmaltretowanym po tym wysiłku uczynienia sobie wzajemnie na złość: doktor, czy miętoszący w rękę kartę szpitalną, żołnierz, nie mogący często obyć się bez łaski, a którego na front nie puszczono?

Nie można powiedzieć, aby pobyt w szpitalu, zwłaszcza w Kętach, miał być dla chorych jakąś udręką.

Wszyscy mówili, że w szpitalu jest dobrze, jedzenie smaczne, siostry miłutkie.

Tylko ta tęsknota za pułkiem, za nowymi wrażeniami i specjalnie serdeczną atmosferą macierzystego oddziału sprawiała, że legun wołał perspektywę wszy i wszelakich niewygód, niż miękkie łóża szpitalne wraz z dietycznymi dodatkami i przymusem leżenia. Bezczynność bowiem i wszelki przymus, nie wynikający z konieczności dobrze zrozumianego podporządkowania się rozkazowi, fatalnie oddziaływały na młode, bujne charaktery tych, dla których czyn nie był nigdy abstrakcją, lecz naturalną potrzebą wyładowania w pewnym kierunku nadmiaru energii duchowej i twórczej.

To też austriackie metody postępowania, jakie stosował komendant Wilk, otaczający się żandarmami i oddanymi sobie, mianowanymi bezprawnie przez siebie, podoficerami, nie odnosiły żadnego skutku.

Wiara „zadekowała“ się w okolicznych wsiach tak, że najsprytniejszy żandarm nie mógł ustalić faktycznego stanu rzeczy i zebrać łazików do kupy.

Po żołd bowiem mało kto się zgłaszał, w obawie szykan ze strony Komendy. Biorący obiad w kuchni polowej, do których należeliśmy obaj z Madziarem, wprowadzili figurowali w rejestrze kucharzy, ale ci ostatni wykorzystywali

nieporządek ewidencyjny, wykazywali zwykle większy stan liczebny ludzi, aby przywłaszczyć sobie nadwyżkę fasunków.

Niesposób było uzgodnić list, nie umiano prowadzić ksiąg, o co komendant Wilk nie dbał i na co nie miał czasu, zużywając go bardzo wiele na „reprezentacje“ i przejażdżki autem.

Dawną gospodę legionową przeistoczono w kasyno podoficerskie, z którego korzystał jednak tylko personel komendy placu.

Służbę wartowniczą zorganizowano ad hoc z nowoprzybywających żołnierzy, dla których zarekwirowano w śródmieściu kilka zbiorowych kwater, przestrzegając w nich surowo dyscypliny austriackiej.

O ćwiczeniach nikt nie myślał, były natomiast dla łazików pisane rozkazy, rozklejane przed Komendą i po rogach ulic. Czytał je, kto chciał i stosował się do nich także, kto chciał.

Wszelkie zbiórki były z reguły ignorowane, odkąd się przekonano, że służyły one tylko poto, aby chwycić naiwnych, pozostających na prywatnych kwaterach i pakować ich do kozy. Bo przy organizowaniu garnizonu w Kętach nie zapomniano przede wszystkim o tej pierwszorzędnej instytucji i „paka“ istniała wraz z etatowym profosem, rutynowanym byłym kapralem austriackim, który teraz awansował na sierżanta.

Choć byłem chorym, zwolnionym od wszelkich zbiorów i wart, choć posiadałem legalnie wydaną przez komendę placu kartę kwaterunkową, nie ominęła mnie też „paka“, jako jedna z nieodłącznych przyjemności służby wojskowej na tyłach.

A było to tak.

W końcu lutego nastały silne mrozy i obydwaj z Maziarem szczękaliśmy zębami na naszej nieopalanej kwaterze. Ponieważ inne kwatery otrzymywały węgiel, do

radzono mi, abym się o takowy upomniał w komendzie placu. Udałem się tam i, o ukarana naiwności! Zostałem z miejsca przez urzędującego tam plutonowego przedstawiony do raportu u samego „majora“ Wilka.

— Trzy dni paki! — zawyrokował tenże bezapelacyjnie, nie chcąc słuchać żadnych wyjaśnień, ponieważ przy nazwisku mojem figurował inny adres, o czem nic nie wiedziałem.

Odprowadzony z paradą „pod widelcem“ do ustronnego budyneczku za magistratem, gdzie się mieściła paka, zostałem dość uprzejmie przyjęty przez urzędującego tu stale profosa i z wielką ostentacją wpuszczony do celi, gdzie zastałem kilku lokatorów, ciągnących najspokojniej „oko“ na jednej z gołych prycz, ustawionych rzędem pod wilgotną ścianą.

Odpowiedziano obojętnie na moje pozdrowienie, nie przerywając gry. Usiadłem tedy skromnie na brzegu pryczy, rozglądając się ciekawie dokoła. W celi było bardzo czysto i ciepło. Byłoby tu nawet przytulnie, gdyby nie gołe deski prycz, pachnące surową żywicą, gdyby nie gęsto zakratowane okienko w grubym murze i żelazną blachą obite drzwi z kroplami rudej wilgoci, zastygłej na zardzewiałych gwoździach.

Wiara ciągnęła „oko“, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, drobne miedziaki i nikłowe szóstki przechodziły z rąk do rąk roznamiętnionych graczy. Przypatrywałem się bezmyślnie tej grze i było mi niewypowiedzianie smutno.

Nagle drzwi się otwarły z trzaskiem i dwaj żołnierze z warty wniesli do celi obiad w kociołku, a tuż za nimi profos z naręczem blaszanych menażek jał skrupulatnie odmierzać porcje zupy, chleb bowiem był wydawany przy porannej kawie.

Gracze na pierwszy zgrzyt otwieranych drzwi pochowywali momentalnie karty i wygrane drobniaki, interesując

się teraz z kolei rzeczy jedzeniem. Każdy przytem miał jakiś interes do wartowników lub do profosa. Wnętrze paki wypełnił gwar, z którego mogłem wywnioskować, że pobyt tutaj nie należy znów do rzeczy arcynieprzyjemnych. Kpiono sobie z Wilka, nie wyłączając samego profosa, przyjmującego listy, pisane na kartkach, wydartych z notesu, nie wiedzieć do kogo adresowanych.

Po obiedzie, gdy asysta się wyniosła, zakurzano fasowane w tym dniu „sporty“, a jeden z lokatorów, w którym poznałem franta w zzieleniałym płaszczu, wyciągnął się całą długością swego ciała na twardych deskach i, puszczając w górę kłęby dymu, zamruczał:

— I powiedzcie tylko, obywatele, czy w pace jest źle? G... o dobrze! Gdyby tak Wilk wiedział, jaką fajną kwatere mamy, toby się obiecywane szpangi w pierwszym rzędzie naszemu profosowi dostały! Bo to i ciepło, i przytulnie, towarzystwo zacne, co się zowie. Ani jednego jabłonkowca! A obywatel skąd? — rzucił nagle na mnie podejrzliwym wzrokiem.

— Z szóstego baonu.

— Się wi! Też chłop z wiary, zaraz widać. Ja jestem fryzjer ze Lwowa, choć przy „oczku“ nie ja kogo, tylko mnie ogolili. Możebyśmy tak urządzili ferbelka dla odmiany?

Ale do tej gry zgłosili się tylko Galileusze, dwóch czy trzech Królewaków „kibicowało“, jeden zaś z nich przysiadł się do mnie, przedstawiając się jako Doudas, rodem ze Żmudzi. Miał też wygląd charta, spuszczonego ze smyczy, śpiewny litewski akcent mowy i najwięcej wygranych szóstek w kieszeni, zaś obok siebie plecak, porządnie wyładowany.

Aresztowany został w pociągu przez kanarków, którzy zakwestjonowali mu jego dokument podróży, będący zwykłą kartą wojskową. Dokument ten dowcipny Litwin okazywał nierozumiejącym po polsku żandarmom austriackim

kim, którzy zresztą w formacjach legjonowych nie orjentowali się dostatecznie, i odbył w ten sposób bezpłatne tournée po cesarsko-królewskiej monarchji, zwiedzając kolejno Pragę czeską, Budapeszt i Wiedeń.

W Wiedniu właśnie wpadł, wybierając się w dalszą drogę do Dalmacji, jako że „potrzebujący był“ cieplejszego klimatu, nie licząc się z tem, że w Wiedniu znajduje się stacja zborna Legjonów i rodzimych leguńskich „kanarków“. Nie pomogły tłumaczenia o szukaniu regimentu, został odstawiony z „anzeigą“ do Kęt, tu otrzymał 14 dni paki, z których połowę już odsiedział. Był zatem wśród obecnych w celi lokatorem najstarszym, reszta bowiem — to przeważnie trzydniówki za samowolne zmienianie kwater.

Oświadczył mi zaraz na wstępie rozmowy, że jest artystą—rzeźbiarzem, że oprócz tego, jako pochodzący z Litwy „śpiewnej a rzewnej“, pisuje też wiersze. Nie omieszkiał się również pochwalić, jakie bliskie stosunki łączą go z Komendantem i Jego rodziną, odgrażał się przytem straszliwie za to, że go zdegradowano.

Wogóle typ ten uczynił na mnie wrażenie niebieskiego ptaszka, który, mimo swego młodego wieku, z niejednego, jak to mówią, pieca chleb jadł.

Gdy się raz rozgadał, już mu się gęba nie zamykała. Znalazszy zaś we mnie wyrozumiałego słuchacza, zanudzał mnie niemożliwie, wymyślając niestworzone historie, wysnute ze swej bogatej, bądź co bądź, fantazji. Wreszcie sięgnął do swego olbrzymiego plecaka i, wydobywszy stamtąd gruby zeszyt, jął mi odczytywać na głos swoje poezje, choć hałaśliwe zachowanie się graczy u naszego boku nie pozwalało bynajmniej na pogrążanie się w jakiejś kontemplacji duchowej.

Były tam przeważnie plagjaty, przeróbki z autorów Młodej Polski dość nieudolne. Niezłe parodje i kuplety,

z których jeden szczególnie utkwił mi w pamięci, jako że został z wielkiem przejęciem przez jego twórcę odśpiewany i kilkakrotnie, na żądanie oderwanego na chwilę od kart audytorjum, z całą naiwnością powtórzony:

„Cicho, sza!
„Aeroplan robi fa!
„Aeroplan
„do góry leci sam.
„Czy wiesz ty, moja luba,
„co to jest śruba,
„ani za cienka,
„ani za długa?
„Cicho, sza i t. d.

Dalszego ciągu nie pamiętam, wiem tylko, że koniec kuletu był godny jego początku.

Patrzyłem z podziwem na „śpiwnego i rzewnego“ Liśtwina, a równocześnie w głowie dźwięczały mi „rymy“ rosyjskich dworaków, usiłujących, za przykładem naszego Molskiego, tworzyć ody w rodzaju:

„Impieratrica Katierina o,
„pojechała w Carskoje Sieło...

Pochwaliłem jednak utwór, uznając go za oryginalność tej epoki, w której próbowano tworzyć rymy w środku wyrazu. Zacytowałem też z całą powagą: rymy ks. Baki:

„Jak srogo lew ogo = nem rusza,
„aż w krzaku podskaku = je dusza
ze strachu.

Skutek mojej erudycji był natychmiastowy, bowiem Doudas podzielił się ze mną skrupulatnie zamówioną przez siebie na kolację kielbasą, którą przynieśli wartownicy wraz z wieczorną kawą. Po kawie wniesiono sienniki, wy-

pełnione drzewnymi wiórami i po jednym kocu na każdego lokatora. Moja obawa spania na gołych deskach okazała się płonna, a gniewne oblicze komendanta Wilka wydało mi się w miarę zasypiania coraz to promienniejsze.

Wprawdzie węgla nie dał, ale stworzył mi warunki cokolwiek lepsze od dzwonięcia zębami przy rozbieraniu się i włożeniu pod zimną jak lód pierzynę na nieopalonej kwaterze. Miałem też sposobność przebywania przez kilkanaście godzin zrzędu w klubie towarzyskim i salonie literackim, wprawdzie jako uczestnik bierny, lecz zadowolony.

Przy tem filozofowaniu zasnąłem twardo i zbudziłem się dopiero na głos profosa, który przyszedł w asyście wartę zabierać koce i sienniki na dzienny spoczynek poza obrębem celi.

Byłbym może w głębokim spokoju ducha i błogim bezruchu ciała spędził owe wyznaczone trzy dni w pace, gdyby nie konieczność pójścia na opatrunek do ambulatorjum, o czem nie omieszkalem zameldować profosowi. Surowy cerber długo się namyślał, czy nie przekroczy swych kompetencji, ale po okazaniu mu przeze mnie zabandażowanego ramienia, zdecydował ze spokojnem sumieniem, że do lekarza pójde, ale pod eskortą. Ruszyłem więc na świeże powietrze w asyście głupawego anioła-stróża z bagnetem na ostro, który, odebrawszy ode mnie kartę ambulatorijną, zapukał wprost do gabinetu profesora Koźniewskiego, nie czekając na kolejkę i nie słuchając mojej uwagi, że to nie te drzwi.

— Co tam? — zaskrzeczał niecierpliwy głos „warjata“, obsłuchującego właśnie jakiegoś pacjenta. — Nie możecie zaczekać?

— A bo to, melduję posłusznie, z aresztu.

— Co z aresztu? Kto z aresztu? Wy z aresztu? Idźcie do cholery! Zaczekać!

Ukryty przezornie za plecami swej eskorty, nie posiadłem się z radości, widząc, że zanosi się na awanturę. Po chwili zatrzaśnięte silnie drzwi uchyliły się i profesor w białym fartuchu, wypuściwszy zbadanego już pacjenta, skinął na żołnierza.

— Kogo tam macie? A, to wy? Rozbierać się!

Wykonałem momentalnie rozkaz.

— Ależ to do opatrunku, nie do mnie! Kto wam tę kulę wyjmował? Śliczne cięcie! Za co siedzicie w pace?

Opowiedziałem krótko rzecz całą. Profesor marszczył się z niesmakiem, a gdym skończył, wybuchnął:

— Co, chory? Na zimnej kwaterze? I za to do paki? Hm!

Tu zwrócił się do eskortującego żołnierza:

— Schowajcie swój bagnet do pochwy i możecie odejść. Chory zostanie na kwaterze i ma dostać węgiel. Albo, nie. Zaczekajcie.

Sięgnął po kartkę papieru i skreślił na niej kilka słów.

— Odnieście to do komendy, ale zaraz. Marsz! A wy do opatrunku!

Stuknąłem obcasami, narzuciłem bluzę i udałem się do pokoju opatrunkowego, gdzie Medyński gmerał mi w ranie dłużej niż zwykle, rozpytując się o szczegóły mego pobytu u profesora.

Wziąłem obiad w kuchni polowej i wróciłem na kwaterę, dokąd wieczorem tegoż dnia przywieziono z komendy całe pół centnara węgla.

Dr Koźniewski pokazał, że ma władzę!

Mrozy wkrótce ustaly, pierwszy podmuch wiosenny zażylenił pola i osuszył szosę, moja rana poczęła się zblizniać.

Nie chodziłem już na opatrunki, wałęsając się z Madziarem po Kętach i okolicy i zawierając znajomości z dziewczynkami. Chodziłem też nad rzekę Białą oglądać wzo-

rowo prowadzone plantacje wierzby koszykarskiej, wycinanej teraz właśnie dla obłuskiwania z kory i tworzenia wiązek, przeznaczonych na eksport.

Myślałem przytem o naszych nadwiślańskich piachach i mazowieckich wydmuchach, gdzie kultura jeszcze nie zajrzała i gdzie leżą odłogiem ogromne obszary nieużytków.

Podziwiałem skrzętność, czystość i pracowitość ludu śląskiego, zaglądałem też do chat. Tam miałem sposobność stwierdzenia wielkich zasług galicyjskiego Tow. Szkoły Ludowej w dziele podtrzymywania tu zagrożonej obcym zalewem polskości. Wydawnictwa tej pożytecznej instytucji spotykały się przechowywane z pietyzmem po wsiach obok książki do nabożeństw i świętego różańca. Nie spotkałem ani jednej dziewczyny czy wyrostka, którzyby nie znali trylogji Sienkiewicza lub któregoś ze znanych utworów naszych wieszczów narodowych. To też uświadomienie narodowe, oprócz niemieckiego Bielska, było tu wielkie, a stosunek ludności do legionistów bardzo serdeczny. Wszakże ziemia śląska posłała do szeregów legionowych niejednego ze swych dzielnych synów!

Na tych wycieczkach dni mijały szybko. Nastął ciepły i pogodny marzec.

Pewnego dnia, idąc, jak zwykle, po obiad, spostrzegłem zbite grupki legunów, odczytujących świeży rozkaz komendanta Wilka z zainteresowaniem takim, jakiego przedtem nie było. Podszedłem i ja.

Rozkaz wzywał wszystkich bez wyjątku legionistów, przebywających w Kętach i okolicy, na gremjalną zbiórkę na błoniach nazajutrz, celem wydzielenia marszówki na front do brygady.

Ucieszyłem się niezmiernie, równie jak wszyscy, którzy rozkaz ten czytali. Postanowiłem pożegnać Kęty, bo słońeczko mocno przygrzewało, a ledwie zabliźniona rana dokuczała tylko czasami, głównie z powodu zimna.

Podzieliłem się tą wiadomością z Madziarem, który jednak oświadczył mi, że poczeka do drugiej marszówki, bo teraz jeszcze jest za zimno. Zdaje się jednak, że od natychmiastowej decyzji powstrzymywała mego młodego przyjaciela nie tyle wrażliwa na pogodę marcową krew południowca, co czarne ślepka Rózi, przysłuchującej się naszej rozmowie z widocznym na twarzy przestachem. Było mi to zresztą obojętne... Począłem przygotowywać się na jutrzejszą zbiórkę, czyszcząc buty i ubranie.

Od samego rana tłumy legionistów waliły na błonia, gdy przed komendę placu wytoczył się „pan major“ Wilk w suto szamerowanej bekieszy na doskonałym futrze i legjonowej rogatywce na głowie. Z tyłu wyglądał na szlagona. Usiłował dodać sobie dystynkcji i popularności, zaczepiał dobroduszenie bijących w dach żołnierzy, znajdował się bowiem w otoczeniu nieznanych mi oficerów, prawdopodobnie frontowych, bo niepokaznie wyglądających przy majestatycznej Wilkowej tuszy.

Na błoniach czekała już orkiestra. Wiara sama pilnowała porządku, ustawiając się w czworobok, środek którego zajęły panie i reprezentujący miasto urzędnicy. Odliczono czwórki, utworzono prowizoryczne oddziały z przygodnymi dowódcami na czele.

Na rozlanej twarzy Wilka widać było zdumienie, połączone z pewnem onieśmieniem. Biedak, nie miał pojęcia, jak wielkimi siłami dysponuje! Na zbiórkę bowiem stawili się wszyscy bez wyjątku: łaziki i dekownicy, którym sprzykrzyły się już babskie kiecki i dłuższe trwanie w bezczynności. Kręcił się też jak w ukropie, zbierając dane liczbowe od dowódców oddziałów, aby zdać dokładny raport dwom wyższym oficerom austriackim, stojącym na boku w towarzystwie tabetycznego pułkownika, dowódcy garnizonu.

Rozpoczęła się uroczysta msza połowa, a potem lustracja oddziałów przez sztab oficerów, przybyłych z Bielska.

Wywoływano ochotników, pragnących odejść na front. I tu nastąpiła konsternacja wśród oficerów. Marszówka obliczona była na 200 ludzi, tyle też zażądano karabinów i części wyekwipowania od Austriaków, zaś ochotników wystąpiło przeszło czterystu! Tylko garstka poważnie chorych i personel komendy placu pozostały na uboczu.

Trzeba było zredukować chętnych o połowę.

Selekcji miał dokonać dr Koźniewski, wybierając tylko zupełnie zdrowych do odejścia w pole. To też przez cały dzień następny biedny „warjat“ pracował w pocie czoła. Ochrypl od krzyku, zaślinił sobie brodę, wymiętosił na krochmalony obficie fartuch, ale puścić musiał do marszówki 240 ludzi.

Byłem w obawie, że mnie pozostawi jeszcze w Kętach, ale trafiłem akurat na chwilę, kiedy profesor był porządnie zmęczony przeprawą z moim poprzednikiem. Zapytał mnie już apatycznie, kiedy byłem ostatni raz u opatrunku i kazał sanitarjuszowi wydać kartkę do marszówki.

Przygotowania do wyjazdu trwały trzy dni. Robiono w tym czasie zbiórki według przynależności bataljonowej. Z szóstego baonu było nas około czterdziestu, w tem dwóch oficerów, trzech czy czterech sierżantów i tyluż kaprali, których nazwisk nie pamiętam.

Niepodobna było ustalić przynależności Doudasa, który wkońcu, odsyłany od oddziału do oddziału, przystał do nas, czepiając się mnie, jak rzep psiego ogona.

Po dokładnem zapisaniu wszystkich przez dowodzącą szarżę, udaliśmy się do austriackiego magazynu, odległego o 6 km drogi od Kęt, po fasunek. Otrzymaliśmy broń, ciepły ekwipunek, chleb i konserwy na dwa dni. Wróciliśmy ze śpiewem do Kęt już późnym wieczorem.

Spędziwszy ostatnią noc na swej kwaterze, pożegnałem raniutko gospodarzy i, odprowadzany przez Webera, udałem się w pełnym rynsztunku na zbiórkę.

Po wypiciu kawy na rynku, odmaszerowaliśmy z orkiestrą na dworzec wraz z towarzyszącym nam tłumem cywilnych znajomych, głównie kobiet i młodzieży.

Na dworcu czekał już na bocznej linii pociąg z szeregiem wagonów „8 Pferd oder 40 Mann“, w których zaczęto nas zaraz lokować partjami. Dla oficerów i szarż inspekcyjnych był osobny wagon trzeciej klasy. Wielu jednak ulokowało się razem z wiarą.

Jeszcze przez jakieś trzy godziny trwała swobodna komunikacja między wagonami a peronem dworca, na którym tkwiły barwne tłumy głównie odprowadzających nas kętczanek. Grała strażacka orkiestra, wiara w pociąg ryczała legionowe piosenki, od tyłu szmuglowali się do wozów przy pomocy towarzyszków broni ci, którzy nie uzyskali aprobaty lekarskiej na wyjazd w pole. Było gwarno i wesoło.

Wreszcie przeciągły gwizdek dał sygnał odjazdu. Przed samym gwizdkiem zdążyło jeszcze dopaść do pociągu kilku spóźnionych żołnierzy z pełnemi naręczami doniczkowych kwiatów, ginących w zieleni gałązek mirtu i bukszpanu. Ostatnie powiewanie chusteczek z peronu i pociąg zaczął się ślizgać po szynach nieznacznym, gadziniowym ruchem.

W tej samej chwili we wszystkich wagonach podniósł się niesłychany wrzask. Spojrzałem zdumiony w stronę dworca i dostrzegłem Wilka, który teraz dopiero wyszedł na peron.

Różne okrzyki wzmagaly się w miarę oddalania się pociągu, świadcząc wymownie o „sympatji“, jaką sobie zyskał pewien człowiek tylko dlatego, że został postawiony na niewłaściwym miejscu.

Na szczęście, Austriacy, których również było sporo na peronie, nie domyślali się niczego, a okrzyki brano za gwałtowną owację.

Wiara, straciwszy wreszcie obiekt z oczu, uspokoiła się odrazu i wraz z miarowym stukotem kół pociągu po-
płynęła hen, ku śląskim polom, wesola, beztroska pieśń
żołnierska:

„Oj da, oj da dana, kompanjo kochana!

„Niemasz to, jak nasza, nie!

* * *

Pociąg włókł się niemożliwie, wystając całemi godzinami na małych stacjach i to zwykle w takiej odległości od dworca, że wybieganie z wagonów było połączone z ryzykiem pozostania w szczerem polu, gdyż służba kolejowa stale powtarzała na każdym przystanku: „Ruszamy za pięć minut“.

Tak minęliśmy Kraków, dotarłszy późno w nocy do Szczakowej, skąd już do Granicy prawie że ręką sięgnąć. A że większość transportu stanowili Królewiaczy, emocja była zrozumiała, zwłaszcza że niektórzy szykowali się, mówiąc językiem salonowym, do wyniesienia się z wagonu po angielsku na którejs z stacji, blisko miejsca rodzinnej położonej, czyli, mówiąc po leguńsku, zdradzali wyraźne zamiary czmychnięcia na polski urlop.

Niewielu, bo kilku zaledwie, zamiary te zrealizowało, inni zadowolnili się tęsknem wypatrywaniem w ciemności jakiejś znajomej sylwetki lub łowieniem uchem niewyraźnych dźwięków, wśród których zdało się im słyszeć czasami coś bliskiego i bardzo drogiego.

Korzystając z ruchliwości towarzyszy swoich, urządziłem sobie tuż za Krakowem dość wygodne legowisko na deskach przy ścianie wagonu i zasnąłem, zbudziwszy się tylko na chwilę w Szczakowej, aby zasnąć zpowrotem.

Późnym już rankiem, gdzieś pod Wolbromiem się ocknąłem, gdy wiara zaczęła ryczeć „Hanisię“.

Zająłem zaraz opróżnione miejsce w otwartych na przestrzał drzwiach wozu, siadając za przykładem innych na podłodze, a nogami, spuszczonei nazewnątrz, balansując w powietrzu.

Powiewał wiaterek, przesycony sadzą dymiącego parowozu. Na zboczach toru leżały brudne kłapcie pozostałego jeszcze gdzie niegdzie w zagłębieniach śniegu. Przed oczyma migwały połacie żyznych pól miechowskich, okryte już zieleniejącą runią zbóż, przetykane od czasu do czasu wijącym się węzłem czarnej, błotnistej drogi, odgrodzonej od toru białą malowanemi słupkami.

Pochłaniałem chciwie wzrokiem znajome krajobrazy i było mi nad wyraz przyjemnie, że jadę oto wśród tych samych pól, gdzie jeszcze rok temu, mijając gęste w tej okolicy mogiły powstańcze, mogłem zaledwie śnić swój sen o odwecie.

Nigdzie już ani śladu Moskala. Stacje kolejowe załadowane kłębami kolczastego drutu i technicznym materiałem wojennym. Tylko ogromna ilość kolejek wąskotorowych, biegnących to równolegle do naszego pociągu, to przecinających tor w rozmaitych kierunkach, kazała przypuszczać, że okupanci nie tracą czasu i, mimo bliskości linii bojowej, eksploatują tę bogatą część kraju sposobem dorywczym, rabunkowym.

Śladów okopów nigdzie jeszcze nie widać, choć w niektórych miejscach sterczą w długim szeregu ustawione kozły kolczastego drutu.

Dojeżdżamy wreszcie do Jędrzejowa. Tu kres naszej podróży koleją, resztę drogi trzeba odbyć pieszo. Wyładowaliśmy się z pociągu sprawnie i szybko, ustawivszy się wzdłuż opustoszałych wagonów w podwójne szeregi do apelu.

Pomimo zniknięcia kilku żołnierzy po drodze, apel wykazał 260 ludzi, a więc o 20 za dużo. Byli to ci, którzy wcisnęli się do nas ukradkiem przy wyjeździe z Kęt.

Odróżnić ich można było po tem, że nie posiadali karabinów, mniemając słusznie, że na pozycji o broń nietrudno. Oficerowie, jadący z nami, byli wyraźnie zadowoleni z tego przybytku i wytargowali dla całego transportu od Austriaków na dworcu śniadanie, pomimo tego, żeśmy byli zaprowjantowani na drogę.

Po wypiciu kawy ruszyliśmy przez miasteczko do Mierzwina, gdzie znajdował się sztab brygady.

Na jędrzejowskim rynku urządzono mały postój celem zaopatrzenia się w papierosy i różne drobiazgi. I tu znać już było porządki okupacyjne: szyldy polskie i schludnie utrzymane domy, przynajmniej nazewnątrz, robiły dość sympatyczne wrażenie. Poza tem jakaś przygnębiająca cisza, pustka. Trochę wałęsających się Żydków w brudnych, wyświechtanych chałatach, których nawet przymusowa łaźnia nie odczyściła z narosłej latami skorupy brudu i odziedziczonego po przodkach niechlujstwa, kilku łyczków, przyjaźnie zagadujących, i drobny, gęsty, przenikliwie chłodny deszcz — oto, co nas spotkało w Jędrzejowie.

Powlekliśmy się po rozmięklej drodze do Mierzwina, rozciągając niemożliwie kolumnę w marszu. Wszyscy oficerowie, zebrani w jedną grupę, podążali przodem, oglądając się i od czasu do czasu przystając.

Nie naglono zbytnio do pośpiechu, gdyż nogi grzęzły w lepkiem błocie, a podeszwy podkutych trzewików zsuwały się na brzegi oślizgłych ścieżek wraz z przyczepionym do nich ładunkiem, jakby miękkiego ciasta. W Mierzwinie zamarudziliśmy chwilę, stojąc na deszczu i wietrze, podczas gdy dowódcy nasi załatwiali formalności w komendzie brygady. Wreszcie zjawił się jeden z adjutantów i rozdzielił nasz transport ściśle według przynależności bataljonowej.

— Szósty baon zajmuje teraz pozycje koło Kwaskowa, a jedna kompanja znajduje się w rezerwie w Turze-Dolnym. Tam się zgłosicie i zameldujecie.

Ponieważ w grupie naszej nie było oficera, komendę objął sierżant Ciepeliowski i powiódł nas piaszczystą teraz drogą do owego Tura.

Deszcz przestał padać, ale iść było ciężko, a przed nami jeszcze mila opętana drogi! Maszerowaliśmy swobodnie w szyku rozluźnionym, gwarząc o tem, co nas oczekuje w okopach. Od taborytów w Mierzwinie dowiedzieliśmy się, że na linji bojowej teraz jest spokój, a nawet nasi chodzą do rosyjskich okopów bez broni, niby w sąsiedzkie odwiedziny, na pogwarkę z Moskalami.

Do wskazanej wsi dobrnęliśmy już o zmroku, bo nie znając dobrze drogi, okrążaliśmy niepotrzebnie las. Pomimo to, zastaliśmy już wyznaczone dla nas kwatery. Rozmieściliśmy się po kilku w chałupach dość dużej wsi, otrzymawszy do spania kilka wiązek czystej słomy i po konserwie „na ryło“. Śnać sprężysta organizacja wszystko to wporę przewidzieć i załatwić potrafiła.

Była tu w rezerwie 4-a kompanja naszego baonu, podczas gdy trzy pozostałe znajdowały się na odcinku Kwaszków — Pawłowice, odległym o cztery kilometry.

Przespawszy się przyzwoicie, otrzymaliśmy rano śniadanie z kuchni polowej 4-ej kompanji, poczem odwiedził nas jakiś sierżant i wręczył każdemu kartę prowiantową z przydziałem do poszczególnych kompanij.

Zdziwiłem się wielce, otrzymawszy przydział do 3-ciej kompanji, rozdzielający mnie ze starymi towarzyszami broni, do których przecie dążyłem i za którymi tak tęskniłem w Kętach! Sierżant, widząc moje rozczarowanie, jął mi tłumaczyć, że ten podział uskuteczniiono w sztabie brygady, dzieląc poprostu listę między poszczególne kompanje dla wyrównania ich nieproporcjonalnego stanu liczebnego.

— Powinniście być dumni z tego przydziału — dodał na zakończenie — boć to przecie kompanja Lisa, a kim jest por. Lis, tego chyba wam mówić nie potrzebuję.

Ale zdenerwowanie moje nie ustępowało, zwłaszcza gdy się dowiedziałem, że łażik Doudas ma przydział do 1-szej kompanji. Mój przydział!

Byłem zły i pozostałem wtyle za innymi, którzy, rozpytawszy się dokładnie gospodarzy o drogę do Kwaskowa, niezwłocznie tam podążyli, przysłuchując się z ciekawą uwagą bliskiemu pomrukowi dział.

Armaty grały od czasu do czasu, a dalekie i bliższe detonacje zlewały się z sobą w mglistem i ciężkiem powietrzu, które po wczorajszym deszczu znacznie się ochłodziło.

Szliśmy z początku brzegiem lasu, aż napotkaliśmy rów dobiegowy, prowadzący z linii bojowej do ziemianek, wykopanych w lesie. Tu już trzeba było mieć się na baczności, jak nas o tem pouczał sierżant Ciepielowski.

Nic jednakże nie zwiastowało tu jeszcze bliskiej obecności nieprzyjaciela. Las szumiał łagodnie, pachniało żywicą i jałowcem, przypominając chłopięce lata, gdy się to biegło do boru o tej porze, aby chłonać w siebie owe balsamiczne wonie po długich miesiącach zimowych, spędzanych w zaduchu szkolnym.

Rów, w którym zniknęli przede mną moi towarzysze, biegł prosto do okopów pod Kwaskowem, więc zabłądzić było niesposób, tem bardziej, że co kilkadziesiąt metrów na okrzesanych z gałęzi pniach sosnowych widniały przybite drewniane tabliczki z napisem, opatrzonym strzałką.

Wreszcie las pozostał poza mną. Rów stał się głębszy z ledwie widocznym nasypem od strony wschodniej, biegł zygzakowato przez kamieniste, pagórkowate pola, na których stratowana kopytami końskimi i tysiącem nóg ludzkich zielona ruń ozimin przebijała gdzie niegdzie, strzelając w górę w bardziej nasłonecznionych miejscach całemi kępami jasnozielonych żdzbeł, urągających, zda się, nieubłaganemu prawu wojny i trzymających się uparcie grudki

ziemi, ocalałej tu i ówdzie od gwałtu, zadanego zbożnej niwie w dniach ciężkich zmagañ i przemarszów jesiennych.

Nagle usłyszałem tuż nad uchem słaby pisk przelatującej kuli i mimowoli skłoniłem głowę, choć nasyp okopu dostatecznie ją zabezpieczał przed ewentualnymi niespodziankami ze strony zabłąkanych pocisków, wypuszczonych z tamtej strony Nidy zapewne tylko z nudów lub dla rozrywki.

— A jednak strzelają! — błysnęła mi myśl w głowie, jakgdyby komunikaty wojenne, głoszące spokój na tej linii, mogły utwierdzić w przekonaniu o odbywanej tu sielance, żadną atrakcją bojową niezamąconej.

Jeszcze chwila i ujrzałem u wylotu rowu na lewo chałupę, na prawo zaś okop, poprzecinany trawersami co kilka nacięć kroków.

Przy wejściu do okopów stał wartownik, który mnie objaśnił, że w chałupie spoczywają właśnie pierwsze dwie sekcje pierwszego plutonu, wypoczywającego po nocnej służbie na placówkach.

Postanowiłem powitać starych kamratów.

Rów dochodowy kończył się tuż przed tylnym wejściem do chaty i odsłaniał widok na część doliny Nidy, srebrzącej się teraz w blasku przebijającego się przez chmury porannego słońca.

Przekroczyłem wysoki próg i przez ciemną sionkę dostałem się do izby, w której leżało pokodem na słomie kilkanaście ciał, okrytych kocami i płaszczami. Na skrzyp otwieranych drzwi wysunęła się z pod koca rozkudłaczona ruda czupryna kaprała Lizdejki, czyli „różowego Czesia“, jak go delikatnie ze względu na barwę uwłosienia przezwano w plutonie, a równocześnie piskliwy jego głos oznajmiał już spoczywającym moje przybycie.

— Patrzcie, Popiel się zjawił! Serwus, łaziku, dajcie gęby!

I zaczął zaraz gramolić się z barłogu, a za nim budzili się i inni. Niektórzy klęli w półśnie Czeška, że im spać nie daje, lecz ocknąwszy się należycie i widząc mnie stojącego na środku izby w pełnym rynsztunku i z karabinem, wnet się pozrywali na nogi. Posypały się powitania i soczyste leguńskie epitety.

— Bodaj cię nagła krew zalała! A to niespodzianka! — wołali z podziwem bracia Rosołowscy, a obywatel Dziuk ciągnął za nogę wydmuchującego nosem powietrze Bąka, aby szedł do rzeki po wodę, bo na przyjęcie gościa kawę zgotować trzeba. Inni obłapiali mnie, niczem kochankę. Nie wiem, w jaki sposób odebrano mi karabin, ściągnięto plecak i posadzono na ławie pod oknem.

— No, opowiadaj, brachu, jak tam w hinterlandzie? Co słychać? Ponoć ligawki już nam wielkanocne „liebes-gabe“ szykują, co?

Syknąłem z bólu, bo mnie któryś palnął łapą w ledwo powleczone skórą ramię, podczas gdy inny w niemniej dotkliwy sposób macał po przyjacielsku przetrącone kulą żebra. Poradziłem im więc, aby zachowali przyzwoity dystans, przynajmniej dziesięć milimetrów, poczem jałem opowiadać o pobycie w Kętach, nie szczędząc Wilkowi dosadnych określeń, charakteryzujących jego stosunek do żołnierzy frontowych. Cośnieto już wiadano o tem w brygadzie, dziwiono się więc, że tak zasłużony w związkach strzeleckich oficer, okazał się nieodpowiednim na swem stanowisku.

— Komendantem rzeszowskiego strzelca był, Austriakom się narażał, a teraz szlagona udaje i po jabłonkowskiemu sobie poczyną! Ale Dziadek wnet z nim porządek zrobi, bo już wie o nim od oficerów, którzy przed wami przyjechali. Sam Enkaen z Zagórskim nie pomogą!

Tymczasem Bąk ugotował kawę konserwową, której tu było pod dostatkiem, pokrzepiłem się kęssem chleba i odgrzaną konserwą i jałem się zabierać do trzeciej kompanji.

Koledzy byli oburzeni tym przydziałem i obiecali pójść zaraz do kompanijnego, aby ten mnie od Lisa, jako prawowitą własność 1-szej kompanji, odebrał.

Do trzeciej kompanji było niedaleko.

Miałem po drodze sposobność podziwiania owych sławnych „blindaży“, czyli daszków nad okopami, będących w technice wojennej nowością. Blindaże te, sklejone z cienkich bali sosnowych i przysypane kilkucentymetrową warstwą ziemi, miały ochraniać głowy strzelców od pocisków szrapnelowych, w razie nieprzyjacielskiego ataku. Każda sekcja posiadała taką zbiorową strzelnicę. Pod daszkiem blindaży składano też karabiny, skrzynie z amunicją i granaty ręczne.

W przeciwnej ścianie okopu były wygrzebane nory, do których wchodziło się na czworakach tylko dla odpoczynku, były bowiem ciasne, duszne i wilgotne. Tylko oficerowie posiadali ziemianki z okienkami, drewnianymi pryzmami i imitacje stolików. Natomiast żelazne piecyki posiadały wszystkie schrony. Opał do nich nosiło się z pobliskiego lasu.

Kamieniste wzgórze naszego odcinka nie nadawało się do czynienia w jego głębi higienicznych mieszkań, zresztą nie posiadaliśmy jeszcze tej umiejętności budowania okopów, jaką nabyliśmy później, tworząc w 1916 roku tak przepiękne osiedle przyfrontowe, jakim było Legjonowo na Wołyniu. Narzędzi saperskich było mało lub ich zgoła brakowało, a zwykłą łopatką trudno było lity wapień wydłupywać z ziemi. To też okopy nad Nidą nie zasłaniały dostatecznie głowy normalnego strzelca, a idąc głównym rowem w stronę Pawłowic, trzeba było sunąć chyłkiem, bo kule karabinowe gwizdały coraz.

Szcześnie dla nas Moskale oszczędzali amunicji i strzelali z armat, chyba tylko dla pokazania, że je posiadają, i to przeważnie szrapnelami, przed którymi liche blindaże

stanowiły jednak jaką taką osłonę, podczas gdy jeden cięższy granat mógłby narobić szkody w ludziach niemało.

Nie mając jeszcze zbyt wielkiego doświadczenia bojowego, podziwiałem wszystko, com spotykał na swej drodze. Głównie uderzył mnie porządek, panujący w okopach. Chodnik główny był czysto wymieciony, karabiny, ustawione z precyzyjną dokładnością na stojakach, były czyste jak łąza, wejścia do ziemianek zabezpieczone od błota grubą warstwą gałązek sosnowych, słowem, wszędzie panował ład iście koszarowy.

Zatrzymywany po drodze przez kolegów z 1-szej kompanji, dotarłem do 3-ciej komp. dopiero po obiedzie.

Sierżant Wandycz, do którego mnie skierowano, po zaimmeldowaniu się mojem, nie czyniąc żadnych uwag z powodu mego spóźnienia się, oświadczył mi, że mnie zatrzymuje w swoim plutonie, który właśnie jest służbowym. Wskazał mi miejsce w ziemiance, gdzie złożyłem swój rynsztunek, i kazał wydać mi obiad, przechowany przezornie dla mnie w rezerwowem naczyniu. Ponieważ zupa już wystygła, odgrzałem ją sobie w piecyku, w którym palić można było we dnie tylko suchemi patykami, nie dającemi zbyt wiele dymu.

Po spożyciu obiadu spocząłem na podściółce z wygniecionej słomy, przysłuchując się jakiejś dyskusji, prowadzonej przez dwóch przybyłych wraz ze mną wiedeńczyków: Malona i Korczaka. Podpełzł zaraz do mnie starszy żołnierz Szulc z Dąbrowy i gawędziliśmy w najlepsze, gdy tymczasem na dworze kaprysiła marcowa pogoda.

Zaczął padać gęsty mokry śnieg i ubielił wkrótce wszystkie występy i nasypy okopu, tając i zamieniając się na dnie rowu w błotniste kałuże.

Poczęło się już zmierzchać, gdy sierż. Wandycz zawołał mnie na wartę. Był to posterunek alarmujący, wystawiany przed okopami poza linią placówek. Rozprowadzający dał mi hasło i odzew, zaprowadził na miejsce, udzielając

objaśnień co do rozmieszczenia naszych placówek i właściwości terenu, poczem odszedł, pozostawiając mnie na białym polu, gdzie ograniczona swoboda ruchów zmuszała do kontemplacji i głębokich rozmyślań.

Śnieg padał jeszcze. Księżyc, za chmurami ukryty, brał już przewagę nad ustępującem światłem dziennem, więc mój zasięg obserwacyjny był dość rozległy i nie potrzebowałem zbytnio wysilać uwagi. Rozglądałem się jednak zrazu uważnie, aby zapamiętać kształt majaczących wzdali drzew i krzewów. Tuż przede mną sterczał wpółrozwalony komin jakiejś spalonej chałupy i za temi zgłiszczami, naprzędzie, miała być placówka Nr 1, zaś nieco w lewo — placówka Nr 2. Oprócz miękkiego szelestu spadających płatków śnieżnych, nic nie przerywało głębokiej wieczornej ciszy przedwiośnia.

Z niedalekich okopów nie dochodził tu też najmniejszy choćby szmer. Wszystko naokół, okryte całunem powracającej zimy, zdawało się drzeć, tylko śnieg naszeptwał wciąż monotonną swą kołysankę.

Było przytem tak ciepło, że zrzuciłem rękawice i, krocząc powoli po wyznaczonej linii tam i zpowrotem z karabinem pod pachą, czułem się bardzo dumny z tego, że ode mnie pośrednio zależy, aby ta niczem niezmacona cisza zamienić się mogła w jednej sekundzie w całe piekło chaotycznych dźwięków: głosów trwogi, szczęku broni, bezładnej strzelaniny, biegu naoslep, jednym słowem — alarmu. I nagle całe brzemie odpowiedzialności za spokój tych tam, w ciemnych norach pochowanych, ukochanych postaci, spadło na mnie. Zmusiło mię do zatrzymania się przez dłuższą chwilę pod obłamaną wierzbą, stojącą samotnie u kresu mych dążeń, i uważnego zbadania zaobserwowanych przedmiotów, czy aby są w porządku, czy nie zmieniły przypadkiem swego kształtu lub wyglądu.

Stojąc tak nieruchomo, uczułem swędzenie najpierw za kołnierzem koszuli, potem w pasie, podczas gdy na ple-

cach moich odbywać się począł mecz footballowy jakichś wielce dokuczliwych stworzeń. Zrozumiałem zaraz, że to wszy, które mnie oblażyły w ziemiance, a może jeszcze w chałupie, te nieodłączne towarzyszki żołnierza, z którymi nie miałem się już rozstawać przez długie miesiące zażartych bitew, szalonych pochodów i krótkich postojów. Oderwałem się od pnia wierzby i resztę swej służby odbyłem chodząco, aby nie dać pasorzytom sposobności używania na mej skórze, bardzo jeszcze na te igraszki wrażliwej. Zluzowany po dwu godzinach, urządziłem zaraz w ziemiance polowanie przy blasku fasowanej łożówki, co mi pomogło nie tyle do pozbycia się natrętów, ile do zaśnieżenia snem sprawiedliwego, mimo panującego w ziemiance zaduchu i mimo tego, że rozbierać się nawet z pasa i ładownic, z racji służby, nie było wolno.

Rano zbudził mnie Szulc, z którym jeszcze wczoraj zawarłem sitwę, a który zdążył już ugotować dwie menażki pysznej kawy, do której wręczył mi odebrany dla mnie z wieczora całodzienny fasunek.

Zdziwiłem się bardzo, tyle tam tego było: pół bochenka chleba, parę sucharów, cztery kostki kawy, 6 kostek cukru wraz ze szczyptą herbaty, kawałek czekolady, słonina, dwie konserwy, ćwierć litra wina i tyleż rumu, 5 sztuk „Sportów“ i 10 gramów tytoniu fajkowego, do tego bibułka, zapalki, kartki polowe i... papier klozetowy. Jednem słowem, cała prowiantura w miniaturze! Austriacy nie żalowali sobie na froncie w 1915 roku, zato w dwa lata później ledwie im cieplej wody na przeplókanie kiszek starczało. Nasi prowiantowcy, nie w ciemę bici, korzystali z wysoce kombinacyjnej rachunkowości różnych K. u. K. Stell'ów i brali, co i gdzie się tylko dało, tak że nad Nidą było wszystkiego w bród, poczynając od doskonałego rumu, a kończąc na mocnej nitce do przyszywania guzików.

Mój sitwes śmiał się jednak z mojego zachwytu, twierdząc, że ten niby obfity fasunek przy nudach okopowych,

zmuszających wciąż do myślenia o jedzeniu, nie jest znowu tak wielki i jest wielu repeciarzy, którym nawet podwójnej porcji za mało do solidnego wyładowania i wygadania się w czasie zbiorowych posiedzeń na gładkim drążku lastryny, zastępującym tu najwygodniejszy fotel klubowy.

Po śniadaniu zaangażowano mnie do partji preferansa i już rozpoczęliśmy pulę, gdy wpadł do ziemianki żołnierz służbowy, wzywając mnie do dowódcy kompanji.

Zebrałem się natychmiast i, zbywając milczeniem naga-bywania kolegów, udałem się za służbowym do ziemianki Lisa. Zastaliśmy go przed kwaterą, czyniącego właśnie swą poranną toaletę. Rozebrany do pasa, prychał pod lodowatą wodą, którą ordynans zlewał mu gołe plecy i szyję. Zatrzymaliśmy się tuż i dziecinno-chłopięcy wzrok Lisa spoczął na mnie w chwili, gdy sięgał po gruby ręcznik do wytarcia czerwonej od mrozu skóry.

— A, Popiel, jesteście! — przywitał mnie z uśmiechem. — Cóż to, nie chcecie być w mojej kompanji?

— Owszem, ale — ja od początku byłem w pierwszej!

— Wiem i dlatego zgodziłem się na zamianę, o którą przez całą godzinę molestował mnie por. Rzecki. Nie mogło dojść do porozumienia, bo mi za was daje jakiegoś offermę. Wreszcie się zgodziłem, nie chcąc, by wam się służba w mojej kompanji przykrą być zdawała. Możecie zaraz odejść do pierwszej kompanji, zameldujecie o tem obywatelowi Wandyczowi!

— Rozkaz!

W ziemiance po mym powrocie nastąpiła mała konsternacja. Wandycz meldunek mój przyjął niechętnie, najbardziej był niezadowolony mój sitwes, Szulc.

— I to powiedzcie mi, po jakiego djabła uciekacie z naszej kompanji? Czy to nasz Lis nie morowy oficer, a czy wiara nie taka sama, jak i tam? Ale, pewnie, wy tam, zwłaszcza w pierwszym plutonie, macie się za arystokrację baonu, szarża na szarzy siedzi i, jeśli chodzi o awans, to,

żeby kaprala otrzymać, trzeba przeżyć wszystkich podoficerów bez funkcji. Tymczasem tu prawie sam proletarjat i, choć rzeszowiaki chcą prym trzymać, dowódca jest sprawiedliwy i dobrego żołnierza nie skrzywdzi, a was przecie zna dobrze.

Musiałem długo wyjaśniać swemu „krajanowi“, że nie dla szarży, jeno poprostu z wewnętrznego nakazu wstałem do Legionów, że o jakiejś „arystokracji“ wogóle w całej brygadzie niema co mówić, ale ot, przywykł człowiek przecie do jakiejś tradycji, choćby do swego miejsca w szeregu, które mi wypadało od początku zawsze na przedzie, zresztą, do trójki nigdy zaufania nie miałem. Na tem się skończył mój pobyt w kompanji Lisa.

Zameldowałem się zaraz por. Rzeckiemu, a że właśnie na jego kwaterze znajdował się Rychlik, zabrał mnie ze sobą do okopów, jako własność swojego plutonu.

Wróciłem do swej dawnej funkcji zastępcy sekcyjnego, ale jak raz trafiłem na pewne zamieszanie z powodu nieobecności właśnie mego sekcyjnego, kaprala Dąbrowskiego. Jak wynikało z zeznań żołnierzy, kapral Dąbrowski, zabrawszy ze sobą dwóch szeregowców: Kączkowskiego i Kukielkę, a do towarzystwa drugiego sekcyjnego, Feliksiewicza, udał się nad Nidę, aby sobie porozmawiać z Moskalami. Ponieważ istniał zakaz jakiegokolwiek porozumiewania się, choćby w celach kurtuazyjnych, z nieprzyjacielem, Rychlik, dowiedziawszy się o tej wycieczce, rozgniewał się nie na żarty. Ale nie zdążył jeszcze na nikim swego złego humoru wyrzucić, gdy okrzyki pod blindażami na prawo zmusiły wszystkich obecnych w okopie do zajęcia swych miejsc przy strzelnicach.

Niezwykły stąd oczom naszym przedstawił się widok. Oto od strony okopów rosyjskich pędzili ku nam co siły w nogach Kączkowski z Kukielką, a ponieważ byli już niedaleko, z ich przeraźliwie wystraszonych min wnioskować wypadało, że spotkać ich musiało coś arcynieprzy-

jemnego. Za tymi dwoma, w pewnem jeszcze oddaleniu, biegł Dąbrowski, zapadając się raz po raz w bajory, rozlane szeroko na łące. Czwartego zaś, Feliksiewicza, nie było nigdzie widać, tylko ściśnięta grupka Moskali manipulowała coś nad samym korytem rzeki po swojej stronie. Chwyciliśmy mocno karabiny w garście, nie wiedząc, czy mamy strzelać w tę kupę Moskali, ale wnet uprzymomniliśmy sobie, że możemy, strzelając, trafić któregoś ze swoich. Poprzestaliśmy zatem na ciekawem, choć niecierpliwem, wyczekiwaniu. Gdy zaś Kączkowski pierwszy stoczył się z nasypu wprost do okopu, ledwie żywy ze zmęczenia, wnet podbiegliśmy ku niemu.

— Co jest? Co się stało?

— Ojej! Moskale — ciągnął Feliksiewicza!

— Gdzie?

— Na drucie!

Nie zrozumieliśmy z tego nic, zwłaszcza że Kączkowski się zachłysnął i już więcej nie wydębził z siebie ani słowa. To samo i Kukielka. Zresztą, trzeba było znów zająć swe miejsca przy strzelnicach, bo salwa nieprzyjacielska, a za nią druga i trzecia, kazały nam mieć się na baczności. Strzelano za Dąbrowskim, który gonił resztkami sił, biegnąc zygzakiem w kierunku swoich okopów. Wreszcie stanął na nasypie, skąd ściągnęliśmy go momentalnie do rowu, bo nie mógł już zeskoczyć o własnych siłach.

Teraz się wyjaśniło, że Moskale użyli chytrego podstępu, aby dostać w swe łapy jednego z naszych. Podczas gdy kilku „czubaryków“ stało nad samą rzeką do zwykłej pogawędki i wymiany machorki na rum, za nimi wyszło jeszcze czterech żołdatów z oficerem, uzbrojonym w karabin. Soldaci dźwigali kłębek kolczastego drutu, nie zwracając na siebie uwagi niefortunnych legunów (to znaczy Dąbrowskiego i Feliksiewicza, bo oni obydwaj stali nad samą rzeką, podczas gdy Kączkowski i Kukielka za-

trzymali się przezornie w tyle), rozbujali go i przerzucili na drugą stronę tuż do nóg kaprali, trzymając za rozwinięty koniec drutu. Wtedy oficer wezwał niespodziewających się niczego do poddania się, grożąc zastrzeleniem w razie oporu. Dąbrowski, choć skóra na nim ścierpła, starał się obrócić wszystko w żart, przemawiając do honoru oficera. Ale Moskal wnet dał poznać swoją rycerskość i wycelował broń wprost na Feliksiewicza. Ten stchórzył z miejsca i jał drżącymi ze strachu rękoma obwiązywać się w pasie drutem, z czego bez namysłu skorzystał Dąbrowski, aby drapnąć wtedy, kiedy dwaj pozostali już dawno wyrwali. Tchórzostwo jednego Feliksiewicza uratowało jednak pozostałych, bo Moskale, zajęci przeciąganiem jeńca przez koryto rzeki, nie mogli strzelać: z tych samych również powodów, co i my. Oficer rosyjski wypuścił wprawdzie kilka strzałów za Dąbrowskim, ale, strzelając w pośpiechu, chybiał. Dopiero po załatwieniu się z Feliksiewiczem Moskale zaczęli walić salwami, które jednakże z powodu dużego oddalenia (ponad 1200 m) żadnej szkody nikomu nie zrobiły, napędzając tylko strachu Dąbrowskiemu, który nie odzignął jeszcze, gdy został za wezwany do karnego raportu przed oblicze Satyra. Dowódca baonu przyjął trzech ociekających wodą amatorów rosyjskiej machorki w swej ziemiance i upomniął surowo, zaś dowódca plutonu ppor. Rychlik dodał im od siebie kilka „ciepłych“ słówek i odesłał do chałupy, aby się osuszili.

Co się tyczy Feliksiewicza, mieliśmy go za straconego, zwłaszcza że po ruszeniu się z nad Nidy dowiedzieliśmy się, że Moskale w tym czasie kogoś powiesili w Pińczowie. Tymczasem schwytany „na wędkę“ szczupak, wylegitymowawszy się Moskałom, jako Galicjanin, został odesłany wgląb Rosji, gdzie Wołgi już nie przepłynął, lecz po wielu przejściach i przygodach sprawił prawdziwą sensację ukazaniem się swoim na zjeździe baonu w Rzeszo-

wie w 1932 r. Gorzej wyszedł z tej opresji Kączkowski, który dostał poważnej nerwowej choroby i w dalszym ciągu kampanji nie przedstawiał już jako żołnierz wielkiej wartości.

Tak się skończyły przyjacielskie wizyty, o których sły-
szałem od taborytów jeszcze w Mierzwinie.

Od ostatniego wypadku stale dyżurowało w okopie ośmiu najlepszych strzelców, którzy mieli pomścić mnie-
maną śmierć Feliksiewicza przez sprytne uprzątnięcie
jakiegoś Moskala. Jakoż sposobność nadarzyła się
wkrótce.

Zwykle wieczorami, gdy było ciepło i pogodnie, wiara
wylaziła na okopy i śpiewała chóralnie rosyjskie piosen-
ki, między którymi przeważały pieśni rewolucyjne. Mo-
skalom musiało się to ogromnie podobać, bo zawsze w ta-
kich razach zaprzestawali strzelaniny, wylazili również
z okopów i gromkimi okrzykami wyrażali swoją apro-
batę. Po wypadku z Feliksiewiczem śpiewów tych Satyr
zabronił. Gdy przez kilka wieczorów zrządu okopy na-
sze milczały, Moskale jęli się upominać o pieśni, a raz
nawet przed samym zmierzchem jakiś Moch wylazł na
okop i zaryczał przez tubę:

— Pany! Zapojcie pa ruski!

Usłyszał to Satyr i wnet zwrócił się do dyżurnych
strzelców z rozkazem:

— Zaśpiewajcie mu za Feliksiewicza, ale celnie!

Wnet gruchnęła salwa, po której Moskal zatrzepotał
rękoma w powietrzu i zwałił się z nasypu przy akompanja-
mencie piskliwych głosów relutonów, obserwujących cie-
kawie przez strzelnice:

— Dostał! Dostał!

Po chwili znów usłyszeliśmy tubalny głos, ale już z oko-
pu rosyjskiego:

— Spasibo za piesniu!

* * *

Nad Nidą był „sekreć“.

Tak się nazywało miejsce, ukryte za krzakami łożyny, nad samem korytem rzeki, na zalanej wodą łące, ku któremu zwykle po zapadnięciu nocy czołgał się ostrożnie na brzuchu podwójny nasz „stracony“ posterunek, aby zapaść w mokrej trawie o 30 kroków od rosyjskiego wartownika po drugiej stronie rzeki, również zaszytego w łoży.

Z początku zmieniano ten posterunek raz w ciągu nocy, gdy zaś nastał czas cieplejszy, dwóch żołnierzy musiało moknąć w grzęzawisku bez przerwy od wieczora aż do świtu, wytěżając baczną uwagę na najłżejszy szmer wody, kaszlnięcie lub chrząknięcie nieprzyjacielskiej warty lub inne zakłócenie spokoju pogrążonej we śnie przyrody.

Ciężka to była służba i odpowiedzialna, nie przeszkadzała jednak pewnym kontemplacjom myślowym, choć zdawałoby się, powinna była bardzo denerwować, zwłaszcza przy niespokojnym stanie powietrza i zupełnym prawie bezruchu, w jakim trwać musiał znajdujący się tu żołnierz. Nie brakło jednak ochotników na ten posterunek, dawał on bowiem pewną emocję żadnym wrażeń legunom, nie liczącym się ani z możliwością schwytania reumatyzmu, ani też, co gorsza, z możliwością ataku ze strony nieprzyjaciela, w razie którego posterunek ten miał z punktu odcięty powrót do swoich. Czasem wysyłano tam żołnierzy za karę, ale tylko takich, których t. zw. „morale“ nie pozostawiało nic do życzenia, bowiem trzeba było na określony punkt dotrzeć samemu, bez rozprawiającego podoficera bez zwrócenia uwagi nieprzyjaciela. Odpowiedzialną tę służbę na odcinku naszej kompanji przyszło mi pełnić dwa razy: raz na ochotnika z klerykiem Jędrysikiem, notabene bardzo dobrym żołnie-

rzem, do spółki, a drugi raz za karę z przeciwnieństwem owego wcielenia wszelkich cnót chrześcijańskich, jakim był ob. Jędrysik, Górnoślązak, dziś uczony teolog i dominikanin.

A było to tak. W sekcji mojej w II plutonie znalazł się Litwin Doudas, z którym wspólnie ośmieszałem „pakę” w Kętach i z którym, mimo jego respektu w stosunku do mojej osoby, nie mogłem się jakoś żyć. Rzeźbiarz, „śpiewny i rzewny”, który głupiego kółka do płotu porządnie zastrugać nie potrafił, wierszokleta, przechwalający się swymi niedorzecznymi rymami, karciarz i koster, budził we mnie taki wstręt, że z byle powodu wszczynałem z nim sprzeczki, które, z powodu tępego uporu „boćwinkarza” i mej porywczowości, jeśli nie kończyły się rękoczynami, było to zasługą otoczenia, czyniącego sobie rodzaj teatrum z naszych zażartych dysput i „rozważań”.

Pewnego wieczora, gdy nasz pluton był służbowy, zgromadziły się dwie sekcje w najobszerniejszej ziemiance i tu Doudas zaczął udowadniać, że Polacy zniszczyli kulturę litewską, wprowadzając do silnego organizmu państwowego Litwy własny chaos i szlachecki nieład.

Staralem się rzeczowemi argumentami zbijać te twierdzenia, ale uparty Litwin obstawał przy swych niedorzecznościach, wobec czego nie wypadało nic innego, tylko urządzić mu kocią muzykę, którą też zorganizowałem na poczekaniu, przyczem zebrana wiara przy akompaniamencie łyżek, menażek i innych dźwięcznych instrumentów odśpiewała chóralnie na rozmaite tony znakomity utwór Doudasa: „Cicho, sza” i t. d.

Musiał to być okropny koncert, bo do ziemianki wpadł ppor. Rychlik. Rozbawione towarzystwo przywołał do porządku i dosadnie ostudził wokально-muzyczne zapęły. Wysłuchawszy płaczliwych skarg Doudasa, ob. Rychlik wnet powziął postanowienie, nie pozbawione pewnych podstaw psychologiczno-wychowawczych.

— Ponieważ nie możecie się tu zgodzić, pójdziecie zaraz obaj na „sekrety”. Może się tam uspokoicie!

Po tym rozkazie dwie ambicje, polska i litewska, zamknęły się w sobie, obaj z „Dudą” zaczęliśmy w po-
nurem skupieniu czynić przygotowania do zasiadki na straconym posterunku.

Opatrzywszy dokładnie broń i zabrawszy ze sobą koce i płachty namiotowe, udaliśmy się w milczeniu na linję placówek, skąd podczołgaliśmy się na wyznaczone miejsce, z nas dwóch tylko mnie jednemu dokładnie wiadome.

Usadowiliśmy się na rozłożonych celtach i kocach pod kępą nadbrzeżnej łożyny i rozpoczęliśmy zgodną obserwację, nie odzywając się do siebie ani słowa.

Po jakichś dwóch godzinach opanowało nas zmęczenie, jednak trwaliśmy dalej, unikając uparcie wystąpienia z propozycją zamiany ról, aby jeden z nas mógł się trochę zdrzemnąć.

Noc była chmurna i ciemna, na trzy kroki trudno było cośkolwiek rozróżnić, na dobitkę w wodzie słyszać było od czasu do czasu jakieś podejrzané pluskanie i jakby ciche nawoływanie za rzeką. Trzeba było mieć się na baczności.

Słyszeliśmy dokładnie, jak się odbyła zmiana rosyjskiej warty, poczem woda jęła przenikać przez koce i ziębić do reszty kostniejące już członki.

Nagle witki krzewów z prawej strony zaczęły się gwałtownie rozchyłać i jakiś podejrzaný szmer zaniepokoił prze-męczony słuch. Syknąłem zcicha, aby obudzić czujność towarzysza, i ścisnąłem silniej karabin w dłoni, podkurczając równocześnie nogi, aby być gotowym do skoku. W tej samej chwili przesunęły się tuż obok nas, ocierając się prawie o nasze biodra, trzy wysokie postacie w papachach, z karabinami pod pachą, których żądła bagnetów zaznaczyły się wyraźnie ciemną kreską na tle szarego nieba.

Miałem ogromną chęć pchnąć ostatniego stylu bagnietem, ale wnet przypomniałem sobie, że znajduję się na sekrecie, gdzie nie wolno wszczynać żadnej awantury z pojedynczymi patrolami. Sfolgowałem więc i spojrzałem w rozognione tym samym blaskiem oczy towarzysza. I w dalszym ciągu nie wyrzekliśmy do siebie ani słowa, usiłując jeszcze gonić wzrokiem zjawę, którą dawno straciliśmy z oczu.

Po pewnej chwili, właśnie w momencie, gdy przymykałem przekrwione ze zmęczenia oczy, usłyszałem powiewne: „stój!“, wyrzucone przyciszonym szeptem przez Doudasa, zwróconego twarzą w inną stronę. Ciche oddanie hasła i jakaś skulona postać znalazła się raptem tuż u nóg moich. Poznałem podporucznika Juliana Bagniewskiego, „wujcia“ naszego baonu, dzierzącego tuż nad ziemią gotowy do strzału rewolwer.

— Co słyhać? Nie zauważyliście czego?

— Owszem, jakiś kwadrans temu przeszedł obok nas patrol rosyjski, trzech ludzi. Udali się na prawo wskos.

— Dobrze, ja ich wnet znajdę. Co jeszcze?

— Więcej nic. Wszystko w porządku!

— Cześć!

I „wujcio“ zniknął z kolei jak duch, jakby go nigdy przy nas nie było.

Byliśmy teraz pewni, że Moskale mu się nie wymkną, bo ppor. Bagniewski, który przyjechał do Legjonów z Brazylii, umiał tropić i podchodzić zwierzynę i nie odbył żadnego patrolu, aby nie schwytać jednego bodaj „języka“.

Ma zapewne kilku żołnierzy w odwodzie, których użyje do osaczenia śmiałków, ryzykujących przeprawiać się na naszą stronę.

Wytężaliśmy gwałtownie słuch.

Kwadranse mijały. Znów zmieniła się rosyjska warta. Łozy, poruszane teraz silniejszym wiatrem, rytmicznie

szumiały i nic nie zwiastowało żadnych nadzwyczajnych rzeczy, jakie usiłowaliśmy sobie wyobrazić i odgadnąć naszymi przeczulonemi nerwami.

Gdy wreszcie na wschodzie niebo zaczęło lekko różowieć, a wierzchołki krzewów wyodrębniać się wyraźnie z ołowianej ciemności ogarniętego oparami pobrzeża, zebraliśmy ostrożnie swoje manatki, pełnząc powoli do linii placówek. Dopiero stanawszy na równe nogi, odczuliśmy cały ogrom zmęczenia i przeziębienia. Szczękając zębami z zimna, pobiegliśmy w cwał do okopów, skąd wydobywały się już siwe słupki dymu, wróżące pogodę i łaskoczące nasze podniebienia przedsmakiem gorącej, świeżo ugotowanej kawy. I, choć w dalszym ciągu nie rozmawialiśmy do siebie, czuliśmy obydwaj, że wzajemna niechęć nas opuściła i każdy uściśnąłby chętnie dłoń drugiemu na zgodę. Ale ponieważ żaden nie chciał być pierwszy, wkroczyliśmy razem pod blindaż, ustawiając karabiny ruchem napozór obojętnym, nie pozbawionym jednak tej uprzedzającej grzeczności, jaka cechuje ludzi, szanujących siebie nawzajem. W ziemiance poinformowano nas zaraz o tem, że „wujcio“ Bagniewski przyprowadził przed świtem do bataljonu trzech rosyjskich jeńców, których wziął niespodzianie, przeprawiwszy się z silnym patrolem na tamten brzeg Nidy. Zdumieliśmy się tym wyczynem, gdyż byli to bezwątpienia ci sami Moskale, którzy się o nas na „sekrete“ otarli. Sprytny łowca z Kurytyby wyszedł ich jednak i wziął do niewoli z ich własnego terenu, na którym czuli się już zupełnie bezpiecznie.

Miałem chętkę pójść obejrzeć jeńców, którzy po zbądaniu ich przez Satyra znajdowali się jeszcze w kominie baonu, ale zmęczenie przemogło i pozostałem. Rozgrzany kawą i ciepłem piecyka, zagrzebałem się w barlogu i zasnąłem, obojętny na artyleryjskie pociski, wybuchające tuż za ziemianką. Moskale bowiem, sprowokowani

przez naszą baterję, jeli się zrzadka odstrzeliwać szrapnelami, puszczając też od czasu do czasu lekki granat przed lub za linję naszych okopów, w ziemiankę żadną, jak dotąd, nie trafiając. Z większym, zdaje się, skutkiem waliły nasze baterje na Kopernię i Skowronno, choć większość pocisków trafiała w wodę, to też piechota przezwala z tego powodu artylerzystów „rybotłukami“.

Jeśli jednak, zamiast fontanny wody, podnosił się w powietrze słup ziemi z fruwającemi w powietrze belkami i kawałkami desek, oklaskiwany bywał rzęsiście.

Moskale w tym czasie z dział strzelali mało, napędzali nam jednakże pietra celnemi strzałami karabinowemi, zwłaszcza kulami ekrazytowemi, pękającemi z suchym trzaskiem, zda się, nad samym uchem. Od takich przypadkowych strzałów poległo w czasie mego pobytu nad Nidą dwóch żołnierzy: Wiśniewski z II plutonu i Podcerkiewny z III plutonu naszej kompanji. Lekko ranny został Różyński, który już więcej do baonu nie wrócił.

Ostatnie dni marca przeszły pod znakiem ciągłego patrolowania, gdyż zaczęły chodzić wieści o spodziewanym ataku Moskali z racji wzięcia przez nich Przemyśla, który padł, jak głosiły oficjalne komunikaty, z głodu, lecz u nas wściekłość na Austriaków rosła, bo w poddaniu dobrze zaopatrzonej twierdzy wietrzono jakiś niezgorszy skandal.

Mieliśmy też pod stałą obserwacją chałupy, ocalałe od pożogi w dolinie Nidy na lewo od Kwaskowa, a wypełniające bagnistą lukę między nami a pułkiem Berbeckiego. W chałupach tych pozostała ludność cywilna, a fama głosiła, że w samej Imielnicy i okolicy chłopci ukrywają w swych domach w charakterze parobków przebranych kozaków.

Komenda austriacka alarmowała o dostrzeżonych jakoby światłach w tych chałupach, mających być sygnałami dla nieprzyjaciela. Chociaż strach austriacki miał jeszcze większe oczy, niż każdy inny, przeszukaliśmy jed-

nak starannie wszystkie mieszkania, legitymując ich lokatorów, przwaznie analfabetów. Nie wykryto żadnego szpiega i przeszliśmy nad tą sprawą do porządku dziennego, biorąc w obronę ludność, której pożyczano z taboru koni do obróbki ziemi między pozycjami.

Ta wiosenna orka w obliczu nieprzyjaciela, wśród pekających pocisków i świstu kul, odbywana zwykle przy pomocy legunów, głównie z artylerji, przejmowała mnie tem radosnem wzruszeniem, jakiego doświadczyłem już w jednej z chałup Załęża, gdy w największym ogniu bitwy dostrzegłem w niej siedzącego najspokojniej na zydelku przy piecu jedyne go gospodarza.

Toż przecie w dwóch chałupach, wciśniętych w naszą linję okopów w Kwaskowie, mieszkały trzy rodziny chłopskie, a dwie dorastające dziewczuchy sypiały w komorze, podczas gdy izba zajęta była przez żołnierzy, z których żadnemu do głowy nie przyszło „dybać“ na cześć niewieścią tych jedynie możliwych przedstawiolek płci pięknej na odcinku bojowym, zażywających całkowitej swobody przez kilka długich tygodni naszego pobytu nad Nidą.

Patrowano wszakże dalej usilnie, jako rzekłem, bo Austriacy liczyli się z możliwością nacisku Moskali na tym froncie, choć na legjonowym odcinku, jak twierdzili nasi oficerowie, atak nieprzyjacielski nie miałby żadnych widoków powodzenia tak z powodu dość otwartego terenu o dobrym ostrzale, jako też wskutek wyraźnej przewagi naszej artylerji, która wzmocniona została o dwie „tureckie“ baterje, obsługiwane przez Austriaków.

Względny spokój panował aż do Świąt Wielkanocnych, które w tym roku wypadały równocześnie z prawosławniemi.

W kompanjach czyniono przygotowania do tradycyjnego uczczenia Wielkanocy, i to własnymi siłami, bo I brygada była nietylko praktyczną szkołą wojskową, ale i szkołą obywatelską.

W każdej kompanji zostały zorganizowane kasy plutonowe, do których szeregowi i podoficerowie składali szóstki otrzymywanego żołdu, organizując w ten sposób doraźną samopomoc na wypadek pójścia do szpitala, odkomenderowania do innego oddziału i t. p.

Oficerowie rzekli się ponadto pełnych poborów, zadowalając się stu koronami miesięcznie, bez względu na szarżę. Podoficerowie otrzymywali żołd szeregowych, należną nadwyżkę oddając do dyspozycji Komendanta na podtrzymanie akcji niepodległościowej w Królestwie. Ofiarność ta pozwoliła na utrzymanie własnego wywiadu i zapoczątkowanie P. O. W.

Mieliśmy zatem w kasach trochę pieniędzy, z których część postanowiono użyć na zakupy święteczne.

Po zakupy zostali delegowani do Jędrzejowa Stefan Kozłowski i Doudas. Przywieziony przez nich prowjant oddany został do dyspozycji kaprała Józka Lipińskiego z 2. komp., który, choć stolarz z zawodu, zabawił się w piekarza i upiekł we wsi w menażkach wspaniałe bułki, mające nam zastępować baby wielkanocne.

Nie brakło też jaj ani kielbasy, zaś prowjantura zaoszczędziła na święta potrójny fasunek wina i rumu.

Pod blindażami w okopie sporządzono stoły do wspólnej uczty, przy których zasiadła wiara wespół z dowódcami, którzy potem obchodzili wszystkie oddziały, dzieląc się jajkiem i składając życzenia.

Ponieważ nasz kompanijny pochodził z Lublina, życzyliśmy mu, aby wkrótce wkroczył do tego trybunalskiego grodu na czele swojej kompanji. On zaś przyobiecał solennie, gdy się to stanie, zafundować pięć beczek piwa dla kompanji.

Z Moskalami zawarliśmy przedtem trzydniowy rozejm, a że pogoda była cudowna, spacerowaliśmy sobie swobodnie po wierzchu okopów, tak my, jak i oni.

Do sąsiadującego z nami pułku Berbeckiego przychodziła nawet delegacja od Moskali z jajami i rybą w prezencie dla dowódcy pułku od swojego „komandira“. Parlamentarzy tych nie wpuszczono do okopów, lecz powieszano na spalonym moście między pozycjami, uskuteczniwszy tradycyjną zamianę jaj i upominków. Ryby jednak nikt nie tknął, w obawie, aby nie była zatruta.

Po powrocie delegacyj żołnierskich z kościoła nastąpiło rozdanie paczek ze smakołykami, t. zw. „liebes-gabe“, nadesłanych przez Ligę Kobiet P. W. z Zagłębia, Piotrkowa i Łodzi. Było wiele uciechy, w paczkach tych bowiem znajdowaliśmy, oprócz smacznych i praktycznych rzeczy, kilka gorących słów uznania i zachęty. Zapachniało Ojczyzną, nie czuliśmy się już tak osamotnieni.

Po obiedzie, wszyscy wolni od służby udali się gremjać do rezerwy na rozegranie partji piłki nożnej, przyczem oficerowie „kopsali się“ narówni z szeregowymi. Triumfował, naturalnie, por. Lis, który, rozpuściwszy swe boćkanie nogi, brał bramki jedna po drugiej.

Nazajutrz odbyły się zawody hipiczne oficerów, którym wiara przyglądała się z wielkiem zajęciem, organizując napoczekaniu „totka“ i stawiając na swoich dowódców. Przy grze w „lisa“ prym trzymali oficerowie z 2-go pułku, zwłaszcza Trapszo i Rokita. Rozbawiona wiara wróciła o zmierzchu ze śpiewem do okopów, racząc się do późna w noc otrzymanemi specjalami.

W trzy dni po świętach zmieniono nas w okopach. Przeszliśmy do rezerwy w Turze-Górnym, gdzie wypoczywaliśmy rzetelnie przez caluśkie dwa tygodnie, rozlokowani w chałupach razem z gospodarzami.

Wykorzystaliśmy ten czas na pozbycie się zgrubsza dokuczliwych insektów, urządzając generalne pranie i gotowanie bielizny i mundurów.

Czasem chodziliśmy do lasu przygotowywać kozły z drutów, które dźwigaliśmy nocą na pozycje. Podczas

jednej z takich wycieczek zdarłem sobie skórę z zabliźnionej rany na ramieniu i przez kilka dni pozostawałem w izbie chorych, karmiony aspiryną przez lekarza. Nie zazywałem niepotrzebnych proszków, składając je do kieszonki w plecaku na gorsze czasy.

Pobyt w rezerwie nie wykluczał możliwości brania czynnego udziału w akcji bojowej. Po tygodniu już wiara zaczęła się nudzić i znaleźli się ochotnicy, którzy pod dowództwem tego lub owego oficera wymykali się nocą, za Nidę w poszukiwaniu przygód. Ale Moskałe mieli się na baczności, podczas ciemnych nocy świecili rakietami, zaś reflektor, umieszczony na pińczowskiej górze, ogarniał swem martwem światłem całe przedpole, sięgając niekiedy aż do naszych kwater. Czasem waliły do niego tureckie baterje, wtedy przygasał, aby za chwilę znów bładzić swemi tajemniczemi mackami po bliskich łąkach, dalekich polach i ruinach. Niesamowite to robiło wrażenie. Patrol nocny, zaskoczony nagle tem światłem, rozplaszczając się musiał na ziemi, klnąc zcicha.

Dzienne nudy w rezerwie wynagradzały nam gwarne wieczory, bo już o szarej godzinie odwiedzaliśmy się wzajemnie na kwaterach, przyczem ja ciążyłem stale do I-go plutonu, gdzie na kwaterze Michasia Tomaszewskiego można było w zacnem towarzystwie czy to partję prefersansa uciąć, czy podyskutować na życiowe i niezyciowe tematy, czy wreszcie czegoś nowego się dowiedzieć.

Kiedy niekiedy wpadał to tu, to tam „latający kurjer“ kompanji w osobie Jana Otto, zwanego także „pecyklem“, a to z racji przekręcenia przezeń kiedyś w rozmowie wyrazu „bicykl“. Peczykiel był bardzo ruchliwy, umiał do złudzenia naśladować śpiew słowika i kanarka, to też często urządzał popisy na zebraniach oficerskich lub przy jakichś uroczystych okazjach. Był nieoceniony w kolportowaniu wszelkich wieści prawdziwych czy zmyślo-

nych i wszędzie umiał zrobić ruch, pobudzić do śmiechu najbardziej osowiałych w szeregu.

Otwierają się oto ni z tego, ni z owego drzwi, wpada Peczykiel i już od progu recytuje pewno po raz dziesiąty:

— Wiecie, wiara, podobno Durski przyjeżdża do nas na przegląd. Potem ekscelencja dostanie kopniaka, a Działdek zabierze karpackie pułki i stworzy dywizję!

Albo mniej poważne, zato bardziej gorączkowe:

— Reflektor za Nidą zrobił dziś w nocy „z wiwróceniem oka“ na drugi pułk, a Berbecki posłał mu przez Turków salami z olejkiem. Sześć zabitych, ośmiu rannych, głównie przez rozwolnienie!

Oprócz tej poczty pantoflowej mieliśmy wieści bardziej poważne wprost od naszych taborytów, którzy widzieli w Opatkowicach-Drewnianych, jak Austriacy zaciągali tam 30-centymetrowe „Mörzery“. Były to, jak nas później objaśnili oficerowie, ciężkie działa forteczne, sprowadzone tu z Krakowa. To gromadzenie artylerji dało nam dużo do myślenia, napawając radością, że to nie Mochy nas, ale my ich będziemy atakowali.

Przysłuchiwaliśmy się też z lubością częstym teraz poje= dynkom artyleryjskim, w których Moskałe prawie zawsze dawali za wygranę. Podobno nie mieli amunicji, tak przy= najmniej zeznawali jeńcy, chociaż ciężkie działa również posiadali, wypuścili bowiem dwa duże granaty na naszą rezerwę, ale nie doniosło. Wybuch nastąpił na skraju lasu niedaleko pierwszych chałup wioskowych, zostawiając po= tężne leje w zadarnionej ziemi.

W połowie kwietnia otrzymaliśmy rozkaz wymarszu na pozycje.

Noc była pogodna, księżycowa, wiara rażno maszerowała. Mijając pozycje naszych połówek, tuż prawie przy linji bo= jowej, dostrzegliśmy nade drogą wysoką postać naszego pierwszego kompanijnego, por. Boruckiego, obecnie do=

wódcę baterji. Nie mogliśmy go powitać, bo rozmawiać nie było wolno, on wszakże poznał niektórych wiarusów i skinął nam ręką przyjaźnie.

Zajęliśmy odcinek w Pawłowicach. Ziemianki wzdłuż dawnej drogi wiejskiej, okopy głębokie, przed okopami chałupy. W chałupach i ziemiankach kwatery, okopy bez strzelnic. Wysyłamy placówki nad rzekę, wystawiamy posterunki alarmowe przed okopami. Morowo! Linja prawie że spokojna, bo wciśnięta między Nidę i ujście Mierzawy, a za Mierzawą już Austriacy.

Po rozejrzeniu się we dnie, nowe pozycje jeszcze bardziej nam przypadły do gustu. Zwłaszcza ucieszyła nas świeża zielen. Dużo zieleni, pokrywającej obydwie brzozy Mierzawy i zagrody we wsi.

Chociaż Moskale zaczęli łupić z samego rana szrapnelami, nie uczynili szkody nikomu, kulom karabinowym też się kłaniać nie trzeba było, jednym słowem — sielanka!

Zato następnej nocy zakotłowało nagle od ognia karabinowego na prawo od nas, na pozycjach austriackich. Jak gdyby prychał ogromny kocioł, a w to bulgotanie wpadały od czasu do czasu większe lub mniejsze detonacje. Uspokojeni przez oficerów, że to pewnie austriacki atak dywersyjny, przysłuchiwaaliśmy się tej dziwnej muzyce, która trwała przeszło godzinę, poczem wszystko ucichło. Tylko reflektor z za Nidy, przebiegał gorączkowo to tu, to tam, szukając naszych placówek.

Z frontu zachodnio-galicyjskiego dochodziły tymczasem wieści o zajęciu przez Prusaków Tarnowa i nieustannem parciu naprzód aż do ujścia Dunajca. Wzmozona walka artyleryjska na naszym odcinku, której przedtem nie było, dawała nam też do myślenia. Ataki dywersyjne powtarzały się coraz częściej, linja bojowa ożyła i patrolowanie nie ustawało.

1-go maja przybyła nowa marszówka z Kęt, a wraz z nią wrócili do naszej kompanji: Jasio Michalski, Wujek Kret,

Leon Prybe i kilku innych starych wiarusów z pod Krzywopłotów i Łowczówka. Pierwsi trzej, jako należący do „arystokracji“ 1-go plutonu, wymogli na mnie i por. Rzeckim, żem się znów przeniósł do 1-go plutonu.

Nowoprzybyli przywieźli nieco nowin z Hinterlandu. Mnie przedewszystkiem ucieszyła wiadomość o zlikwidowaniu Wilkowego bałaganu w Kętach i stworzeniu na jego miejsce „Domu ozdrowieńców“ w Kamińsku pod Piotrkowem.

Sam „major“ Wilk przybył z tym transportem jako podporucznik taborowy, a jego podoficerowie, pozbawieni oznak, wcieleni zostali do szeregów jako proste gemajny.

Było też sporo wiadomości „de publicis“, tyjących się II brygady Legjonów, o której krążyły najpotworniejsze wieści, jako że miała być rozbita na drobne oddziały i wcielona do armji niemieckiej, to znów, że ściągnięta została do Piotrkowa na wypoczynek.

Jedno było pewne, że pułki te przechodzić muszą jakąś fermentację polityczną, bo nasi chłopcy przywieźli odpis pieśni II brygady, zaczynającej się od słów: „Tam pod kopkami siana“ i „pacierz“ tejże brygady, którego „credem“ było: „Wierzę w ekscelencję Durskiego, wszechmogącego stworzyciela brygady i kapitana Zagórskiego, towarzysza jego jedyne go, który się począł w A. O. K. „a narodził w Komendzie Legjonów“ i t. d.

Tę pieśń i satyrę przywieźli żołnierze Karpackiej Brygady, których kilku, podawszy w szpitalu fałszywie swój przydział do I brygady, dostało się do nas z ostatnim transportem i przybyło wieczorem na pogawędkę do nas.

Były to chłopcy bojowe z pod Mołotkowa, z potrępanego najsilniej baonu Januszajtisa. O swoim byłym dowódcy wyrażali się kąśliwie, zarzucając mu karjerowiczostwo, do którego dążył poprzez krew swych podwładnych,

którą szafował obficie, natomiast chwalili dowódców innych, jak Minkiewicza, Roję i Hallera, a już z entuzjazmem wprost wyrażali się o pułkowniku Zielińskim, który, choć Austriak, był prawdziwym ojcem dla żołnierzy i w najsilniejszym ogniu karabinowym tkwił, niby sztandar, na okopie, lustrując przez lornetkę z lodowatym spokojem pozycję wroga i gderając na żołnierzy, którzy nieopatrznie wychylali się z okopu. Śmiano się z generała Durskiego, który, aby nagrodzić dowódcę patrolu, przynoszącego ważny meldunek, wydał rozkaz:

— Dać mu rumu!

To „dać mu rumu“ chwyciła I brygada na języki i witała niem ekscelemję wszędzie, gdziekolwiek się z nim zetknęła.

Nazajutrz nastąpiła mała reorganizacja plutonu. Podoficerem za frontem został „murzynowaty Otello“, czyli Jaś Michalski, pierwszym sekcyjnym Michaś Tomaszewski, drugim Lizdejko, trzecim Józef Śliwa. Zastępcą pierwszego sekcyjnego miał być Zdzych Rosołowski, a jeszcze dwóch czy trzech kaprali zostało bez funkcji. Ja byłem „frajtrem“, więc się zadowolilem tem, że się znów znalazłem w czwórce sztandarowej, razem z „chorążym“ Kretem, Michałem Wymysłowskim i Toldkiem Rosołowskim.

Tego samego dnia wieczorem otrzymaliśmy do wykonania ważne, jak się później okazało, zadanie strategiczne, z którego jednak narazie, oprócz chyba jednego ppor. Cenciowskiego, nie zdawaliśmy sobie sprawy. Rozkaz był taki, aby dwie sekcje przeszły w bród Nidę powyżej ujścia do niej Mierzawy, podsunęły się, o ile to będzie możliwe, jak najbliżej okopów nieprzyjacielskich, oddały kilka salw karabinowych i wycofały się tą samą drogą... Rozkaz ten mógł się wydać głupi i nie celowy nam, prostym żołnierzom, nie obeznanym z kunsztownemi arkanami wyższej taktyki. Ale wyprawa ta uśmiechała się nam bardzo,

chodziło bowiem o rozstrzygnięcie sporu, jaki wyniknął między Tomaszewskim a Zdzichem Rosołowskim na temat wojskowo-topograficzny.

Pierwszy, patrolujący kilkakrotnie okolice brodu, twierdził, że rzeczka Mierzawa rozwidła się przy ujściu na dwa ramiona, a jedno z nich obejmuje teren poza brodem i tworzy w ten sposób jakby małą deltę, zarosniętą wikliną, skąd nie będzie dostępu do okopów nieprzyjacielskich. Zdzich udawał, że żadnej delty nie ma i nigdy jej nie było, gdyż musiałaby występować na mapie sztabowej, jako zjawisko stałe. Wobec znanych niedokładności austriackich „sztabówek“, kwestja tej delty stała się ciekawa i godna zbadania. Michaś, któremu zarzucono poprostu brak orientacji w terenie, palił się do wykazania swojej racji. Na arbitra w tej sprawie obrano Michalskiego, który miał prowadzić szpicę.

Dobrze już o zmroku wyruszyliśmy pełnym plutonem w stronę brodu. Na placówce, znajdującej się w pobliżu rzeki, pozostał z dwiema sekcjami ppor. Ceceniowski, udzieliwszy przedtem prowadzącemu patrol sierżantowi Michalskiemu szczegółowych wskazówek.

Nida zwęzła się w tem miejscu i tworzyła łąkę, najeżoną otoczakami, na których ktoś już przedtem ułożył kilka desek. Przeszliśmy, z zachowaniem należynej ostrożności, gęsiego po tych deskach, prawie nie zamoczywszy nóg i zaśzyliśmy się w gęste łozy na przeciwległym brzegu. Od dawna niekoszona trawa tworzyła tu całe kępy, teren był nierówny, miejscami podmokły. Jaś poszedł pierwszy, za jego sylwetką posuwałem się w szpicy ja, obok mnie zaś sunął chyłkiem bojowiec Kret.

Posuwając się tak za cieniem przodownika, mimowoli naśladowaliśmy jego ruchy, uważając pilnie w ciemnościach nocy na jakikolwiek sygnał z jego strony. Nagle od strony okopów naszych w Kwaskowie, zajmowanych obecnie przez

I p. p., dobiegła uszów naszych ogromna wrzawa, połączona z graniem na organkach, biciem w menażki i jakieś brzękadła. Śpiewano rosyjskie pieśni, a niesiony w naszą stronę wiatrem refrain dolatywał całkiem wyraźnie:

„Wiera czudnaja moja,
„wiera czudnaja moja,
„prawosławna ja!

Sierżant Michalski przykucnął przed nami, w tej chwili poszliśmy za jego przykładem. Wuj nie mógł wytrzymać, aby nie zrobić cichej uwagi:

— Też się wybrali wporę z tą kocią muzyką! I po jakiego djabła się tak drzeć?

— Cieszą się — odparłem szeptem — bo to przecie dziś 3 maja, rocznica Konstytucji!

— Aha! — mruknął niechętnie Kret, który, jako zagorzały pepesowiec, ignorował sobie to święto narodowe.

Nagle spostrzeżliśmy, jak „murzynowaty Otello“ zerwał się z miejsca i czyni szybkie poruszenia wznesionem w górę przedramieniem, co oznaczało, że mamy dołączyć. W kilku skokach stanęliśmy przy szpicy, obmacującej teraz kolbą karabina jakiś dół z odrzuconym na bok suchym chróstem. Michalski objaśnił nas gorączkowo, półszepem:

— Dopiero co wyskoczyła stąd moskiewska czujka. Moskal zauważył nas widocznie i pognął przede mną, jak duch. Trzeba zwołać cały patrol!

Pobiegłem wtył i sprowadziłem czekających w krzakach towarzyszy. Zamarudziliśmy chwilę z powodu Michasia, który chciał koniecznie dotrzeć do owego urojonego przez siebie ramienia Mierzawy i błdził po zaroślach. Zniecierpliwiony Michalski rozwinął nas w tyraljerę i prowadził ostrożnie naprzód, w stronę domniemanych okopów rosyjskich.

Cisza była zupełna, tylko wiatr szeleścił w łozinie poza nami, niosąc ze sobą odgłosy zabawy 1-go p. p. Już zważyliśmy byli w istnienie tej czujki, która, nie zatrzymując nas, czmychnęła z pod nóg szpicy i uciekła bez wystrzału, gdy nagle w mętnej poświacie księżycowej zamajaczyło przed nami kilkanaście postaci, a równocześnie rozległa się komenda naszego sierżanta:

— Salwa, raaaz, dwa, trzy!

Gruchnęliśmy ze wszystkich karabinów jak jeden mąż. Tyraljera nieprzyjacielska jakby się w ziemię zapadła. Michalski zdążył jeszcze podać komendę „padnij“, gdy tuż przed nami wyleciały z sykiem wgórę dwie czy trzy rakiety.

— Salwa, raaaz, dwa, trzy!

Ukryci w trawie, wygarnęliśmy znowu, ale równocześnie z naszymi strzałami zaczęły nam świstać koło uszu nieprzyjacielskie kule. Moskale strzelali bezładnie, widocznie zaskoczeni i niezbyt się dobrze orientujący. Zdążyliśmy jeszcze wystrzelić trzy razy, gdy sine światło reflektora przesuwając się poczęło zwolna po polu. W obawie, by nas nie odkryto lub nie zafasowano jakimś okrążającym manewrem, Jasio zarządził odwrót z przystankami.

Cofaliśmy się niechętnie, pragnąc użyć jeszcze na strzelaniu. Cała linja nieprzyjacielska wałiła teraz naoslep, a ekrazytowe kule pękały raz po razie z suchym trzaskiem nad naszymi głowami.

Czuliśmy już za sobą gęstą osłonę nadbrzeżnych zarośli, więc, rozłożeni półkolem i wciśnięci w trawę, odpoczywaliśmy chwilę, gdy nagle z lewej strony od rosyjskiego okopu, położonego nad samem korytem Nidy i nie mającego połączenia z wyższem piętnem, na t. zw. Koperni, — doleciał do nas najpierw niesamowity wrzask, potem rozpaczliwy krzyk:

— Karaul! Gdzie wzwodnyj?

Jeszcze krzyk ten nie przebrzmiał, gdy wściekle „hura!” rozdarło ciszę nocną z tamtej strony. Kule przestały gwiżdżeć, reflektor skierował teraz swe światło bardziej na lewo, nad naszymi głowami zaszumiało coś, zafurkotało i dwa szrapnele trzasnęły w pobliżu brodu, a za chwilę jęły gonić granaty, jeden za drugim, jeden za drugim. Ale wszystkie prawie przenosiły, nikomu nie czyniąc szkody. Wycofywaaliśmy się w dalszym ciągu, a idący teraz obok mnie Bąk ironizował:

— Co se mieli, ścierwy burki, na model zostawić, to wszystko wystrzylają Panu Bogu w okno albo w wodzie utopią, a nas niech tera w d... pocałują!

Bród przeszliśmy pod ogniem artyleryjskim, który szalał teraz z obydwu stron, bo i nasze baterje zaczęły słać na pińczowską górę swe prezenty. Wnet natknęliśmy się na oddział ppor. Ceceniowskiego, który, zaniepokojony o nas, pośpieszył z sukursem. Po wysłuchaniu raportu Jasia, że wszystko w porządku i nikogo nie brakuje, ucieszony, naglił nas do szybszego powrotu, aby minąć strefę ognia, choć już artylerja nieprzyjacielska zamilkła, puszczając tylko od czasu do czasu po jednym pocisku gdzieś dalej, na spodziewane rezerwy, co świadczyło o zdenerwowaniu przeciwnika, który sądził, że ma do czynienia z jakimś poważniejszym atakiem.

— A to przecież tylko mała dywersja!

Nasz dowódca uśmiechał się zlekka pod wąsem:

— Ciekawym, jak tam poszło pierwszemu pułkowi? Przecie Dąb-Biernacki ze swoją kompanją powinien ich wszystkich wybrać z tego okopu, jak ryby z saka! Dlatego reszta robiła takie larum w okopach, żeby uspokoić z tej strony nieprzyjaciela, wy zaś też niedarmo nadstawialiście karku. Trzeba było, aby nieprzyjaciel odniósł wrażenie, że tu właśnie, od strony brodu, jest atakowany i ściągnął w to miejsce wszystkie swoje rezerwy.

Aha! Więc to tak się rzeczy mają?

Zrozumieliśmy w mig, a równocześnie zawstydzili, że ośmieliliśmy się krytykować zarządzenia dowództwa, wprowadzić tylko w myśli, ale grzeszy się przecież nie tylko mową i uczynkiem.

Rano dowiedzieliśmy się, że 1-szy pułk sprawił się morowo: zaszedł Moskalom ztyłu i wyfasował całą obsadę — 79 ludzi i jednego praporszczyka, tego właśnie, co tak mocno krzyczał:

— Karauł!

Berbecki także nie spał na swym odcinku. Jedna kompanja pod dowództwem por. Roweckiego również przeszła Nidę, zafasowała placówkę rosyjską i wycofała się bez strat, napędziwszy Moskalom porządnego pietra.

Tak nam przeszła nad Nidą rocznica tej sławnej Konstytucji, która, choć nie była wcielona w życie, świadczy po dziś dzień o żywotności narodu, co upadł, choć był wielki, lecz nie niszczał, bo nie był nikczemny.

